PODJAZDOWA WOJNA Z KOŚCIOŁEM ZNÓW NABIERA ROZPĘDU

WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ. JAK RODZICE ZARABIAJĄ W SIECI NA SWOICH DZIECIACH

DEPRESJA MA JEDNAK PŁEĆ

SIECI

CZY TRUMP WYPROWADZI AMERYKĘ Z NATO?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

16 (698) 2026
13–19 kwietnia 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

PINIENDZY NIE MA I NIE BĘDZIE

NIE MA NA LECZENIE POLAKÓW,
NIE MA NA INWESTYCJE,
NIE MA NA NARODOWE ŚWIĘTOŚCI.
JAK ONI TO ROBIĄ, ŻE ZAWSZE WPĘDZAJĄ NAS W NĘDZĘ I DŁUGI? CZYJE TO ZLECENIE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 16
Numer w sprzedaży do 20 IV 2026 r.

epressa.pl 38568eaf2b

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek

Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie

- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 38568eaf2b

Wulgarna inscenizacja

W Sejmie znów hucpa, tym razem w randze dużego widowiska. Ściągnięto notariusza, wypowiedziano „rotę” i w obecności marszałka Sejmu przyjęto „ślubowanie” sześciorga wybranych na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Wbrew jasnym przepisom ustawy, depcząc zdrowy rozsądek, niszcząc podstawowe znaczenie słów w języku polskim („wobec prezydenta” znaczy przecież „w obecności” głowy państwa). W sumie żałosna inscenizacja pozbawiona treści prawnej, godna jakiejś baśniowej dyktatury, w której ceremonie przeprowadza się na podstawie scenariuszy pisanych przez szalonego władcę, bez oglądania się na prawo.

Ale nie wszystko poszło gładko, bo znalazł się jeden odważny. Poseł PiS Łukasz Kmita wślizgnął się na salę i krzyknął głośno oraz bardzo sensownie: „Ale nie ma prezydenta!”. Stało się jasne, że król jest nagi.

To jest pastisz, ale nie powinniśmy się dziwić, bo państwo Tuska i Czarzastego jest państwem, które udaje, że wypełnia funkcje państwa polskiego. Budżet zapada się pod stopami premiera i ministrów, skazując przyszłe pokolenia na długi, nędzę i emigrację, służba zdrowia przestaje działać w swoich najbardziej podstawowych wymiarach, znikają całe branże gospodarki, uśmiercane są kolejne inwestycje, rośnie bezrobocie, a władza dalej tańczy na Titanicu. Samodzielna polityka zagraniczna nie istnieje – rząd nie wychyla głowy ani na południe, ani na północ, ani na wschód, ani na zachód. Trudno się dziwić – za każdą samodzielność spotka go dotkliwa kara. Także w najważniejszej obecnej sprawie, czyli w sferze demograficznej, rządu po prostu nie ma. Premier Tusk ani razu nie odniósł się do problemu wymierania naszego kraju. On śmierci Polski powiatowej i Polski wiejskiej po prostu nie widzi i dalej patrzy biernie, jak jego zaplecze społeczne i medialne promuje najgłupsze z możliwych wzorców zachowań.

Zmierzamy ku przepaści, ale rząd konsekwentnie uważa, że lepiej ścigać opozycję i dalej brnąć w niszczenie podstaw polskiego systemu prawnego. Być może po to, by znów wdrukować w głowy Polaków, że sami nie potrafią się rządzić, że potrzeba nam obcego bata, obcych dyrektyw, rezygnacji z kolejnych obszarów suwerenności. Ta sama logika kryje się za faktycznym przyzwoleniem na bankructwo państwa w ciągu kilku lat – a tak przecież trzeba czytać politykę Tuska i Domańskiego. Polska ma się znaleźć w takim punkcie, w którym nie tylko zrezygnuje z narodowej waluty, lecz także zgodzi się na bezpośredni nadzór nad swoimi finansami, tak jak musiała zrobić Grecja w 2008 r.

Maskarada w sprawie Trybunału Konstytucyjnego jest z jednej strony śmieszna, z drugiej groźna. Także na płaszczyźnie politycznej gry o Polskę. Jak podała telewizja wPolsce24, rządząca koalicja przyspieszyła działania związane z próbą przejęcia Trybunału z powodu szerszego planu politycznego. Celem jest opanowanie TK jeszcze przed wyborami parlamentarnymi – po to, by móc doprowadzić do delegalizacji opozycyjnych partii politycznych. Na pierwszy ogień ma pójść Konfederacja Korony Polskiej, a jeśli ten etap zakończy się sukcesem, kolejnym celem będzie zakazanie działalności Prawa i Sprawiedliwości. Celem minimum jest takie rozbicie prawicy – za pomocą delegalizacji różnych ugrupowań – by nie miała ona większości w przyszłym Sejmie.

W razie gdyby władzy nie udało się utrzymać, przejęty Trybunał miałby być kluczowym szańcem, ową „trzecią izbą parlamentu”, próbującą zablokować reformy większości prawicowej wspieranej przez prezydenta. Wówczas znów demonstrowano by w jego obronie, choć przecież to PO ponosi największą winę za drastyczne podmycie autorytetu i stabilności tej instytucji. To ona najpierw, w 2015 r., wybrała trzech sędziów „na zapas”, a później odmówiła nowemu Sejmowi prawa do naprawy tego oczywistego błędu.

Jedno warto zauważyć: rośnie poziom brutalności obecnej władzy. Im mniej sobie radzi w walce z problemami, im bardziej rzeczywistość skrzeczy, tym chętniej stosuje prawo „tak jak ona je rozumie”. Skróty są coraz bardziej ordynarne, wulgarne prawnie, coraz bardziej godne republiki bananowej, a nie państwa prawa. To sprawia, że pokojowa zmiana władzy jesienią przyszłego roku wcale nie jest tak pewna. Ale to także powoduje, że przyszłe rządy obozu niepodległościowego będą inne niż to, co widzieliśmy w latach 2015–2023.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści

22 Nasza mowa będzie tak-tak, nie-nie
Z Michałem Moskalem rozmawia Jerzy Szmit

43 Ludzkie safari
Aleksandra Rybińska

57 Lotniczka z Katynia
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **BRUDNA WSPÓLNOTA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SENATOR MA PIERWSZEŃSTWO**
Dorota Łosiewicz

9 **BRUKSELSCY MĘDRCY TANKUJĄ ROSYJSKI GAZ NA ZAPAS**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PŁONĄCY KRZYŻ W WARSZAWIE**
Jan Pietrzak

12 **CESARZ CZARZASTY JEST NAGI**
Samuel Pereira

13 **CYFROWA PRZYSZŁOŚĆ PAKISTANU?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MAGDALENY PIEJKO**
Michał Korsun

16 **SAMOZWAŃCZY MENTOR Z PROBLEMAMI**
Arkadiusz Mularczyk

17 **CZY TO JUŻ III WŚ?**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **TUSK NIE MA, TUSK NIE DA**
Stanisław Janecki

KRAJ

22 **NASZA MOWA BĘDZIE TAK-TAK, NIE-NIE**
Z Michałem Moskalem rozmawia Jerzy Szmit

25 **ZNAK OSTRZEGAWCZY**
Konrad Kołodziejski

28 **BURZA WOKÓŁ LISTU BISKUPÓW**
Goran Andrijanić

31 **DZIECIŃSTWO NA SPRZEDAŻ**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

34 **GRUBA KRESKA W KWESTII NATO**
Marek Budzisz

37 **POWRÓT GWIEZDNYCH WOJEN**
Jan Rokita

40 **UPADŁ MIT „SKRADZIONYCH DZIECI FRANKIZMU”**
Grzegorz Górny

43 **LUDZKIE SAFARI**
Aleksandra Rybińska

46 **INNE OBLICZE PERSÓW**
Piotr Gursztyn

OPINIE

50 **DEPRESJA RODZAJU MĘSKIEGO**
Z Magdaleną Fudałą-Janc rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

54 **POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM. WSPÓLNA WALKA, WSPÓLNA HISTORIA, TEN SAM WRÓG**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **LOTNICZKA Z KATYNIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **REQUIEM DLA CHŁOPSKIEJ KULTURY**
Maciej Walaszczyk

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: ZAMCZYSTOŚĆ POLSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **OKULTYZM KULTYCZNY I ENERGETYCZNY**
Robert Tekieli

70 **BRAUN, TYMIŃSKI I INNI**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **WERBALNA POLSKA**
Aleksander Nalaskowski

73 **BARBARZYŃCY I DŻENTEMENI**
Ryszard Czarnecki

74 **DRYF. TYLE Z KULTURY**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 38568eaf2b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Brudna wspólnota

Niemoralne działania, przestępstwa czy nawet akty zwyrodnienia trafić się mogą w każdej zbiorowości. Sam taki fakt nie obciąża jej jeszcze. Ocenna jest reakcja na patologię. Postawa PO/KO wobec pedofilii w jej szeregach jest znamienna. Dodatkowo okazuje się, że nie chodzi o odosobniony, nagłośniony ostatnio przypadek w Kłodzku.

Posłanka Konfederacji w PE Ewa Zajączkowska-Hernik opublikowała listę dziewięciu działaczy Koalicji Obywatelskiej, którzy zostali skazani za pedofilię. Zarzuty w tej sprawie dotyczą większej liczby jej członków. Większość z tych osób pełniła odpowiedzialne funkcje w regionalnych strukturach ugrupowania i wspierana była przez jego liderów. Można przyjąć, że zwierzchnicy nie mieli pojęcia o oskarżeniach, jakie ciążą na terenowych działaczach partii, nie sposób tego założyć w odniesieniu do miejscowego środowiska. Jeśli terenowi działacze nie przekazywali swojej wiedzy na ten temat przełożonym, źle świadczy to o stosunkach w ugrupowaniu. Jeśli przekazywali, a zwierzchnicy nic z nią nie robili – to gorzej.

Sprawa Kamili L., protegowanej wicemarszałek PO/KO Moniki Wielichowskiej, ciągnęła się ponad 10 lat. Zarzuty prokuratorskie polityk PO usłyszała w czerwcu 2023 r., ale zanim po 9 miesiącach sama nie zrezygnowała z członkostwa, nadal funkcjonowała w partii bez przeszkód. Kłodzko to małe miasto, Kamila L. była osobą publiczną, o oskarżeniach wobec niej wiedzieli wszyscy, prawdopodobnie jeszcze przed ich oficjalnym postawieniem. Nie wiedziało tylko kierownictwo PO. Istotnym elementem sprawy jest fakt, że zajmujący się nią prokurator bał się powiadomić o tym przełożonych z powodu potencjalnej zemsty partyjnego układu.

Piotr P., szef powiatowych struktur PO w wielkopolskim Złotowie, molestował dzieci co najmniej od 2011 r. Na przełomie 2015 i 2016 r. oficjalnie zgłoszone zostało napastowanie przez niego nieletnich praktykantek. Pomimo opieszałości policji prokuratura została zmuszona przedstawić mu zarzuty, które bardzo szybko umorzyła. Rozpętano nagonkę przeciwko politykowi lewicy, który usiłował sprawę nagłośnić. Piotra P. usunięto z partii dopiero, kiedy został aresztowany w 2023 r. Skazany został na 11 lat za gwałt na 14 dziewczynkach.

Nie będę opisywał kolejnych przypadków. Wszystkie one dowodzą, że nie mamy do czynienia z „aferą kłodzką", jak nazywają ją nawet przeciwnicy KO, ale z pedofilskim uwikłaniem PO/KO. Tych, którzy sprawę podnoszą, partia i jej medialny front usiłuje zastraszyć. Ton jak zawsze nadaje premier Tusk.

„Jest wyjątkowym skandalem próba politycznego wykorzystywania zbrodni pedofilii" – ogłosił. „Ja znam tylko jeden przypadek zbrodni pedofilii kryty przez polityków. On dotyczy jednego z najważniejszych polityków PiS. Nie będę używał nazwiska, bo nie chcę robić z tego polityki".

Chodzi oczywiście o oskarżenia syna Jacka Kurskiego, o którego nie tylko nieudowodnionej, ale bardzo wątpliwej winie zdążył się już wcześniej wypowiedzieć, przywołując wówczas jego nazwisko. Wprawdzie nawet przesłanki „tuszowania" sprawy nikt nie przedstawił, ale premier przyzwyczaił nas do rzucania oskarżeń bez pokrycia.

Afera pedofilska w szeregach jego partii ma zostać zamilczania. Sekundują mu w tym funkcjonariusze frontu medialnego. Andrzej Stankiewicz uciszył polityka PiS w Radiu ZET, stwierdzając, że sprawa nie jest udowodniona. To ten sam Stankiewicz, który w kampanii prezydenckiej pomawiał Karola Nawrockiego o sutenerstwo bez cienia dowodu.

„Za potworami pedofilskimi ruszyły potwory polityczne. Z PiS, Konfederacji, TV Republika. Pokazuje to dobitnie rzekoma afera pedofilska w dolnośląskiej KO" – pisze wyrobnik „GW".

Winni sprawy są zatem politycy prawicy i niezależne media.

Właśnie takie działania wyjaśniają, skąd bierze się afera pedofilska w PO. Bezkarność pozwala uaktywniać się potwornościom, a instytucje, które ją zapewniają, ściągają osobników o patologicznych skłonnościach. Doktryna Neumanna, zgodnie z którą swoich członków PO broni jak niepodległości – obowiązuje.

Dodatkowym czynnikiem generującym pedofilię jest „wyzwolenie" seksualne, które kwestionuje normę, a więc i zboczenie. W okresie kontestacji postulowano uwolnienie seksualności dzieci. Daniel Cohn-Bendit chwalił się swoimi działaniami w tym kierunku. Wielichowska, patronka Kamili L., tak uzasadnia swój sprzeciw wobec ustawy Stop pedofilii: „Pod płaszczykiem ochrony dzieci przed pedofilią autorzy ustawy chcą karać m.in. edukatorów seksualnych czy nauczycieli za »propagowanie lub pochwalanie podejmowania przez małoletniego obcowania płciowego lub innej czynności seksualnej«".

Pedofilia jest zakazana, ale tzw. edukacja seksualna otwiera dla niej boczną furtkę. A zasada Neumanna czynni z KO/PO i jej medialnego frontu brudną wspólnotę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 38568eaf2b

Sygnalista nadaje

W te święta naród gadał, że gdyby nie pani Kamila z Kłodzka, to paliwo nadal by było drogie. No i że po świętach ceny za wachę znowu pójdą w górę. Może jednak nie! Jest nadzieja, że dalej będzie trochę taniej, bo w Nowej Rudzie znalazła się następna osoba pedofilska powiązana ze środowiskami demokratycznymi i praworządnymi. Media też donoszą, że było w Kłodzku jeszcze jedno małżeństwo osób pedofilskich, niestety chyba jednak bezpartyjne. Szkoda! Bo byłaby większa szansa, że ceny na paliwo zostałyby obniżone także na wakacje. A tak niestety nadal nie wiadomo, czy można planować jakieś letnie wyjazdy. Dalej niż za Raszyn.

Jacek Protasiewicz to barwna postać. Ofiara terroru hitlerowskiego z portu lotniczego we Frankfurcie nad Menem. Autor ciągle pisanej książki o Donaldzie Tusku. A co najważniejsze chłopak Darii Brzezickiej, działaczki ruchu ludowego (130 lat tradycji!), która jest najbardziej słynna z tego, że czyniła psikusy Oskarowi, temu chudemu chłopczykowi z PiS. Wróćmy jednak do Jacka i jego barwnego życiorysu, który staje się jeszcze bardziej barwny. Jacek został pozwany do sądu przez „Bobasa", czyli ***Marcina Pogłos-Kierwińskiego***. Bobas Marcin obraził się na Jacka za słowa o tym, że był napruty jak messerschmitt właśnie wtedy, gdy dopadł go złośliwy pogłos. Odbyło się już pierwsze posiedzenie sądu. Zeznawał dawno niewidziany i niesłyszany Szymek Hołownia. No i powiedział, że nie czuł alkoholu od „Bobasa". Ale dodał, że „Bobas" mówił, jakby był po wódce albo po udarze. Straszne! Marcin jest jeszcze taki młody, a tu już udar. Dobrze, że udało się go uratować.

Najważniejsze, żeby wezwać do sądu panią aspirant Ewę Burnett. To ta osoba policyjna, która kazała dmuchać „Bobasowi" w alkomat. Dzięki niej wiemy, że Marcin był wtedy trzeźwy jak szpadel. A tak w ogóle to nienawistnicy i oszczercy opluwający dobre imię Marcina Pogłos-Kierwińskiego powinni znać ważną zasadę: alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w największych ilościach.

Premier Donald Franciszek zakomunikował, że Ten Kraj musi zapłacić za głupotę PiS. Cena jest niska, tylko 5,6 mld zł. Opłaca się, bo wtedy dostaniemy szczepionki na COVID-19 w ilości 60 mln sztuk (czyli prawie po dwie na łebka). To bardzo fajne szczepionki, bo wynegocjowane przez samą Ursulę von der Pfizer. Ursula tak zajadle negocjowała, że aż popsuła się jej skrzynka SMS w telefonie. Szczepionki są tym cenniejsze, że stanowią dowód na determinację polityków strony demokratycznej. To oni domagali się od reżimu kaczystowskiego, aby brał te szczepionki za wszelką cenę. Gdyby nie ich upór, to ludność Ten Kraju nie byłaby zaszczepiona, bo wiadomo, że kaczyści się migali i na pewno są antyszczepami. Dobrze, że Ursula ich przymusiła. 5,6 mld zł to naprawdę wyjątkowa okazja. Prawie że darmocha. Niemal jak SAFE.

W prasie demokratycznej znajdujemy wstrząsający tekst o szlachetnym Waldku, który miota się w bagnie. Drwal Praworządności chciał

eprasa.pl 38568eaf2b

porąbać wszystko, co pisowskie. I Krajową Radę Sądownictwa, i Trybunał Konstytucyjny. A także neosędziów. Nagina prawo, ale tylko to złe – jak wyjaśniają pracownicy mediów demokratycznych. Nie można przecież zrobić omletu, nie rozbijając jajek. No i gdzie drwal rąbie, tam wióry lecą. Dlatego sądy odrzucają wnioski prokuratury. W walce o praworządność nie ma czasu, aby je porządnie przygotować.

Ten Nawrocki z Gdańska rzuca mu kłody pod nogi. Pisowcy prokuratorzy – ciągle niewyrzuceni z roboty – także sabotują przywracanie praworządności. A ci z nich, którzy są niezupełnie pisowscy, to nic nie robią, bo myślą, że kaczyzm wróci do władzy, więc nie chcą się wychylać. No i jest jedna rzecz straszna – działania Waldka są blokowane przez Donalda. Tak! Prasa demokratyczna pisze, że premier Tusk nie pozwala Waldkowi na bardziej praworządne działania, takie jak wejście z policją, wojskiem i innymi służbami do TK. To chyba jednak musi być błąd drukarski. To chyba nie ten Donald blokuje Waldka. Nie Tusk, a Trump. Poprawcie ten tekst. Przynajmniej w wersji internetowej, bo nam wizja świata się wali.

My też musimy tam być! Choć jeszcze nie wiemy, jak to zrobić, aby przyjęto nas do grona współpracowników Fundacji Zryw. To środowisko zrzesza ludzi zdolnych, perspektywicznych, bogatych i pięknych. Założył to Alexander Sikorski (z tych Sikorskich z Chobielina). Jest tam też była dziewczyna jego brata (albo jego, tego już nie pamiętamy), czyli nasza skośnooka kosmonautka ***Olka Wiśniewska*** z Łodzi. Jest też pan Sebek „Foka", czyli prawa ręka samego mecenasa Romana. Oprócz niego kilku zasłużonych towarzyszy z Młodzieży Wszechpolskiej. A przede wszystkim duże pieniądze. Nawet bardzo duże. Z Polskiej Rady Biznesu i innych takich apolitycznych instytucji. A ludzie narzekają, że w Polsce młodzi nie mają żadnych perspektyw. Jak to nie mają? A Fundacja Zryw to co?

Teraz smutna informacja. Kolejna działaczka demokratyczna padła ofiarą prawackiego hejtu, mowy nienawiści i nagonki medialnej. To Monika Kirschenstein, radna Koalicji Obywatelskiej z jakiegoś miasta koło Szczecina. Została zaatakowana z powodu głoszonego przez nią postulatu, aby symbole religijne obecne w przestrzeni publicznej nie atakowały oczu obywateli naszego laickiego, rozdzielonego od Kościoła państwa. Metody usuwania agresywnej symboliki religijnej są sprawą drugorzędną, więc nikt nie powinien mieć pretensji do radnej Moniki, która skomentowała pożar jednego z nieneutralnych światopoglądowo symboli religijnych słowami: „Piękny widok".

Czy nie jest panu wstyd? – takie pytanie zadał jakiś roszczeniowy warchoł ministrowi Motyce Miłoszowi. Chodziło o to, że PSL w kampanii wyborczej dużo obiecywało w temacie służby zdrowia. Zwłaszcza na prowincji. Może nie 100 konkretów, ale 17 obietnic. No i tak się złożyło, że przez ponad dwa lata rządów obecnej koalicji nie została zrealizowana ani jedna. I myślicie, że Motyka poległ na tym pytaniu? Otóż nie, odpowiedział bardzo sprytnie: „PSL nie ma swojego przedstawiciela w Ministerstwie Zdrowia". To jest mistrzostwo. Kto inny by się tłumaczył, narzekał, że to wina rządów PiS, a tu szach-mat, wieśniaki! Jeszcze jakieś głupie pytania?

Premier Tusk dostał ciekawe kwity z ABW. Oskarżył Zbigniewa Ziobrę, że jego fundacja brała pieniądze od firmy zajmującej się kryptowalutami. To akurat żadna sensacja, bo wiadomo, że Ziobro jest dziki, Ziobro jest zły, Ziobro ma bardzo ostre kły. Samo zło, krótko mówiąc. Co innego jest ciekawe. Premier Donald Franciszek srogo ofuknął w tej samej sprawie Przemka Wiplera. Za to, że jego fundacja dostała 70 tys. euro (i to nie krypto-, tylko normalne). Ta sprawa nas trochę zmartwiła w świetle wszystkich ostatnich sondaży. Nie to, że Przemek brał, ale że premier go publicznie zrugał. Bo nie da się już zrobić koalicji z Włodkiem Czarzastym (gdyż najpewniej nie będzie go w następnym Sejmie). Zostawała jedynie ta koalicja, której nie wykluczał Przemek Wipler. Także Grzesiek Schetyna realnie ją sobie wyobrażał. I to na głos. No i co teraz? Nie kłóćcie się, chłopaki! Bo PiS wróci do władzy.

Z listy ludzi honoru, przyzwoitych, europejskich, demokratycznych i praworządnych skreślamy niejakiego „Pudziana". Jeszcze niedawno najsilniejszy człowiek świata, a teraz już nie. Typ polazł do tego Nawrockiego z Gdańska. Zamiast do prezydenta naszych serc Rafała Trzaskowskiego. I zamiast wyciskać 150 kg z Rafałem, wyciskał to z tym Nawrockim z Gdańsku. I na dodatek nie obsobaczył go, tylko pochwalił. Małpioludzia czereda z Polski wschodniej dostała obrazki z pakerni i jej zachwytom nie było końca. A my nie jesteśmy tacy jak ta biomasa głosująca na PiS. Nie tacy jak wyborcy tego Nawrockiego, którzy są przygarbieni, mają zawsze przekrwione oczy i mówią chrapliwym głosem. Dlatego my tymczasem zagłębiamy się w lekturę Olgi Tokarczuk oraz „Szczerze" pana Tuska (jeszcze lepsze niż Paulo Coelho) i przygotowujemy kolejne ostre wpisy na konta społecznościowe naszej grupy Silnych Razem.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Ludmyła Skwarczyńska x2

eprasa.pl 38568eaf2b

WIEŻA BAB

Senator ma pierwszeństwo

To jest gra, w której jedna strona stoi w wielomiesięcznej kolejce, a druga wchodzi tylnymi drzwiami i załatwia wszystko w godzinę

To, co napisano w sprawie senatora Tomasza Lenza, nie jest żadnym „pojedynczym incydentem", który można zamieść pod dywan kilkoma ogólnikami o „wyjaśnianiu sprawy". To sytuacja, która powinna wywołać wściekłość, i to nie tylko dlatego, że chodzi o polityka, lecz także z tego powodu, że pokazuje w najczystszej postaci mechanizm uprzywilejowania, który niszczy resztki zaufania do systemu ochrony zdrowia.

Według doniesień Wirtualnej Polski syn senatora miał przejść zabieg w szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim całkowicie poza standardową procedurą. Bez formalnej zgody, bez dokumentacji medycznej, bez przejścia przez izbę przyjęć. Zamiast tego – wejście do szpitala frontowymi drzwiami, skierowanie się prosto do pokoju zabiegowego na oddziale chirurgii i wykonanie procedury od ręki.

To już samo w sobie brzmi jak scenariusz z filmu o państwie z dykty, ale na tym się nie kończy. W zabiegu – jak wynika z relacji – mieli uczestniczyć ordynator chirurgii i anestezjolog, którzy w tym czasie byli na dyżurze... na innych oddziałach. Czyli zostawili swoich pacjentów, swoje obowiązki, swoje miejsce pracy, żeby obsłużyć „specjalny przypadek". To nie jest drobne nagięcie zasad. To jest ich demonstracyjne podeptanie.

Co więcej, według ustaleń medialnych był to zabieg, którego nie można wykonać w ramach NFZ. Czyli mamy do czynienia z sytuacją, w której publiczna placówka, publiczny personel i czas pracy lekarzy są wykorzystywane do czegoś, co w ogóle nie powinno się tam odbywać. „Szpital został narażony na straty i poważne konsekwencje" – mówi szef placówki. A jednocześnie tysiące ludzi odbija się od drzwi tego samego systemu, bo „nie ma terminów", „skończyły się limity", „proszę spróbować za pół roku".

W tle tej sprawy pojawia się również Lotfi Mansour – lekarz, lokalny działacz Koalicji Obywatelskiej, który zna się z senatorem i który również miał pojawić się w szpitalu w dniu zabiegu.

To tylko pogłębia obraz sytuacji, w której sieć znajomości otwiera drzwi, dla zwykłego człowieka zamknięte na cztery spusty.

Reakcje? Naczelna Izba Lekarska zapowiada skierowanie sprawy do rzecznika odpowiedzialności zawodowej lekarzy – o czym mówił jej rzecznik Jakub Kosikowski. Klub Koalicji Obywatelskiej poprosił senatora o wyjaśnienia. Postępowanie prowadzi też szpital, sprawą zajmuje się Ministerstwo Zdrowia. A jest co wyjaśniać, choć jednocześnie wszystko jest aż nadto jasne.

Zestawmy to z codziennością zwykłych ludzi. Starsza osoba miesiącami czeka na wizytę u specjalisty. Rodzic próbuje zapisać dziecko na badanie i słyszy: „Najbliższy termin za osiem miesięcy". Ktoś z bólem, z podejrzeniem poważnej choroby odbija się od systemu, bo limity się wyczerpały. A tu nagle się okazuje, że można wszystko ominąć. Izbę przyjęć, kolejkę, dokumentację, a nawet podstawowe zasady organizacji pracy szpitala.

To nie jest tylko kwestia jednego nazwiska. To jest komunikat wysłany do całego społeczeństwa: system jest dla was, ale nie dla nas. I to właśnie dlatego takie sprawy budzą tak ogromne emocje. Bo uderzają w poczucie elementarnej sprawiedliwości.

Najbardziej porażające jest to, że – jak mówił rzecznik NIL – pacjenci „z pieniędzmi i znajomościami rywalizują o te same świadczenia z pacjentami, którzy nie mają do kogo zadzwonić". Tyle że to nawet nie jest już rywalizacja. To jest gra, w której jedna strona stoi w wielomiesięcznej kolejce, a druga wchodzi tylnymi drzwiami i załatwia wszystko w godzinę.

I dopóki takie sytuacje będą możliwe, dopóty żadne reformy, żadne zwiększanie nakładów i żadne kampanie informacyjne nie przywrócą ludziom zaufania do systemu. Bo problemem – obok braku pieniędzy – jest brak równości wobec zasad.

A to jest fundament, bez którego żaden system, zwłaszcza system ochrony zdrowia, nie ma prawa działać uczciwie.

Dorota Łosiewicz

Brukselscy mędrcy tankują rosyjski gaz na zapas

W Brukseli właśnie rozgrywa się scena godna najlepszej komedii absurdu. W styczniu 2026 r. UE pobiła rekord importu rosyjskiego skroplonego gazu ziemnego. Według danych centrum analitycznego Bruegel państwa członkowskie sprowadziły aż 2,276 mld m^3 tego surowca. To więcej niż w grudniu poprzedniego roku i wyraźnie więcej niż w styczniu 2025 r.

Francja, Hiszpania i Holandia tankowały pełnymi zbiornikami, jakby jutro miało nie nadejść. A nadchodzi szybko – już 25 kwietnia 2026 r. wchodzi w życie zakaz sprowadzania rosyjskiego gazu skroplonego na podstawie krótkoterminowych umów zawartych po 17 czerwca 2025 r. Pełny zakaz LNG ma obowiązywać od początku 2027 r., a gazu rurociągowego – od jesieni tego samego roku. Tak wygląda w praktyce unijna strategia REPowerEU.

To nie jest racjonalna polityka energetyczna. To klasyczna schizofrenia na skalę całego kontynentu. Przez lata eurokraci przekonywali nas, że Rosja stanowi śmiertelne zagrożenie, że trzeba się od niej odciąć za wszelką cenę, a Fit for 55 i Zielony Ład to jedyna droga do zbawienia. Gdy jednak przyszło co do czego, kupowali od Moskwy więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Powód? „Atrakcyjne ceny" i puste magazyny. Na początku lutego 2026 r. poziomy zapełnienia magazynów gazu w Unii były alarmująco niskie – średnio zaledwie 28–30 proc. pojemności. W Holandii spadły do 6 proc., w Niemczech – do 22 proc. Po mroźnej zimie i przed rozpoczęciem sezonu napełniania eksperci z Gas Infrastructure Europe oraz Komisji Europejskiej bili na alarm. Trzeba napełniać już od kwietnia, bo inaczej zima 2026/2027 przyniesie katastrofę.

Wtedy uderzył kolejny cios – kryzys irański. Od końca lutego 2026 r. konflikt w Zatoce Perskiej, w który zaangażowały się Stany Zjednoczone i Izrael przeciwko Iranowi, doprowadził do blokady cieśniny Ormuz oraz ataków na instalacje w Katarze. Produkcja i eksport gazu skroplonego zostały poważnie zakłócone, a ceny tego surowca na europejskiej giełdzie TTF skoczyły o ok. 70 proc. Ropa naftowa zdrożała o 60 proc. Komisarz do spraw energii otwarcie przyznał, że nawet gdyby pokój nastał jutro, normalnych cen nie będzie przez wiele miesięcy.

Bruksela wpadła w panikę. Odgrzebuje mechanizmy z 2022 r., obniża cele magazynowania z 90 do 80 proc. i apeluje o oszczędzanie. A przecież to właśnie unijni decydenci stworzyli ten bałagan – uzależnienie od niestabilnego gazu skroplonego z Ameryki i Rosji, niszczenie własnego atomu oraz węgla, ideologiczne fantazje zamiast zdrowego realizmu.

Na tym tle wyraźniej widać polski kontrast, od którego robi się ciepło na sercu. Prawo i Sprawiedliwość już w poprzedniej kadencji postawiło na suwerenność energetyczną, a nie na brukselskie mrzonki. Terminal LNG w Świnoujściu, który Donald Tusk kiedyś blokował, a PiS zbudowało i rozbudowało, Baltic Pipe z Norwegii, kontrakty z Ameryką i Katarem – wszystko to sprawiło, że Polska od 2022 r. nie importuje ani kropli rosyjskiego gazu. Ani rurociągiem, ani w formie skroplonej. Dzięki temu nie musimy teraz gorączkowo tankować od Putina ani drżeć przed irańskim chaosem. PiS nie uginało się przed Ursulą von der Leyen. Mówiło jasno – energia to nie religia klimatyczna, lecz podstawa bezpieczeństwa państwa. Polityka Energetyczna Polski do 2040 r. zakładała węgiel jako stabilną bazę, rozwój energetyki jądrowej, gaz z dywersyfikowanych źródeł oraz odnawialne źródła energii tylko tam, gdzie da się je sensownie włączyć do systemu. Bez blackoutów, bez rachunków rujnujących gospodarstwa domowe i przemysł.

Dziś, gdy prezydent z obozu patriotycznego wetuje kolejne głupie pomysły, a Polska cieszy się pełną niezależnością, różnica bije w oczy. Unia w panice przed kwietniowym zakazem kupuje rekordowe ilości rosyjskiego gazu, a irański konflikt rozwala jej cały system. Magazyny niemal puste, ceny kosmiczne, deindustrializacja w tle. Polska ma się nienajgorzej, bo PiS nie wierzyło w zielone bajki, tylko w twardy interes narodowy.

Bruksela ma jeden poważny problem. Nie rozumie, że geopolityka nie wybacza hipokryzji. Najpierw kupuje od wroga na zapas, a potem dostaje kolejny cios od innego gracza – i ma kryzys energetyczny na sterydach. PiS rozumiało to od samego początku. Dlatego gdy eurokraci będą dalej ustalać nowe cele redukcji emisji i reformować system handlu emisjami „w imię ratunku", Polska ma prostą odpowiedź. Dość tej zielono-rosyjsko-irańskiej karuzeli. Polska energetyka ma służyć Polakom, a nie fantazjom Brukseli.

Bo, jak mawiał klasyk – lepiej mieć norweski gaz w rurze i polski węgiel w rezerwie niż huragan ideologii w głowie. A Bruksela ma huragan i właśnie płaci za niego słony rachunek.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 38568eaf2b

Uwaga! Odpady radioaktywne

Białoruś

Władze Białorusi planują w tym roku budowę magazynu odpadów radioaktywnych dla działającej od ponad pięciu lat elektrowni atomowej w Ostrowcu, niedaleko granicy z Litwą. Mowa o tzw. wtórnych odpadach, nieobejmujących przepracowanych prętów paliwowych. W grę wchodzą trzy lokalizacje – Poleski Rezerwat Radiologiczny powstały po katastrofie w Czarnobylu, rejon mścisławski nieopodal granicy z Rosją albo okolice elektrowni, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Polski.

Do niedawna za faworyta uchodziła ta ostatnia lokalizacja, co było związane z przeprowadzonymi wcześniej badaniami geologicznymi oraz z ryzykiem, które wiąże się z transportem tego rodzaju ładunków na większe odległości. Jednak Ostrowiec jest niewygodny ze względu na napięte relacje z Litwą. Łukaszence zależy bowiem na odblokowaniu eksportu białoruskich nawozów potasowych przez port w Kłajpedzie, a już w przeszłości Litwini protestowali przeciw uruchomieniu białoruskiej elektrowni wykorzystującej rosyjskie rozwiązania technologiczne.

Zdaniem Dmitrija Kuczka, doradcy ds. ekologii Swiatłany Cichanouskiej, magazyn odpadów radioaktywnych musi spełniać wyśrubowane normy, co przy obecnym stanie białoruskiej gospodarki i budownictwa może być trudnym zadaniem. Siarhej Besarab, białoruski ekspert w zakresie energetyki jądrowej, zwraca też uwagę na nierozwiązany do tej pory problem, gdzie składować przepracowane paliwo z reaktora jądrowego. Porozumienie z Federacją Rosyjską przewiduje, że zużyte pręty mają zostać wywiezione, aby Rosjanie odzyskali z nich pluton i pierwiastki ziem rzadkich, ale potem radioaktywny odpad ma powrócić na Białoruś.

Besarab alarmuje, że nie dyskutuje się obecnie, gdzie zbudować magazyn prętów paliwowych, a problem jest poważny, zważywszy, iż czas ich rozpadu wynosi 50 tys. lat. Rząd w Mińsku ma się zająć tą kwestią dopiero ok. 2030 r., ale nie można wykluczyć, że wybór lokalizacji składowiska odpadów przesądzi również o tym, gdzie znajdą się zużyte pręty paliwowe z białoruskiej elektrowni atomowej.

Marek Budzisz

Marihuana – nieudany eksperyment

Niemcy

Legalizacja marihuany była błędem – stwierdziła niemiecka minister zdrowia Nina Warken z CDU. Obowiązujące w Niemczech regulacje, które wprowadziła poprzednia lewicowa koalicja, są dziś ostro krytykowane przez rząd Friedricha Merza.

Szczegółowe informacje na temat skutków legalizacji marihuany zawiera raport przygotowany przez uniwersytety w Düsseldorfie, Hamburgu i Tybindze. Pierwszym efektem był nagły spadek liczby programów profilaktycznych mających na celu zniechęcenie do konsumpcji narkotyków. Zatarciu uległa też granica między konopiami zażywanymi w celach rekreacyjnych a medycznymi.

Za sprawą liberalizacji narkotyków w Niemczech powstał największy w Europie legalny komercyjny rynek konopi. W 2025 r. sprowadzono tam ok. 200 t medycznej marihuany, co stanowi niemal dwukrotny wzrost w porównaniu z 2024 r. Nie wiadomo nawet, skąd pochodzi większość zażywanej marihuany i jaki jest cel jej ostatecznego wykorzystania. Jak wyjaśnił komisarz ds. narkotyków, epidemiolog prof. Hendrik Streeck, za pośrednictwem internetu wyłonił się duży rynek, który nie jest skierowany do pacjentów, ale użytkowników rekreacyjnych. Streeck zaapelował o korektę prawa i ograniczenie legalnego obrotu marihuaną.

Legalizacja posiadania narkotyków wszędzie spowodowała wymknięcie się ich spod kontroli. Kilka lat temu przy poparciu dużej części mieszkańców amerykański Oregon jako pierwszy stan w historii zdekryminalizował posiadanie małych ilości heroiny i kokainy. Natychmiast ułatwiło to dostęp do narkotyków, wywołując skokowy wzrost liczby uzależnionych. Społeczeństwo natychmiast zażądało bezwzględnych kar więzienia nie tylko dla dealerów, lecz także dla kupujących i posiadaczy. Sztandarowym przykładem jest oczywiście Holandia, która już 50 lat temu zalegalizowała posiadanie marihuany. Dziś Amsterdam przegrywa wojnę z handlarzami narkotyków. Niemcy zaczęły podążać podobną drogą.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 38568eaf2b

Bangladesz

Grozi nam kryzys odzieżowy

Bangladesz od wielu lat uchodzi za największą szwalnię świata. Swoje wyroby szyją tutaj czołowe koncerny odzieżowe. Wkrótce produkcja markowych ubrań może jednak zostać ograniczona. Przyczyną zakłóceń jest deficyt energii elektrycznej. To kolejna, mniej oczywista konsekwencja wojny w Zatoce Perskiej.

Produkcja odzieży stanowi dziś 85 proc. dochodów eksportowych Bangladeszu. Liczący 177 mln mieszkańców kraj stał się w ostatnich kilkunastu latach centrum tekstylnym całego świata. Jego atutem – w oczach międzynarodowych koncernów odzieżowych – jest liczna i bardzo tania siła robocza. Nic więc dziwnego, że światowe marki właśnie tutaj ulokowały większość swojej produkcji.

Model gospodarczy bazujący na jednej branży jest jednak bardzo ryzykowny, o czym przekonały się właśnie władze Bangladeszu. Kraj ten nie posiada własnych źródeł energii i większość prądu wytwarza w elektrowniach gazowych zasilanych paliwem sprowadzanym z Zatoki Perskiej. W tej sytuacji wybuch wojny w Iranie, który doprowadził do zastopowania dostaw gazu i wzrostu jego cen jest potężnym ciosem dla gospodarki Bangladeszu.

Władze tego państwa ratują się, reglamentując energię. Każdego dnia dochodzi do przerw w dostawach prądu dla gospodarstw domowych, szkół i instytucji publicznych. Jedynym wyjątkiem są szwalnie. Gdyby zabrakło im prądu, Bangladesz straciłby główne źródło swoich dochodów. Władze nie chcą do tego dopuścić.

Aby zapobiec katastrofie, zwiększono import ropy naftowej – głównie z Singapuru i Malezji. Olej napędowy może bowiem zasilać rezerwowe generatory prądu. Mankamentem takiego rozwiązania jest jednak wysoki koszt energii, a to stawia pod znakiem zapytania konkurencyjność tutejszej produkcji tekstyliów.

Kryzys energetyczny i groźba zapaści gospodarczej dotknęła Bangladesz w dość trudnym momencie. Zaledwie miesiąc temu powołano tu nowy rząd, wyłoniony w pierwszych po 18 latach demokratycznych wyborach parlamentarnych. W sierpniu 2024 r. Bangladesz był areną starć, które doprowadziły do obalenia Sheikh Hasiny, sprawującej brutalne rządy przez 15 lat. Nic zatem dziwnego, że oczekiwania wobec nowej władzy są bardzo duże. Jeżeli demokratyczny gabinet nie opanuje kryzysu, to szybko straci wiarygodność, a na problemy gospodarcze nałoży się jeszcze chaos polityczny. Jednak możliwości manewru w obliczu konfliktu w Zatoce Perskiej i galopujących cen paliw są niewielkie.

Zależność od zagranicznego kapitału, która miała popchnąć Bangladesz naprzód, może okazać się kamieniem u szyi. Wobec tego fakt, że bogate państwa Zachodu będą musiały dłużej poczekać na nowe kolekcje ubrań, wydaje się drobnym zmartwieniem.

Konrad Kołodziejski

Przeciw tajemnicy spowiedzi

Czechy

Trybunał Konstytucyjny w Pradze zakwestionował treść konkordatu zawartego między Czechami a Watykanem. Wcześniej umowa została podpisana przez premiera Petra Fialę i sekretarza stanu Pietra Parolina oraz ratyfikowana przez dwie izby czeskiego parlamentu. Nie wejdzie ona jednak w życie, ponieważ najwyższy organ sądowy naszych południowych sąsiadów uznał dwa zapisy w dokumencie za niekonstytucyjne.

Sprzeciw sędziów wzbudziły zdania: „Republika Czeska uznaje tajemnicę spowiedzi" oraz „Kościelne osoby prawne udostępniają swoje dziedzictwo kulturowe na określonych przez siebie warunkach wszystkim, którzy chcą je poznać i czynią je przedmiotem badań".

Uzasadnienie wyroku wywołało krytykę wielu komentatorów, według których strona kościelna stała się obiektem dyskryminacji. Po pierwsze, sędziowie TK uznali, że księża nie mają prawa do tajemnicy spowiedzi, jeśli podczas sakramentu dowiedzą się o przestępstwie, natomiast prawo do tajemnicy zawodowej mają adwokaci, którzy posiądą taką samą wiedzę. Po drugie, wiele instytucji ma prawo udostępnienia swoich archiwów na własnych zasadach, jednak Trybunał odbiera to prawo Kościołowi.

Wszystko wskazuje na to, że sędziowie, interpretujący świeckość państwa w kategoriach konfrontacyjnych wobec religii, z góry postanowili zakwestionować umowę z Watykanem, a wysunięte zastrzeżenia potraktowali jako pretekst. Wiele krajów na świecie uznaje bowiem w konkordatach zarówno tajemnicę spowiedzi, jak i swobodę dysponowania przez Kościół własnymi archiwami, nie widząc w tym żadnego problemu.

Decyzja TK sprawia, że szanse na zawarcie konkordatu zmalały do zera, ponieważ Stolica Apostolska nigdy nie pójdzie na kompromis, oznaczający dla niej zdradę własnych zasad. Jedynym wygranym tej rozgrywki jest prezydent Petr Pavel, który od początku sprzeciwiał się porozumieniu z Watykanem. Na razie to jedyny widoczny sukces byłego działacza Komunistycznej Partii Czechosłowacji podczas jego nijakiej i bezbarwnej prezydentury.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 38568eaf2b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Płonący krzyż w Warszawie

Jan Pietrzak

Spłonął papieski krzyż przy kościele św. Maksymiliana Kolbego na warszawskim Mokotowie. To jest szczególny krzyż – ten z Placu Zwycięstwa, z 1979 r.! Przy tym krzyżu nasz wielki papież wezwał Ducha Świętego, by zstąpił i odnowił oblicze „tej ziemi"! Stałem tam wtedy z przyjaciółmi, kilkadziesiąt metrów od Ojca Świętego. Zamurowało nas to wezwanie. To nie było błaganie, którą to formę stosujemy, wnosząc prośby do nieba. To nie była modlitwa. To było polecenie! Nie wiedzieliśmy, że tak można! Wrażenie było potężne. Ciarki na plecach. Ktoś z tłumu powtarzał: „Prorok... prorok...".

Rzeczywiście, już niebawem, po roku – jak na ducha bardzo szybko – pośród strajkujących stoczniowców pojawił się duch buntu przeciwko nieludzkiej władzy, duch oporu przeciwko komunistycznemu zniewoleniu... Ten duch przybrał imię SOLIDARNOŚĆ. Duchy mogą przybierać dowolne nazwy. Wolno im. Mocą wiary przodków Polacy zawierzyli Solidarności. Kościoły wypełniły się wiernymi. Pośród strajkujących załóg pojawili się niezłomni kapelani, dzielni, mądrzy przewodnicy ludzi szukających oparcia w swoim Kościele, by służyć rodzącej się nadziei, godności ludzkiej pracy i narodowej niepodległości. To był mocny czas budowania związku zawodowego i mentalnej ucieczki spod sowieckiego jarzma. Społeczeństwo szukało sposobu, jak pozytywne emocje przetworzyć na pragmatyczne poczynania polityczne. A cwana stara komuna przywdziała stroje przebierańców i rozkręciła cyrk udający transformację. Stan wojenny, okrągły stół, fałszywe „półwolne wybory", oszukańcza „prywatyzacja" itp.

W mękach, lękach i przekrętach powstała jednak III Rzeczpospolita. Ułomna, niewygodna, niesprawiedliwa, ale jest! Należy przy tym zauważyć, że coroczne uroczystości Święta Niepodległości obchodzimy 11 listopada z okazji utworzenia II Rzeczypospolitej! Kto odzyskał niepodległość po 123 latach zaborów? Miliony Austriaków, Rosjan i Niemców, którzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stali się Polakami. Te miliony miały przywódców, którzy pospołu dzierżyli złoty róg, opiewany w pieśniach gminnych od pokoleń! Nie byłoby II Rzeczypospolitej bez Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego!

A kto odzyskał ojczyznę po 45 latach sowieckiej niewoli? Nie sądzicie chyba, że Bolek z Kiszczakiem? Oczywiście: 10-milionowa Solidarność przyniosła Polsce niepodległość, ale ze szczególnym, dominującym udziałem wielkiego hetmana, niestrudzonego kapłana, duchowego nauczyciela – św. Jana Pawła II!

Od pierwszych dni III RP wraże moce pracują nad tym, by tę prawdę ukryć, zafałszować, zwekslować. Dzieci w szkołach nie mają pojęcia, kiedy powstała III RP i kto tego dokonał! Ta diabelska batalia trwa. Chodzi o tożsamość polskiego narodu. Dlatego podpalono papieski krzyż w Warszawie. Bandyci Wschodu i Zachodu łatwo nie ustępują, ale w końcu przegrywają!

Cesarz Czarzasty jest nagi

Samuel Pereira

Są pewne granice. A przynajmniej były. Przekonały się o tym miliony Polaków, oglądając groteskowe wydarzenie, które służby marszałka Włodzimierza Czarzastego nazwały „uroczystością wręczenia uchwał Sejmu o wyborze przez Sejm na sędziów Trybunału Konstytucyjnego oraz ślubowania wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej". Problem w tym, że ani nie była to uroczystość w pałacu prezydenckim, ani nie było tam prezydenta Karola Nawrockiego. Całości obrazu dopełniało ujęcie dziennikarzy sejmowych zgromadzonych... przed Salą Kolumnową, bo nie zostali wpuszczeni na to (w mniemaniu uczestników w pełni legalne) wiekopomne wydarzenie.

Czego się bał marszałek Sejmu i jego ludzie? To oczywiste – nikt nie miał prawa, niczym bajkowy chłopiec z „Nowych szat cesarza", zakrzyknąć, że aktorzy tego przedstawienia są nadzy. A już najbardziej Czarzasty, który (nie bez udziału Szymona Hołowni i drugiego wicemarszałka z PSL) postanowił dać twarz czemuś, co z pewnością przejdzie do historii Polski, ale wcale nie na jej chlubnych kartach. Te kilkanaście razy powtarzane zaklęcie: „Wobec prezydenta" nie sprawiło, że głowa państwa się objawiła. Im bardziej kandydaci rządu do Trybunału Konstytucyjnego powtarzali tę formułkę, tym bardziej tam prezydenta po prostu nie było. I na tym można zakończyć wszystkie analizy prawne, których zresztą nie było, bo pytany o nie Czarzasty z rozbrajającą szczerością ogłosił: „Decyzje zostały podjęte, jestem marszałkiem, dlatego podejmuję decyzję". Normalnie cesarz.

Niestety całe przedstawienie zepsuł obecny na sali poseł PiS Łukasz Kmita krótkim, prostym stwierdzeniem faktu: „Tu nie ma prezydenta". Czar prysł, śmieszność przebiła wszelkie skale, a marszałek i jego goście kontynuowali swoją szopkę, tylko z już coraz bardziej kwaśnymi minami. I można by powiedzieć, że to wydarzenie było całkiem zabawne, choć bez żadnych skutków prawnych (no może oprócz zrzeczenia się *de facto* stanowiska sędziego TK przez łamiących prawo) i to będą wszystkie prawdziwe konstatacje. Tylko powagi państwa żal.

eprasa.pl 38568eaf2b

Cyfrowa przyszłość Pakistanu?

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich tygodniach Pakistan stał się na arenie międzynarodowej kluczowym pośrednikiem między Iranem a Stanami Zjednoczonymi, zapewniając tymczasowe zawieszenie broni i prowadząc negocjacje mające na celu zakończenie wojny na Bliskim Wschodzie.

Islamabad utrzymuje dobre relacje zarówno z Iranem, jak i ze Stanami Zjednoczonymi. Pakistan dzieli z Iranem granicę o długości 900 km, a także głębokie powiązania historyczne, kulturowe i religijne. W Pakistanie zamieszkuje druga co do wielkości po Iranie szyicka populacja muzułmańska. Iran był pierwszym państwem, które uznało Pakistan po uzyskaniu niepodległości w 1947 r., Pakistan uznał zaś republikę islamską w 1979 r. Islamabad reprezentuje niektóre irańskie interesy dyplomatyczne w Waszyngtonie, gdzie Teheran nie ma ambasady.

Region Zatoki Perskiej od dawna stanowi epicentrum infrastruktury cyfrowej na Bliskim Wschodzie, a kraje takie jak Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska budują potężne ekosystemy, aby przyciągnąć hiperskalowalne centra danych, które stanowią podstawę przetwarzania w chmurze, sztucznej inteligencji i nowoczesnej gospodarki cyfrowej. Inwestują w nie zarówno Amerykanie, jak i Chińczycy.

Ostatnie napięcia geopolityczne ujawniły strukturalną słabość tego modelu, związaną z ryzykiem koncentracji. Skupiona w jednej lokalizacji infrastruktura cyfrowa staje się podatna na wahania rynkowe, a także na zakłócenia fizyczne i geopolityczne.

Według ekspertów to Pakistan mógłby się stać istotnym udziałowcem kolejnej fazy rozproszonej infrastruktury cyfrowej. Ten położony na styku Azji Południowej, Bliskiego Wschodu i zachodnich Chin kraj ma pozycję, która pozwala mu pełnić rolę mostu dla przepływu danych. Nowe i planowane podmorskie kable wzdłuż wybrzeża Karaczi w połączeniu z lądową łącznością na północ dają Pakistanowi wyjątkową pozycję strukturalną.

Obecnie co najmniej dziewięć głównych międzynarodowych systemów kabli podmorskich splata Pakistan z globalnymi trasami transmisji danych, łącząc Karaczi z Europą, Bliskim Wschodem, Afryką Wschodnią i Azją Południowo-Wschodnią. Światłowodowe połączenie, zbudowane w ramach chińsko-pakistańskiego korytarza ekonomicznego, rozciąga się od Rawalpindi do przełęczy Khunjerab i do Chin, włączając Pakistan w szersze ramy łączności euroazjatyckiej. Ta lądowa trasa stanowi alternatywę dla tras podmorskich, które są postrzegane jako podatne na zakłócenia.

Pakistańska gospodarka cyfrowa rozwija się, napędzana rosnącym popytem na usługi w chmurze, lokalny hosting danych i infrastrukturę AI. Wprowadzona w 2022 r. polityka Cloud First sygnalizuje przejście w kierunku wdrażania chmury w sektorze publicznym, wysyłając także ważny sygnał globalnym inwestorom. Polityka ta odzwierciedla przekonanie, że infrastruktura cyfrowa jest fundamentalna dla wzrostu gospodarczego.

Przewaga Pakistanu może leżeć w chłodniejszych i zasobnych w hydroenergetykę regionach na północy. Centra danych zużywają ogromne ilości energii do obliczeń, a także do odprowadzania ciepła. Niższe temperatury otoczenia przekładają się na wydajność operacyjną. Zależność ta przyciągnęła firmy zajmujące się tego typu rozwiązaniami do Europy Północnej i innych regionów o chłodniejszym klimacie.

Konwergencja łączności podmorskiej Pakistanu, integracja lądowa z Chinami, polityka Cloud First oraz północne korzyści energetyczno-klimatyczne stawiają to państwo w konkurencyjnej pozycji. Chwila słabości Zatoki Perskiej może skłonić inwestorów do tworzenia rozproszonej i bardziej odpornej infrastruktury cyfrowej. Pakistan może się przekształcić w ważny korytarz cyfrowy. Zatoka Perska pozostanie dominującą siłą w dziedzinie infrastruktury cyfrowej, ale Islamabad – poza widoczną w ostatnim czasie istotną rolą dyplomatyczną – także może się stać istotnym graczem, zwiększającym odporność centrów danych z Półwyspu Arabskiego.

REKLAMA

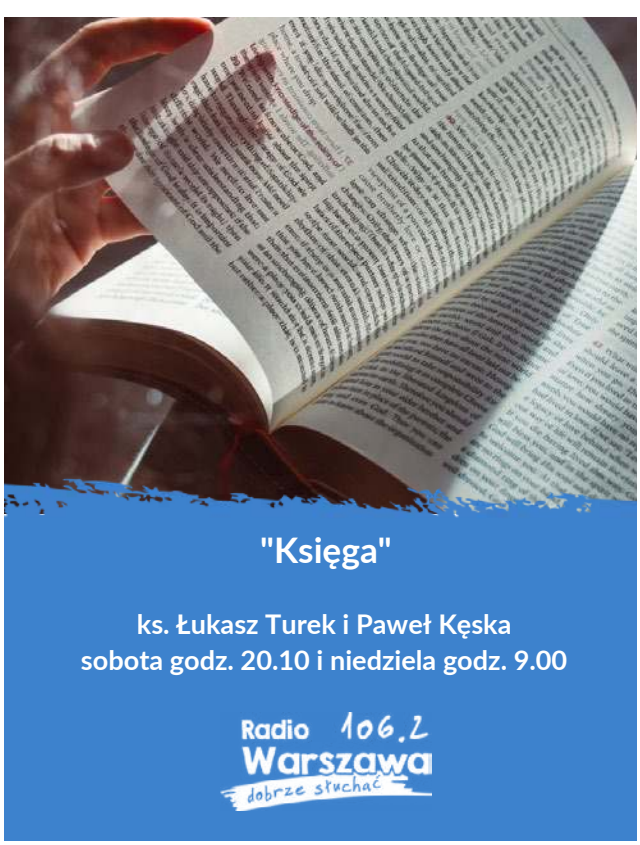

33/0326/F

eprasa.pl 38568eaf2b

Walizka Magdaleny Piejko

scenarzystki, filmowca, dziennikarki

Jedyne, czego byłam pewna podczas studiów, to tego, że nigdy nie będę mieszkać w Warszawie i nigdy nie będę dziennikarką. Z perspektywy akademicko-artystycznej wrocławskiej wyższości to miasto i zawód wydawały się czymś pejoratywnym. We Wrocławiu ukończyłam polonistykę i kulturoznawstwo. Pracowałam we wrocławskim Teatrze Polskim, później w „Notatniku Teatralnym", co było spójne z moimi postanowieniami. Później życie powiedziało „sprawdzam" i przeprowadziłam się do Warszawy. Tu poznałam wspaniałych ludzi i zaczerpnęłam od nich trochę „przedwojennego" ducha, a także ogromne wsparcie w realizowaniu projektów pozornie niedających nadziei na szczęśliwy finał. Takim marzeniem zawsze był film, ale wydawało mi się, że bez ukończenia łódzkiej filmówki nie da się robić filmów. Pierwsze reportaże kręciłam komórką. Później był film o naszym wrocławskim księdzu Stanisławie Orzechowskim „Orzechu", dokument o poznańskiej „Naszości", a teraz ukończyłam mikrofabułę pt. „Musimy porozmawiać" z Lidią Sadową. Wszystko to zawdzięczam warszawskim dobrym aniołom, których część jest już na tamtym świecie, np. śp. Maryna Miklaszewska, Antoni Krauze czy Iza Galicka.

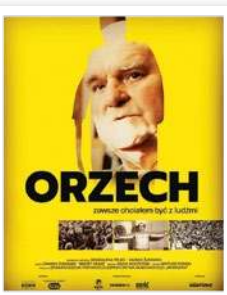

HASSELBLAD

Stary, poczciwy Hasselblad po tacie. Kiedyś był symbolem czegoś naprawdę wielkiego – za jego równowartość można było kupić mieszkanie. Pracuję na nim nieustannie – szczególnie portrety w średnim formacie wciąż mają dla mnie tę unikalną jakość, jakiej – mam wrażenie – nigdy nie da świat cyfrowy.

eprasa.pl 38568eaf2b

TORBY

Torby, wielkie worki, które muszą pomieścić całe przenośne biurko. Zajmują połowę szafy, a więc sporą część mojego niewielkiego mieszkania. Dzisiaj mam przy sobie szczególną – podarunek od śp. Maryny Miklaszewskiej, zaprojektowany przez jej córkę Zosię Chylak.

KSIĄŻKI

Aktualnie dwie pozycje Marion Woodman – jungistki, która pisze o snach i kobiecości. Jeszcze ich nie wypakowałam po powrocie ze świąt w Gdyni. Obok nich „Brewiarz kultury" – trochę jak spóźniona rozmowa z lekturami, które powinnam była bardziej szczegółowo zgłębiać podczas studiów. Wtedy jednak nie było czasu na zbyt długie siedzenie w bibliotece.

ZAPACH

Perfumy – w olejku i kremie. Bodha Air No. 3 to zapach wiosennych kwiatów, rześkiego melona i oceanicznej bryzy.

CIAŁO

Krem z witaminą A – nad Bałtykiem wiatr nigdy nie odpuszcza.

TERMOS

Dobra kawa z kawiarki, z kardamonem i miodem, zamknięta w małym termosie – coś pomiędzy rytuałem a koniecznością.

NOTESY

Różne formy, różne rytmy zapisywania. Pomagają mi porządkować myśli, które z natury są wielowątkowe i chaotyczne.

MUZYKA

Teraz, w podróży świątecznej, „Mesjasz" Haendla – jesteśmy tuż po świętach, a to część rodzinnej tradycji. Moi dziadkowie i mama są melomanami, przy tej muzyce zawsze wracają wspomnienia. I Ibrahim Maalouf – jego dźwięki to dla mnie fascynująca mieszanka tego, co pozornie nie do pogodzenia, a jednak spotyka się w jednym, zaskakująco spójnym brzmieniu.

ZUPEŁNIE NIEPOTRZEBNE

To tzw. kobiece magazyny – moje małe „guilty pleasure". Kupowane bez wyraźnego powodu, głównie dla fotografii. Teksty, zwłaszcza o tym, co należy nosić i myśleć, jednocześnie mnie bawią i drażnią.

RADIO WNET

Obecnie pracuję tam jako tzw. media worker i prowadząca niedzielną audycję „Barbarzyńcy i poeci". Samo miejsce nadaje się na całą osobną opowieść – trochę w duchu „Slow horses" (tytuł serialu). Może to ostatnie miejsce w polskich mediach, w którym nie narzuca się tematów, można palić w pomieszczeniach i każdy właściwie robi, co chce.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, archiwum prywatne Magdaleny Piejko, materiały marketingowe: Ibrahim Maalouf, RAW poznańska, Wydawnictwo Dębogóra

eprasa.pl 38568eaf2b

Samozwańczy mentor z problemami

Europejska polityka ma osobliwy kształt: Niemcy same obsadziły się w roli lidera kontynentu – mentora, który poucza innych, jak prowadzić politykę gospodarczą, energetyczną czy bezpieczeństwa. Ale ten samozwańczy lider sam sobie nie radzi.

Wielu więc widzi Berlin jako filar europejskiego przywództwa. Pamiętamy, że taką wizję otwarcie wspiera zresztą Sikorski, wzywając do większej roli Niemiec w Europie.

Niemcy, które same mierzą się ze stagnacją gospodarczą, nie radzą sobie ze swoimi projektami wojskowymi. Wydali ponad 2 mld euro na cyfrowy system łączności dla Bundeswehry. Efekt? System nie działa. Co więcej, jak ujawnił wyciek z federalnego resortu obrony, projekt realizowany m.in. przez Rheinmetall oblał testy, a ćwiczenia z jego użyciem wykazały wręcz „zagrożenie dla życia i zdrowia". Miał trafić do 10 tys. pojazdów i czołgów. Dziś mówi się, że może zacznie działać... w latach 30. XXI w. 2 mld euro i nic.

A jednak według niektórych polskich polityków to właśnie Niemcy powinny przewodzić Unii i proponować innym „rozwiązania". I właśnie tak wygląda ta „technologia", na którą UE ma nam dziś pożyczać pieniądze. Mechanizm SAFE przedstawiany jako wsparcie, ale przypomnijmy – Niemcy sami nie chcą z niego korzystać, jest za to chętnie wciskany innym, w tym Polsce.

W praktyce oznacza to zadłużanie się na sprzęt, który wcale nie musi zadziałać. Mamy więc brać kredyty na rozwiązania, które mogą się okazać równie niesprawne jak system łączności Bundeswehry. Do tego może być tak, że zanim zdążymy zakupić cokolwiek w Warszawie, dojdzie do zmiany władzy na mniej „wygodną" dla Berlina i nam je zablokują. Złoty interes.

To jednak nie wszystko. Niemcy zapowiadały stworzenie silnej brygady na Litwie – symbolu odstraszania i solidarności NATO. Tymczasem projekt grzęźnie w problemach kadrowych i organizacyjnych. Brakuje żołnierzy, sprzętu, a nawet chętnych do wyjazdu.

I właśnie taki model przywództwa ma dziś zostać narzucony Europie? Taki, w którym wszystko kręci się wokół niemieckiego interesu, a i tak kończy się to kosztowną klapą?

Nie powinno więc dziwić, że wielu, w tym nasz obóz polityczny, woli opierać swoje bezpieczeństwo na sprawdzonych od dekad sojuszach, takich jak relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Chodzi o wiarygodność. Nasz kraj nie może sobie pozwolić na eksperymenty związane z bezpieczeństwem. Zwłaszcza takie, które kończą się – co jest nie do przyjęcia – niemieckim rachunkiem wystawionym Polsce.

Arkadiusz Mularczyk

Wojenne kinowe powroty

Z Julią Pietruchą, aktorką, wokalistką, modelką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Najpierw była 11-letnia Gerda w „Królowej śniegu" na deskach warszawskiego Teatru Syrena, potem siostry bliźniaczki w telenoweli „Na Wspólnej", a w 2007 r. po raz pierwszy trafiła pani do 1939 r.?

Julia Pietrucha: W filmie „Jutro idziemy do kina" Michała Kwiecińskiego. Miałam niespełna 18 lat. To był mój debiut na dużym ekranie.

I od razu specjalna nagroda aktorska na festiwalu w Gdyni?

Niespodziewana. Za chwilę miną dwie dekady, od kiedy powstał ten film. O młodych ludziach wchodzących w dorosłość w czas wojny.

W „Pojedynku", który niedawno wyświetlano w polskich kinach, znów cofnęła się pani do 1939 r. Czym różnią się historie pani bohaterek?

Zosia była młodziutka, niewinna, nieświadoma nadciągających zagrożeń. Spędziła piękne lato przed tym, co miało nadejść. Janina Lewandowska przekroczyła trzydziestkę, jest kobietą silną, samostanowiącą, jak na tamte czasy niezależną (choć mężatką). Lotniczką, spadochroniarką. Ma też wykształcenie muzyczne. I znacznie więcej życiowych doświadczeń niż Zosia, ale i tak nie może być przygotowana na to, co czeka ją w obozie w Kozielsku.

„Pojedynkiem" po latach przerwy (także po serialu „Blondynka") śpiewająco wróciła pani do kina?

Muzyka towarzyszy mi od lat. Była ze mną także wtedy, gdy nie pojawiałam się przed kamerą. Przy okazji „Pojedynku" zostałam też zaproszona do współwykonania utworu promującego film, stworzonego przez Łukasza Mroza. Bardzo bym chciała trafić jeszcze na podobnie ciekawe filmowe oraz muzyczne projekty.

Czytaj też na str. 57

eprasa.pl 38568eaf2b

TRENDY I OWĘDY

Czy to już III WŚ?

Ryszard Makowski

Eksperci twierdzą, że III wojna światowa już się rozpoczęła, tylko większość społeczeństwa nie zdaje sobie z tego sprawy. Chyba lepiej być w tej nieświadomej grupie, bo jak człowiek zacznie o tym myśleć, to nerwica gwarantowana.

Wojna na Ukrainie spowszedniała, ale cały czas trwa i jest niedaleko. Wojna na Bliskim Wschodzie jest znacznie dalej, ale jej konsekwencje widzimy na każdej stacji benzynowej. Do tego straszy wizja użycia broni nuklearnej.

Najgorsze jednak jest to, że jako państwo zostaliśmy całkowicie rozbrojeni. I nie chodzi wyłącznie o zasoby militarne. Zainstalowano u nas rząd z jednej strony groteskowy, a z drugiej sprawnie rozmontowujący państwo. W czasie kryzysu istotną rolę odgrywają finanse, a my mamy deficytową katastrofę. Minister obrony narodowej rozgłasza mrzonki o budowie najsilniejszej armii w Europie. Chyba mu się wydaje, że nosi buławę w plecaku ewakuacyjnym. Jego plany bazują na pożyczce SAFE, ewidentnie pchającej nas w opresję na lata.

Równie niebezpieczna jest polityka antytrumpowska. Krajowa nagonka na Trumpa, wynikająca z tego, że premier i minister spraw zagranicznych nie mają wstępu do Białego Domu, nie leży w naszym interesie. Owszem, prezydent Stanów Zjednoczonych raz wymachuje końcem cywilizacji, by za chwilę rozgłaszać, ile wojen zakończył. Mogą też niepokoić pomysły wycofania USA z NATO, tylko dlatego, że państwa Europy nie pomogły w agresji na Iran, ale pozostaje on jednym z najważniejszych graczy w światowej układance. Wojna czy pokój... Z V kolumną na świeczniku nic dobrego nas nie czeka.

Fot. Aliaksandr Valodzin/East News

ZDJĘCIE TYGODNIA Ziemia i Księżyc widziane przez załogę misji Artemis II

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE FRATRIA: ANDRZEJ WIKTOR, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, LESZEK KOTARBA/EAST NEWS, JULITA SZEWCZYK, SHUTTERSTOCK/ASDF_MEDIA; OFFICIAL WHITE HOUSE PHOTO/MOLLY RILEY, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, SHUTTERSTOCK/KIEFERPIX

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 38568eaf2b

Tusk nie ma, Tusk nie da

Rządowi pieniędzy brakuje na wszystko: od ochrony zdrowia, przez pomoc bezrobotnym, po utrzymanie przy życiu polskiej nauki i zachowanie pamiątek. Polityka prowadzona przez koalicję 13 grudnia przybliża Polskę do finansowej katastrofy

eprasa.pl 38568eaf2b

Gdy rząd Donalda Tuska doprowadził do tego, że dług państwa przekroczył 2 bln zł i już ociera się o konstytucyjną granicę 60 proc. PKB, rosnąc codziennie o 940 mln zł, rodzi się pytanie, co oni robią z tymi pieniędzmi. W jaką czarną dziurę wpadają setki miliardów złotych, że nie tylko brakuje na podstawowe wydatki państwa, lecz także każdego dnia opinia publiczna dowiaduje się o nowych cięciach i rezygnacji z finansowania kolejnych przedsięwzięć, w tym drobnych, z którymi powinien poradzić sobie budżet przeciętnego starostwa, a nawet gminy.

Wydające 60 tys. zł na grafomańskie teksty niejakiego Jasia Kapeli (a to tylko jeden z wielu przykładów) Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odmówiło dofinansowania renowacji sztandaru 68. Pułku Piechoty, odnalezionego w marcu 2025 r. pod Iłowem. Odmówiło pomocy (szacowanej na ok. 200 tys. zł) na zachowanie swego rodzaju narodowej relikwii. Sztandar jest fundamentalnym symbolem walk w bitwie nad Bzurą. Został zakopany przez polskich żołnierzy we wrześniu 1939 r., by nie wpadł w niemieckie ręce. Resort kultury tłumaczy odmowę „ograniczonymi możliwościami finansowania" w ramach programu „Ochrona zabytków". Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, które przechowuje bezcenny zabytek, nie dysponuje takimi środkami i zostało zmuszone do ogłoszenia publicznej zbiórki. Sztandar jest znaleziskiem unikatowym, gdyż niewiele pułkowych znaków z kampanii wrześniowej przetrwało do dziś w kompletnym stanie. Został ukryły przez dwóch młodych chłopaków – braci Mariana i Henryka Popielarków, którzy zginęli w powstaniu warszawskim i tajemnicę miejsca ukrycia zabrali do grobu. Muzeum Ziemi Sochaczewskiej jeszcze w 2025 r. prosiło ministerstwo o pomoc w ramach programu „Wspieranie działań muzealnych". Wniosek nie został przyjęty, bo uzyskał o 9 pkt mniej, niż wynosiło minimum. Teraz muzeum dostało propozycję złożenia wniosku w tym programie za rok. Potem placówka prosiła o środki z puli rezerwowej ministerstwa. I przyszła odmowa. Przyszły też tłumaczenia,

STANISŁAW JANECKI

że ministerstwo ma „ograniczone możliwości finansowania jednostek, których nie jest organizatorem lub współorganizatorem".

Sprawa odmowy sfinansowania renowacji sztandaru jest może drobna, jeśli chodzi o wymiar finansowy, lecz ogromnie ważna, gdy chodzi o to, na co już rządowi Tuska brakuje pieniędzy. A brakuje właściwie na wszystko: od ochrony zdrowia, przez pomoc bezrobotnym, po ratowanie osiągnięć polskiej nauki i narodowych pamiątek. A przecież ledwo co powstała Rada Przyszłości, która miała być wyrazem poważnego i priorytetowego traktowania nauki. Pieniędzy nie ma nawet na bieżące utrzymanie i serwisowanie kluczowego uzbrojenia, np. myśliwców F-16. Reakcja rządu Tuska jest zawsze taka sama: nie mamy pieniędzy i co nam zrobicie?

NIEPOTRZEBNA NAUKA

Aż 90 proc. wniosków o granty złożonych przez polskich naukowców nie doczeka się finansowania. Narodowe Centrum Nauki jest chronicznie niedofinansowane: budżet w wysokości 1,75 mld zł wystarczy na sfinansowanie zaledwie ok. 10 proc. wniosków o granty (w Europie średnia to 20–25 proc.). 25 proc. było na papierze w „Strategii Rozwoju Polski do 2035 r.", ale w planie tego nie ma. W ciągu tygodnia pracę w instytucie Łukasiewicz-PORT we Wrocławiu straciło 11 badaczy o światowej renomie – fizyków, chemików, biotechnologów, elektroników. Część zostawiła świetne posady i programy za granicą, bo odpowiedzieli na apele władzy o powrót. I teraz są potwornie krzywdzeni.

Dramat fundowany przez władzę pokazuje apel Andrzeja Dybczyńskiego, dyrektora PORT w latach 2018–2023 i prezesa sieci Łukasiewicz w latach 2023–2024. Poza zwolnieniem 11 badaczy, 3 kolejnym pensje obniżono o 50 proc., faktyczne zmuszając ich do odejścia. Dla naukowców nie ma pieniędzy, za to wynagrodzenia dyrekcji sięgają 50 tys. zł miesięcznie. Prezesem Sieci Łukasiewicz został Hubert Cichocki, nieznany z osiągnięć naukowych, lecz z tego, że jest powiązany z Polskim Stronnictwem Ludowym. Zatrudniani są politycy, a zwalniani tak wybitni naukowcy jak prof. Alicja Bachmatiuk.

W budżecie na 2026 r. na naukę i szkolnictwo wyższe zaplanowano ok. 44,26 mld zł. Choć kwotowo jest to wzrost, to w relacji do PKB wskaźnik ten spadł do poziomu ok. 1,07 proc. Według Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) jest to najniższy wskaźnik od reformy w 2018 r. Taki poziom nakładów hamuje rozwój i oddala Polskę od średniej w OECD. Rada NCN apelowała o zwiększenie budżetu o 400 mln zł w 2026 r., aby utrzymać sensowny poziom sukcesu w konkursach. W efekcie wskaźnik sukcesu w prestiżowych konkursach (np. OPUS) pozostaje na niskim poziomie, czyli na wiele wysoko ocenionych projektów nie ma pieniędzy.

Brak stabilnego finansowania w licznych placówkach badawczych wymusił decyzje o nieprzedłużaniu umów lub rozwiązywaniu kontraktów. I to z wysoko wykwalifikowanymi naukowcami. Normalne dla rządu Tuska jest „głodzenie" instytutów PAN: Polska Akademia Nauk znalazła się w krytycznej sytuacji finansowej. Brak realnego wzrostu subwencji zmusza dyrektorów instytutów do ograniczania liczby etatów badawczych. Władza opowiada, że musi „czyścić" Narodowe Centrum Badań i Rozwoju po „aferach" z czasów poprzedników. Efektem jest kompletny paraliż w rozliczaniu i przyznawaniu nowych środków. Instytuty badawcze znalazły się w pułapce płynnościowej, co skutkuje redukcją zespołów badawczych i wstrzymaniem prac nad konkretnymi technologiami.

BEZ ZDROWIA, BEZ PRACY

W ochronie zdrowia permanentnie brakuje pieniędzy na nadwykonania w szpitalach, a w budżecie NFZ pogłębia się olbrzymia dziura. Resort zdrowia chce w 2026 r. obniżyć wydatki NFZ o ponad 10 mld zł. Efektem będzie

eprasa.pl 38568eaf2b

likwidacja tzw. współczynnika korygującego dla świadczeń kardiologicznych, nowa taryfikacja w obszarach takich jak elektrofizjologia, badania obrazowe czy chirurgia kręgosłupa, ograniczenia dla leków z listy D („65+" i „18-"), nieprzedłużanie programu pilotażowego „Dobry posiłek w szpitalu".

Szpitale wciąż czekają na rozliczenie przez NFZ nadwykonań zrealizowanych w 2025 r., a ogólna wartość świadczeń niesfinansowanych za 2025 r. wynosi 8,326 mld zł. Całość luki finansowej w 2026 r. ma wynieść blisko 30 mld zł. Federacja Przedsiębiorców Polskich poinformowała, że NFZ nie zapłacił szpitalom ponad 2 mld zł za leczenie pacjentów w programach lekowych w 2025 r. Według FPP to pieniądze za terapie, które już podano, a łączna wartość tych świadczeń sięga niemal 16 mld zł. Opóźnienia w płatnościach powodują, że placówki kredytują NFZ, aby móc dalej leczyć i kwalifikować do programów kolejnych chorych. Zaległości dotyczą rozliczenia leczenia pacjentów z nowotworami hematoonkologicznymi, takimi jak ostra białaczka limfoblastyczna czy chłoniaki T- i B-komórkowe. NFZ zapłacił za leczenie raka szyjki macicy 70 proc. należnych kwot, a w przypadku raka endometrium – 55 proc. Zaległości obejmują m.in. leczenie chorób nerek, choroby Parkinsona oraz leczenie profilaktyczne pacjentów po przeszczepach. Duże braki widać w leczeniu kardiomiopatii – tu NFZ uregulował 63 proc. zobowiązań – oraz miastenii, gdzie zapłacono tylko połowę należności. Po upływie zaledwie pierwszego kwartału 2026 r. sytuacja wielu szpitali wygląda tragicznie. A w rządzie Tuska kombinują, żeby podnieść składkę zdrowotną lub wprowadzić nowy podatek.

Cięcia dotyczą w 2026 r. środków na aktywizację zawodową. Rząd Tuska zapowiedział drastyczne zmniejszenie finansowania pomocy dla osób poszukujących pracy. W 2026 r. na aktywizację zawodową trafi o 1,5 mld zł mniej niż rok wcześniej. Tysiące Polaków mogą przez to stracić szansę na powrót na rynek pracy. W niektórych częściach Polski pomoc dla bezrobotnych już jest ograniczona do absolutnego minimum, pogłębiając lokalne kryzysy na rynku pracy.

Andrzej Domański, minister finansów

Dramatyczne cięcia wydatków na pomoc bezrobotnym stoją w jaskrawej sprzeczności z doskonałą sytuacją finansową Funduszu Pracy. To właśnie z jego zasobów pochodzą środki na programy aktywizacyjne. Na początku 2026 r. w kasie Funduszu Pracy znajdowało się 25,5 mld zł, a prognozy na kolejne miesiące były optymistyczne. Mimo ogromnej nadwyżki rząd Tuska zdecydował się na ruch, który uderzy w najbardziej potrzebujących, pozostawiając miliardy złotych w zamrażarce. Obcięcie środków oznacza mniej staży, szkoleń zawodowych, dotacji na rozpoczęcie działalności gospodarczej, refundacji kosztów zatrudnienia dla pracodawców. A to przecież kluczowe instrumenty w walce z bezrobociem, pomagające tysiącom osób rocznie wrócić na rynek pracy.

SENIORZY NA STRATY

Od utworzenia rządu Donalda Tuska 13 grudnia 2023 r. bon senioralny był czymś, co lada chwila miało zostać zrealizowane, lecz w kolejnych miesiącach pojawiały się takie same komunikaty: prace trwają. Najczęściej serwowała je minister ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz, później zdegradowana do funkcji sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. W marcu 2026 r. okazało się, że ostatecznie projektem bonu senioralnego nie zajął się nawet Stały Komitet Rady Ministrów. Projekt po prostu trafił do kosza. Bonu senioralnego nie będzie. W zrewidowanym Krajowym Planie Odbudowy (KPO) w miejsce ustawy o bonie senioralnym wpisano projekt o asystencji osobistej osób z niepełnosprawnościami. Oznacza to porzucenie systemowej polityki senioralnej. Projekt ustawy o bonie senioralnym ogłoszony w październiku 2024 r. miał realizować kamień milowy A70G Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności („Wdrożenie priorytetów w zakresie reformy określonych na podstawie strategicznego przeglądu opieki długoterminowej w Polsce, w oparciu o wnioski z realizacji kamienia milowego A69G"). Pierwotnie ustawa miała wejść w życie 1 stycznia 2026 r., a w ostatniej wersji – we wrześniu 2026 r.

Bon senioralny miał być niematerialnym świadczeniem o wartości maksymalnie 2150 zł, a jego ideą było, aby bliscy nie musieli rezygnować z pracy na rzecz opieki nad seniorami po 75. roku życia. Miał oferować do 50 godzin usług opiekuńczych (m.in. zakupy, sprzątanie, asysta). Do projektu wpłynęło ok. 1 tys. uwag. Kontrowersyjne było m.in. to, że z bonu senioralnego nie mogłyby korzystać osoby samotne, tylko te posiadające rodzinę. Bon nie byłby też waloryzowany, a otrzymać mogliby go seniorzy o niskich dochodach.

Zdjęcia w artykule: Shutterstock, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 38568eaf2b

Okazało się, że bon senioralny od początku był widmem. Wprowadzono go do tzw. 100 konkretów na 100 pierwszych dni rządu tylko dlatego, że w programie trzeba było umieścić cokolwiek, co wyda się ważne dla powiększającej się grupy seniorów, a więc kilkumilionowego elektoratu. Liczba osób starszych, w tym sędziwych, systematycznie rośnie, a istniejące programy ich wsparcia są niewystarczające. Brak kompleksowego systemu przełoży się na spadek jakości życia znaczącej liczby seniorów niemogących samodzielnie funkcjonować. Ale to odbiera wielu osobom pomagającym rodzicom czy dziadkom możliwość realizowania się zawodowo czy poświęcania czasu na opiekę nad własnymi dziećmi.

Premier Tusk zmarnował pracę setek urzędników i reprezentantów strony społecznej, których wciągnięto w iluzoryczne projektowanie bonu. Zmarnowano tysiące godzin pracy wartej miliony złotych. To jeden z największych skandali w wykonaniu rządu Tuska, uderzający w najstarszych, którzy oczekują pomocy państwa.

RZĄD JAK OKUPANT

W 2026 r. kwota wolna od podatku nie ulegnie żadnej zmianie. Pozostanie na dotychczasowym poziomie, czyli w wysokości 30 tys. zł. Premier Tusk poinformował, że podniesienie kwoty wolnej do 60 tys. zł jest bardzo mało prawdopodobne od 2027 r. Natomiast wiceminister finansów Jarosław Neneman ocenił, że „decyzja o podwyżce kwoty wolnej od PIT do 60 tys. zł to decyzja polityczna" i dodał, że „nie ma przestrzeni dla obniżania podatków". Podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł miało być znaczącą ulgą dla milionów Polaków, zwłaszcza tych o niższych dochodach.

Chociaż rząd zapewnia, że podniesienie kwoty wolnej od podatku nadal jest celem rządu w obecnej kadencji, nie podano żadnych konkretów dotyczących terminu ani sposobu realizacji tej zmiany. W obliczu rosnących kosztów życia oraz wysokiej inflacji wielu obywateli oczekiwało zmniejszenia obciążeń podatkowych. Rząd mówi: tego nie ma i co nam zrobicie?

To, co jest i decyduje o tym, że pieniędzy nie ma już właściwie na nic, to ogromne zadłużenie polskiego państwa, które na początku marca 2026 r. przekroczyło 2 bln zł. Relacja długu publicznego Polski do PKB wyniesie 107 proc. Taki „grecki scenariusz" grozi nam już za 10 lat – napisano w opublikowanym 12 lutego 2026 r. przez Komisję Europejską dokumencie „Debt Sustainability Monitor 2025" (Monitor Stabilnego Zadłużenia). Koszty obsługi długu już przekraczają 2 proc. PKB, a prognozowane deficyty na lata 2025–2027 w wysokości 6–7 proc. PKB tylko przyspieszają narastanie zadłużenia. W 2026 r. dług publiczny ma wzrosnąć o prawie 390 mld zł, co oznacza konieczność codziennego pożyczania ponad 1 mld zł.

> Przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. będziemy obserwować cyrk z puchnięciem długu publicznego. A gdyby obecna koalicja rządząca wygrała wybory w 2027 r., będą m.in. wielkie cięcia w świadczeniach społecznych i podniesienie wieku emerytalnego do 67 lat dla obu płci

Na początku 2024 r. KE oceniała, że w 2034 r. zadłużenie polskiego rządu sięgnie 77 proc. PKB. Na początku 2025 r. prognozowała, że w tym horyzoncie dług publiczny Polski dojdzie do niemal 91 proc. PKB. Aktualna projekcja wskazuje zaś poziom bliski 98 proc. PKB. Dzięki „osiągnięciom" rządu Tuska tylko w latach 2024–2025 w ciągu dekady, czyli do 2036 r., dług publiczny Polski zwiększy się o 47,3 pkt proc. PKB i zbliży się do 107 proc. PKB.

Pożyczka z unijnego instrumentu SAFE (Finansowy Instrument Zwiększenia Bezpieczeństwa) nie zostanie wliczona do państwowego długu publicznego w ujęciu krajowym (według definicji ustawowej), choć w unijnym już tak, więc powiększy ogólne zadłużenie sektora finansów publicznych.

Według ustawy o finansach publicznych przekroczenie 55 proc. PKB przez państwowy dług publiczny oznacza konieczność uruchomienia nadzwyczajnej procedury ostrożnościowej. W takiej sytuacji projekt budżetu na kolejny rok musi albo nie zawierać deficytu, albo tak go ustalić, by obniżyć relację długu Skarbu Państwa do PKB. Zostaną wówczas także zamrożone wynagrodzenia w państwowej sferze budżetowej, a emerytury i renty zostaną zwaloryzowane tylko o wskaźnik inflacji. Rząd, który będzie musiał zacisnąć pasa pracownikom sfery budżetowej i emerytom, straci kilka punktów procentowych poparcia, więc przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. będziemy obserwować cyrk z puchnięciem długu. A gdyby obecna koalicja rządząca wygrała wybory w 2027 r., będą m.in. wielkie cięcia w świadczeniach społecznych i podniesienie wieku emerytalnego do 67 lat dla obu płci. Będzie też prywatyzacja części aktywów państwowych.

Ale przez to wcale nie znajdą się pieniądze na najpilniejsze potrzeby oraz na to, co decyduje o dobrej przyszłości Polski. Naukowcy nie będą już musieli apelować do premiera o pomoc, bo z góry będzie wiadomo, że to nic nie da. A takie prośby jak ta o sfinansowanie renowacji sztandaru o wielkiej narodowej wartości będą przez rządzących wyśmiewane jako czysta fanaberia. Zasadą działania rządu Donalda Tuska jest bowiem cięcie wydatków na co się tylko da, a największe w tych dziedzinach, w których cięć nigdy nie powinno być. Ale taki jest skutek dorwania się do władzy ludzi nie tylko niepotrafiących rządzić, lecz wręcz zachowujących się jak okupant.

eprasa.pl 38568eaf2b

Nasza mowa będzie tak-tak, nie-nie

Państwo musi stworzyć instrumenty, które pozwolą młodym Polakom podejmować ryzyko bez zagrożenia, że przetrąci im to życie, gdy biznes nie wyjdzie. Potrzebna jest możliwość wzięcia preferencyjnych pożyczek, dotacji czy wsparcia. Jeśli mają zdolności i chcą ciężko pracować, Polska da im taką możliwość

Z Michałem Moskalem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, wieloletnim bliskim współpracownikiem prezesa Jarosława Kaczyńskiego, przedstawicielem pokolenia 30-latków w Sejmie RP, rozmawia Jerzy Szmit

Jest pan politykiem najmłodszego pokolenia. Co przyciągnęło pana do polityki?

Michał Moskal: Zaczęło się w liceum w Lublinie w 2011 r. Byłem jednym ze współorganizatorów protestów przeciwko ACTA – próbie cenzury internetu przez ówczesny rząd Donalda Tuska. Potem było Niezależne Zrzeszenie Studentów (NZS) na Uniwersytecie Warszawskim. A po studiach naturalnie trafiłem do Prawa i Sprawiedliwości i do samorządu. Byłem radnym dzielnicy Żoliborz w Warszawie. Pracowałem z ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem i wiceministrem Tomaszem Zdzikotem. Stamtąd trafiłem na Nowogrodzką i do pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego, a z Nowogrodzkiej do Sejmu.

Czym dla tak młodego człowieka była możliwość codziennej pracy z prezesem Jarosławem Kaczyńskim?

Pan prezes Jarosław Kaczyński jest współcześnie najwybitniejszą postacią polskiej polityki. To on od kilkudziesięciu lat odgrywa centralną rolę na naszej scenie politycznej i jest punktem odniesienia dla polityków wszystkich opcji. Dlatego możliwość obserwowania kuluarów polityki i bycia przez kilka lat w oku cyklonu – można powiedzieć: „na terminie" u pana prezesa – to dla mnie niezwykła, kształtująca lekcja życia. Myślę, że kluczowe było moje wcześniejsze doświadczenie w MSWiA i MON oraz to, że posiadałem poświadczenia bezpieczeństwa. Zaczynałem pracę z panem prezesem niedługo przed operacją Łukaszenki na naszej wschodniej granicy. Od kiedy zaczęła się ta akcja i pierwsza faza wojny na Ukrainie, miałem zaszczyt pełnić funkcję szefa gabinetu politycznego pana prezesa Kaczyńskiego.

Jakieś istotne wspomnienie?

Do końca życia będę pamiętał noc, gdy zaczynała się wojna na Ukrainie. Dzień wcześniej wróciłem z pracy do domu przed północą. Przygotowałem garnitur i kilka koszul, bo wiedzieliśmy, że za chwilę wszystko się zacznie. Położyłem się spać z aparatem pod poduszką. Ok. godz. 4.00 zadzwonił telefon. Widzę, że to pan prezes Jarosław Kaczyński: „Dzień dobry, panie Michale, mamy wojnę, zapraszam do pracy". Takich rzeczy się nie zapomina, jak również tych kilku pierwszych dramatycznych dni wojny, gdy decydowały się losy Ukrainy, a także nasza przyszłość. Polska odegrała wtedy kluczową rolę wobec zagrożenia dla całego świata. To, że Ukraina dzisiaj istnieje, a na naszej granicy nie stoją rosyjskie czołgi, jest przede wszystkim zasługą przywództwa Polski w Europie w obliczu agresora ze wschodu, a najlepszym tego symbolem była podróż pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego do Kijowa w pierwszych dniach wojny.

Czy możemy to porównać z sytuacją z 2008 r., gdy prezydent Lech Kaczyński

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 38568eaf2b

swoją podróżą do Tbilisi zatrzymał rosyjską agresję i uratował suwerenność Gruzji?

Tak sądzę. Podczas tego słynnego wiecu pan prezydent Lech Kaczyński zdemaskował imperialną strategię Rosji wobec Europy – podboju kolejnych krajów: „Dziś Gruzja, później Ukraina, potem państwa nadbałtyckie – a później i czas na nasz kraj, czyli na Polskę". Jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, że część ówcześnie rządzących polityków z Donaldem Tuskiem i Radosławem Sikorskim na czele nie przyjmowała tego do wiadomości. Zrobili reset z Moskwą, a nas nazwali rusofobami. W 2014 r., gdy na Ukrainie trwało *de facto* antyrosyjskie powstanie, w Kijowie Sikorski żądał od Ukraińców, aby się poddali albo wszyscy zginą. W 2022 r., po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę, rząd Prawa i Sprawiedliwości pokazał inną politykę. Dla nas Polska jest na tyle silnym i ambitnym krajem, aby być liderem wolnego świata w regionie. I nie musimy ulegać rosyjskiemu imperializmowi.

Ale inaczej myślących nie brakowało.

Tydzień przed rozpoczęciem wojny na Ukrainie Donald Tusk zwołał w ramach swojej kampanii wyborczej pseudosztab, który miał wyglądać jak posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. I te „mądre głowy" od bezpieczeństwa z otoczenia Platformy Obywatelskiej tłumaczyły, że żadnej wojny na wschodzie nie będzie, a zagrożenie już minęło. Tydzień później na Ukrainę spadły pierwsze rakiety. Zupełny blamaż. Tak kończy się układanie polityki wyłącznie pod słupki sondażowe. To zupełny brak odpowiedzialności za własne państwo.

Czy dostrzega pan różnicę w postrzeganiu polityki między młodym a starszym pokoleniem polityków?

Dzisiejszy przekaz polityczny przypomina giełdę na Wall Street. Jednego dnia mamy tysiąc transakcji politycznych i liczy się tylko to, żeby na koniec dnia być na plusie, a nie na minusie. Polityka dyplomacji, kultury gestów, symboli, wyższych celów zanika. W Koalicji Obywatelskiej uznano, że nie ma żadnego znaczenia, czy politycy mówią prawdę, czy kłamią. A łatwiej jest kłamać, żeby dokonywać kolejnych transakcji i kłamstwo przykrywać kolejnym kłamstwem.

Czy jako wyborcy jesteśmy na to skazani?

Całe szczęście nie! Jeśli patrzeć na Prawo i Sprawiedliwość, to myślę, że jednym z naszych wielkich atutów jest silny zespół stosunkowo młodych polityków, którzy mają już duże doświadczenie państwowe. Po dwóch kadencjach PiS wykształciło duży zasób ludzi dynamicznych, wiarygodnych i kompetentnych w różnych obszarach funkcjonowania państwa. Wystarczy spojrzeć na skład Kancelarii Prezydenta z ministrem Zbigniewem Boguckim na czele, a także na takich posłów jak Andrzej Śliwka, Darek Stefaniuk, Sebastian Kaleta. Tych nazwisk można by wymienić naprawdę wiele, a to pokazuje, że gdy przyjdzie czas powrotu do władzy PiS, będziemy mieli naprawdę solidny zespół do naprawy państwa po Donaldzie Tusku.

Dzisiejszy przekaz polityczny przypomina giełdę na Wall Street. Jednego dnia mamy tysiąc transakcji politycznych i liczy się tylko to, żeby na koniec dnia być na plusie, a nie na minusie. Polityka dyplomacji, kultury gestów, symboli, wyższych celów zanika. W Koalicji Obywatelskiej uznano, że nie ma żadnego znaczenia, czy politycy mówią prawdę, czy kłamią

Czym Prawo i Sprawiedliwość chce pozyskać młode pokolenie?

Przez osiem lat rządów PiS było nastawione na wyrównanie gigantycznych różnic rozwojowych między poszczególnymi częściami Polski i różnymi grupami społecznymi. Celem pozostawało to, żeby młody człowiek, który mieszka w małej miejscowości, miał realny dostęp do studiów, pracy i szanse życiowe. Takie jak człowiek z dużego miasta, który ma bogatych rodziców. Wyrównywanie różnic rozwojowych to również 500+, a także kwestie budowy infrastruktury i inwestycji lokalnych. Dzisiaj mamy rząd, który zapomina o całej Polsce powiatowo-gminnej. To tak naprawdę odbiera milionom Polaków możliwość wyboru, gdzie i jak mają żyć. Nie powinno być Polski A i Polski B. Ludzie mają prawo żyć godnie i mieć taki sam dostęp do infrastruktury, szpitali, ośrodków kultury, szkół. Jeśli ktoś żyje w Janowie Lubelskim, to dlaczego ma mieć gorszą opiekę medyczną niż ktoś żyjący we Wrocławiu? W Polsce gminnej i powiatowej nie ma Polaków drugiej kategorii. Wszyscy mają taką samą godność i zasługują na równe zainteresowanie państwa.

Polaków ubywa, pogłębia się katastrofa demograficzna. Czy młodzi widzą to zagrożenie?

Katastrofa demograficzna dotknie wszystkich obszarów naszego życia: gospodarkę, bezpieczeństwo, edukację, naukę, służbę zdrowia, sport... Niestety ten problem wynika z kultury globalnej. Z wielką siłą obrzydzane jest posiadanie dzieci. Musimy z tym walczyć. Całe szczęście widzimy zmiany na świecie, choćby w USA pod rządami republikanów czy we Włoszech. Widzimy też coraz mocniejsze tendencje konserwatywne w innych krajach, nie tylko w Europie. To rodzi nadzieję, że w percepcji społecznej posiadanie dzieci znów stanie się tym, czym jest w istocie – źródłem prawdziwego szczęścia dla człowieka.

Co może przekonać młodych do polityki konserwatywnej?

Odpowiedzi szukamy w programie Prawa i Sprawiedliwości. Najważniejsze

eprasa.pl 38568eaf2b

jest nowoczesne państwo, czyli takie, które zapewni dostęp do taniej energii, a przez to umożliwi transfery technologii i współpracę polskich firm z gigantami technologicznymi. Wymaga to tworzenia centrów mocy obliczeniowej, nowoczesnych jednostek badawczych, budowy realnego zaplecza przemysłowego dla robotyzacji czy sztucznej inteligencji. To też nowoczesne górnictwo surowców krytycznych i ich przetwarzanie. To kierunki, w które idzie świat. Przez rozwój nowoczesnych technologii musimy zwiększać wydajność pracy. Robotyzacja i sztuczna inteligencja są elementami, które z pewnością będą wyraźnie obecne w programie PiS.

A własny biznes?

Mimo że Polska jest stosunkowo bogatym krajem, to Polacy wciąż są niezwykle biednym narodem. Ogromna część z nas żyje z miesiąca na miesiąc, nie odkładając pieniędzy albo odkładając nieznaczne sumy. I nie ma poduszki finansowej, która dawałaby zdolność do podejmowania ryzyka. A bez ryzyka nie da się budować biznesu. Ilu młodych ludzi będzie dziś gotowych zaryzykować 100, 200 czy 500 tys., żeby rozkręcić swoją działalność gospodarczą? A muszą przecież przyjąć, że biznes może nie wyjść i te pieniądze przepadną. Przy takiej strukturze zamożności Polaków, braku zakumulowanego kapitału w rodzinach, państwo musi odgrywać aktywną rolę w stymulowaniu przedsiębiorczości, ale państwo Tuska zupełnie abdykowało na tym polu.

Jak temu zaradzić?

Państwo musi stworzyć instrumenty, które pozwolą młodym Polakom na podejmowanie ryzyka bez zagrożenia, że przetrąci to im życie, gdy biznes nie wyjdzie. Potrzebna jest możliwość wzięcia preferencyjnych pożyczek, dotacji czy wsparcia. Zatrudnienia na preferencyjnych warunkach pierwszych pracowników. Państwo musi wspierać ludzi przedsiębiorczych. Proponować ścieżkę rozwoju i skalowania biznesu dla tych, którym się powiedzie, a także nie zostawiać samych tych, którym się nie uda. Taka logika musi się znaleźć w naszym programie: pokazanie młodym Polakom, że nie muszą mieć bogatych rodziców ani koneksji, żeby mieć szansę w biznesie. Jeśli mają zdolności i chcą ciężko pracować, Polska da im taką możliwość.

Jak reagować w sytuacjach, gdy np. na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim organizowany jest wielodniowy polityczny Campus Polska, a posłowie do Parlamentu Europejskiego muszą się spotykać ze studentami na chodniku?

Nawet gdy działałem jeszcze w NZS na Uniwersytecie Warszawskim– a była to końcówka pierwszych rządów Platformy Obywatelskiej – nie dochodziło do takich sytuacji. Uniwersytety są m.in. po to, aby rozmawiać i konfrontować poglądy. Jeśli uniwersytet staje się strukturą, w której nie ma miejsca na debatę, to zatraca ideę leżącą u jego fundamentów. Ci, którzy do tego doprowadzili, powinni się wstydzić, że część uniwersytetów stała się instytucjami nie rozwoju i wolności, ale indoktrynacji – lewicowej i pseudoliberalnej. Ta praktyka najbardziej krzywdzi same uniwersytety, bo są przez to słabsze, zamknięte. Stają się zaprzeczeniem tego, czym powinny być.

Po wskazaniu prof. Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości wzrosło. Jakich błędów trzeba uniknąć, aby wygrać wybory?

Wskazanie prof. Czarnka pokazuje, w jakim kierunku zmierza Prawo i Sprawiedliwość. To jest też refleksja na temat błędów, które się pojawiały. Ten komunikat brzmi: jesteśmy ideową prawicą, będziemy klarowni i radykalni w naszych planach, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Chcemy mówić o sprawach zasadniczych dla naszego kraju w sposób biblijny: tak-tak, nie-nie. W walce o silną i ambitną Polskę nie ma miejsca na niuansowanie i zostawianie przestrzeni na domysły i wątpliwości. Pan prof. Czarnek idzie do wyborów z jasnym planem. Pokazujemy to w ostatnich tygodniach, mówiąc, jak powinny być rozwiązywane sprawy drożyzny i cen paliw, jak powinny wyglądać nasze relacje z Unią Europejską w energetyce, stosunek do ETS, paktu migracyjnego czy umowy z Mercosur.

Kiedy wyborcy poznają program?

Prace trwają bardzo intensywnie w zespołach, grupach, podgrupach z udziałem ekspertów. Musi być tam część polityczna z głównym przekazem, ale chcemy, aby był to też szczegółowy i obszerny plan. Wielka księga, która od pierwszego dnia, kiedy PiS wróci do władzy, będzie pokazywała krok po kroku, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, co musi być zrobione, by Polska wróciła na właściwe tory.

Czy rozmawiacie z rówieśnikami ze środowisk prawicowych o koalicji?

Nie znam sportowca, który chce wygrać zawody, a zakłada, że zajmie drugie miejsce. Jeśli spojrzymy na sondaże z 2015 r., to w najlepszych mieliśmy 28–29 proc. Pół roku później Prawo i Sprawiedliwość rządziło samodzielnie. Nasi rywale chcą zdołować PiS i wpychać w dyskusje o koalicjach. Szanujemy wyborców i jestem przekonany, że wśród głosujących na inne partie też są patrioci. Ale polityką rządzi matematyka, która wyznacza 231 mandatów plus. To cel Prawa i Sprawiedliwości. Dziś ta perspektywa jest dla nas realna i z taką wiarą będziemy prowadzić kampanię wyborczą. Jednak gdyby Polacy wybrali inaczej, to zobaczymy, czy i gdzie mogą być parlamentarzyści, z którymi łączy nas troska o Polskę.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 38568eaf2b

Znak ostrzegawczy

Dla wielu katolików pożar krzyża papieskiego nie był dziełem przypadku. Atmosfera wokół Kościoła – rozumianego jako wspólnota wiernych – wyraźnie się zagęszcza. A wszystko to dzieje się przy cichej akceptacji obecnego rządu

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Żyjemy w dość trudnych, niestabilnych czasach. Nic zatem dziwnego, że pożar krzyża papieskiego na warszawskim Służewcu nabiera szczególnego znaczenia.

Krzyż, pod którym Jan Paweł II podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 r. wypowiedział na ówczesnym Placu Zwycięstwa w Warszawie historyczne słowa „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!", zajął się ogniem w Wielki Piątek 3 kwietnia, dzień po rocznicy śmierci polskiego papieża.

Pożar w tym właśnie momencie – niezależnie od jego przyczyn – ma z punktu widzenia osób wierzących symboliczną wymowę. Dochodzi bowiem do niego w dniu upamiętniającym śmierć Chrystusa na krzyżu, co można odczytać jako znak, że wezwanie Jana Pawła II sprzed lat wymaga odnowy. Polski Kościół jest słaby i atakowany, wielu Polaków odchodzi od wiary, a katolicy są coraz śmielej rugowani z życia publicznego. Wszystko więc wskazuje na to, że nie udało się odnowić oblicza tej ziemi. Wręcz przeciwnie. Chrystus za sprawą naszych grzechów traci tę ziemię – taka refleksja musiała się nasuwać wielu katolikom, którzy w Wielki Piątek ze zgrozą patrzyli na płonący krzyż.

WYŚMIANI I ZLEKCEWAŻENI

Według wstępnych ustaleń policji do zaprószenia ognia przy krzyżu papieskim doszło od zniczy zapalonych w rocznicę śmierci Jana Pawła II. Silny wiatr miał przenieść ogień na drewnianą konstrukcję. Wykluczono celowe działanie, zwłaszcza że do pożaru doszło po południu, więc potencjalnym podpalaczom trudno by się było ukryć.

Ustalenia policji wzbudziły wiele wątpliwości. Argumentowano m.in., że krzyż z zewnątrz był pokryty blachą i w ciągu kilkudziesięciu lat nigdy nie doszło tu do groźby pożaru od płonących zniczy. Zwrócono też uwagę, że opinia policji wydana zaraz po pożarze nie jest poparta żadną analizą i bazuje wyłącznie na doraźnych oględzinach.

Instalacja tęczy powróci na Pl. Zbawiciela już w czerwcu tego roku

Fot. Leszek Szymański/PAP, Adrian Grycuk/CC BY-SA 3.0 pl

Być może policja ma rację, ale jej twierdzenia to tylko jedna z możliwości. Na razie nie można odrzucać podejrzeń, że pożar został wzniecony celowo. Nie ma jeszcze wyników śledztwa i każdą okoliczność – nawet jeśli niektórym wydaje się mało prawdopodobna – należy brać pod uwagę. Tymczasem ze strony liberalnej dało się usłyszeć sporo głosów pokpiwających z zaniepokojonych wiernych i zarzucających im skłonność do teorii spiskowych. Cel takich działań jest jasny: w dzisiejszej Polsce katolik nie ma prawa czuć się ofiarą i jeśli nie chce być stygmatyzowany lub wyśmiewany, to powinien od swojej wiary odstąpić lub przynajmniej się z nią nie obnosić.

Nic więc dziwnego, że katolicka część społeczeństwa nie czuje się w dzisiejszej Polsce traktowana pełnoprawnie i na równi z innymi. Można to lekceważyć lub z tego drwić – tak jak robi liberalny mainstream – ale takie odczucia są coraz bardziej uzasadnione. Podjazdowa wojna z Kościołem, czy szerzej – z religią katolicką w Polsce – znów przecież nabrała rozpędu.

PODWÓJNE STANDARDY

W chwili, w której płonął krzyż papieski, o swoim istnieniu postanowiła przypomnieć światu niejaka Monika Kirschenstein, do niedawna radna KO ze Stargardu. „Piękny widok" – napisała na Facebooku, ilustrując ten obrzydliwy wpis zdjęciem płonącego krzyża.

Okazało się, że pani Kirschenstein należy do ścisłej czołówki ośmiogwiazdkowców. Świadczyły o tym jej posty znalezione przez internautów, na których co najmniej kilkakrotnie lżyła katolików. „Jej wulgarne wpisy o Kościele wyglądają jak obsesja" – skomentował dziennikarz Tomasz Duklanowski. Hejt uprawiany publicznie przez działaczkę KO nie wzbudził oczywiście żadnych działań ze strony państwa, mimo że w polskim Kodeksie karnym znajduje się art. 196, który przewiduje karę do dwóch lat pozbawienia wolności dla osób, które dopuściły się obrazy uczuć religijnych.

Widać tu jak na dłoni podwójne standardy obowiązujące wobec mowy nienawiści. Obecny rząd deklaruje surowe zwalczanie tego rodzaju przestępstw, przy czym odnosi się to wyłącznie do tych sytuacji, gdy poszkodowani wywodzą się z grup faktycznie uprzywilejowanych pod tym względem, tzn. mniejszości seksualnych, niektórych mniejszości etnicznych oraz osób deklarujących poglądy liberalno-lewicowe. Ochrona pozostałych osób, w tym katolików, jest poza sferą zainteresowania instytucji państwowych. Można co najwyżej dochodzić swoich praw na drodze prywatnej. W takich okolicznościach wspomniany art. 196 Kodeksu karnego jest *de facto* fikcją.

Zresztą jeszcze pięć lat temu posłowie KO Krzysztof Mieszkowski i Adam Szłapka domagali się jego wykreślenia i złożyli stosowny projekt nowelizacji Kodeksu karnego. „Dziś chcemy złożyć kolejną ustawę, która będzie nas przybliżała do tego, czym jest świeckie państwo" – mówił wtedy Szłapka, zapewniając, że depenalizację obrazy uczuć religijnych popiera cała Koalicja Obywatelska. „Rzeczpospolita nie jest przybudówką Kościoła katolickiego, jesteśmy autonomicznym, niezależnym państwem" – dodawał Mieszkowski. Posłom KO najbardziej przeszkadzał brak przepisów, „które pozwalałyby na skuteczne ściganie za czyny i mowę nienawiści, np. wobec osób LGBT+". Intencje były jasne: pozbawić katolików ochrony prawnej i objąć nią środowiska liberalnej lewicy. I dziś to się udało, bo choć ostatecznie do depenalizacji obrazy uczuć religijnych nie doszło, to w praktyce art. 196 nie jest stosowany.

Po wybryku Moniki Kirschenstein władze KO odcięły się od swojej działaczki, usuwając ją z partii. I choć w oficjalnym komunikacie na ten temat mogliśmy przeczytać, że jej wpis na Facebooku był „niedopuszczalną prowokacją i brakiem szacunku dla uczuć religijnych", to przecież wcześniej przez wiele lat nikomu w jej środowisku to nie przeszkadzało. Przyczyna musiała być zatem inna. Pani Kirschenstein lubiła robić sobie zdjęcia z najważniejszymi politykami KO, w tym z Donaldem Tuskiem i Rafałem Trzaskowskim. Miała także fotografie z Adamem Michnikiem. Po jej wpisie na temat krzyża, jakakolwiek – nawet tylko „fotograficzna" – znajomość z panią Kirschenstein mogła zepsuć wizerunek wpływowych postaci obozu rządzącego, więc lepiej było odciąć wszelkie łączące z nią polityczne linki.

> W dzisiejszej Polsce katolik nie ma prawa czuć się ofiarą i jeśli nie chce być stygmatyzowany lub wyśmiewany, to powinien od swojej wiary odstąpić lub przynajmniej się z nią nie obnosić

KRYZYS RELIGIJNOŚCI

Z obrazą uczuć religijnych w naszym kraju jest trochę tak jak z przepisami o aborcji. Mimo zmiany rządu w 2023 r. prawo aborcyjne w Polsce nie zostało formalnie zliberalizowane. Zamiast tego wprowadzono faktyczną depenalizację aborcji ze względu na zdrowie psychiczne kobiety. Oznacza to, że przepisy dopuszczające przerwanie ciąży w ściśle określonych przypadkach nie są stosowane. Albo inaczej – są stosowane, ale wyłącznie w taki sposób, w jaki rozumie je Donald Tusk. To jego modelowa strategia w ryzykownych sprawach. Formalnie nic się zmieniło, podczas gdy faktycznie zmieniło się wszystko.

W sprawie aborcji Tusk wykorzystał fatalny błąd polityczny PiS, które – chcąc powstrzymać odpływ elektoratu do Konfederacji – zdecydowało się naruszyć istniejący kompromis aborcyjny. Ten manewr w niczym nie pomógł Prawu i Sprawiedliwości, wręcz przeciwnie – był iskrą, która w 2020 r. doprowadziła do wybuchu antypisowskiej rewolty, co natychmiast wykorzystał politycznie Tusk. Konfederacja, która wcześniej nawoływała do zaostrzenia prawa aborcyjnego, natychmiast umyła ręce, a przestraszony Kościół zamilkł. PiS wyszło z tego starcia osłabione i poobijane, a na całej awanturze zyskał Tusk, który przejął inicjatywę oraz – co warto zauważyć – Konfederacja.

Tusk przedstawiał spór o aborcję bardzo sprytnie. Nie było mowy o zabijaniu nienarodzonych dzieci, ale o prawach kobiet. W rzeczywistości wojna o dostęp do aborcji i tzw. strajk kobiet stanowiły iście diabelskie uderzenie w Kościół i w podstawy wiary.

Potwierdzają to statystyki. Z danych na temat religijności w Polsce, które opublikowało w 2024 r. CBOS, wynika, że w okre-

eprasa.pl 38568eaf2b

sie sporów aborcyjnych doszło do największego w ostatnim czasie spadku liczby wiernych. O ile jeszcze w 2019 r. wiarę w Boga deklarowało 91 proc. Polaków, to po sześciu latach liczba ta spadła do 78 proc. Wraz z wiarą spadał również – i tak niewysoki – udział w praktykach religijnych: z 37 proc. w 2019 r. do 29 proc. w 2024 r. Najsilniejsze spadki odnotowano wśród najmłodszych Polaków. W 2021 r. uczestnictwo licealistów w praktykach religijnych spadło do 19 proc. (z 32 proc. w 2016 r.). Trudno nie wiązać tych danych z masową antypisowską rebelią, jaką był tzw. strajk kobiet.

To prawda, że procesy sekularyzacyjne postępowały od dawna. Jednak tak nagły skok tych postaw jest skutkiem obłąkanej wojny politycznej, do której Tusk postanowił włączyć wszystko – również kwestie religijne. Oczywiście nigdy nie atakował z otwartą przyłbicą. Zamiast tego wysługiwał się usłużnymi politykami ze swojego obozu, Nitrasami opowiadającymi o „opiłowywaniu katolików", aktywistami i przeróżnymi fiksatami, aby samemu nie wikłać się w żadne konsekwencje. Dobrym przykładem może być choćby Marta Lempart – główna twarz aborcyjnej awantury – która zrobiła swoje i po zmianie władzy została zepchnięta na boczny tor, aby nie psuła obrazu „uśmiechniętej Polski".

SKUTECZNIEJ OD URBANA

Kościół niezłomny, który w PRL i wcześniej, podczas zaborów, potrafił być oparciem dla polskich katolików, dzisiaj już praktycznie nie istnieje. Choć i wtedy nie wszyscy mieli mocne kręgosłupy – wystarczy wspomnieć o ruchu księży-patriotów. Dziś z kolei trudno oprzeć się wrażeniu, że pewna część hierarchii kościelnej najbardziej ze wszystkiego boi się posądzeń o jakąkolwiek sympatię do PiS czy szeroko rozumianej prawicy. Na szczęście ze zwykłymi prezbiterami bywa inaczej.

Wielu hierarchów zamknęło się w swoich gabinetach i robi dobrą minę do złej gry. Trudno było np. usłyszeć głośny sprzeciw wobec aresztowania i trzymania w areszcie wydobywczym ks. Olszewskiego, oskarżonego o „udział w zorganizowanej grupie przestępczej, pranie pieniędzy oraz przywłaszczenie mienia znacznej wartości".

Zamiast tego hierarchowie, tacy jak kard. Ryś czy abp Polak, brylują w reżimowej TVP Info, a Konferencja Episkopatu Polski publikuje list, w którym zachęca się katolików do modlitwy w synagogach. Szczęśliwie nie odczytano go w wielu kościołach, aby nie wywoływać zgorszenia wśród wiernych.

Mamy tu do czynienia z szerszym kryzysem chrześcijaństwa na całym Zachodzie, który dotyka również Polski i objawia się utratą ewangelizacyjnej misji. Ale jednocześnie część duchowieństwa zdaje sobie sprawę z tego, że nieustannie jest na celowniku liberalnych hunwejbinów, którzy w każdej chwili są gotowi do strzału.

Jeden z księży opowiadał mi parę lat temu, że w jego zakonie brakuje osób chętnych do pracy z młodzieżą, a zwłaszcza z dziećmi. Przyczyna jest oczywista – strach przed fałszywym oskarżeniem o pedofilię. Tomasz Sekielski, obecnie gwiazda neo-TVP, który w 2019 r. zrobił głośny film o pedofilii w Kościele, utrwalił w społeczeństwie wizerunek księdza jako seksualnego drapieżnika – rzecz, której nigdy nie udało się dokonać komunistom.

W tym sensie Sekielski okazał się znacznie skuteczniejszy od Jerzego Urbana. Co warte podkreślenia, ten sam Sekielski nie uznał za stosowne zrobić podobnego filmu o działaczach Platformy uwikłanych w podobne (a nawet znacznie gorsze) skandale. Nie usłyszeliśmy jego wypowiedzi na temat afery w Kłodzku. Nie chodziło więc o pedofilię, lecz o uderzenie w Kościół i zszarganie jego wizerunku. I to się udało, czego nie zmienił później fakt uniewinnienia dwóch bohaterów filmu Sekielskiego od przypisywanych im czynów.

TĘCZA ZAMIAST KRZYŻA

Jednak strach przed pedofilem w sutannie znacznie wykraczał poza kwestie wizerunkowe. Wkrótce pojawiły się postulaty idące dalej, m.in. zakaz spowiadania dzieci i egzorcyzmowania nieletnich. Cel kampanii firmowanej przez Sekielskiego jest więc zupełnie inny: chodzi o wyciągnięcie dzieci z kościołów i poddanie ich – wbrew woli rodziców – liberalnemu praniu mózgów. A to już czysty bolszewizm.

Antykatolicka propaganda i poczucie bezkarności ośmielają przeróżnych wariatów do zakłócania mszy (tak jak bywało podczas tzw. strajku kobiet), ścinania przydrożnych krzyży czy napaści na księży. W marcu tego roku, uczestnicy tzw. łódzkiego marszu antyrasistowskiego skandowali głośno: „Katole, wy ch...je, Antifa was wymorduje!". Policja nie interweniowała, nikt nie został zatrzymany, choć mieliśmy tu do czynienia z podżeganiem do przemocy.

Trudno się więc dziwić, że dla wielu katolików pożar krzyża papieskiego nie mógł być dziełem przypadku. Atmosfera wokół Kościoła – rozumianego jako wspólnota wiernych – wyraźnie się zagęszcza. A wszystko to dzieje się przy cichej akceptacji obecnego rządu.

Ogień trawiący krzyż papieski może być w tym kontekście znakiem ostrzegawczym. Ale równie symboliczny wymiar ma przywrócenie w Warszawie tęczy na Placu Zbawiciela, rozebranej w 2015 r. Tęcza pojawi się w czerwcu – jej otwarcie ma nastąpić podczas Parady Równości. Stanie przed kościołem Najświętszego Zbawiciela – tym samym, który po II wojnie światowej komuniści chcieli pozbawić wież, aby nie „psuły" panoramy socjalistycznej dzielnicy mieszkaniowej (MDM).

Krzyż papieski ma zostać odbudowany, na razie jednak leży powalony ogniem. W zamian będziemy mieli różnokolorową tęczę. Idziemy w tym samym kierunku, w którym przed nami szły inne katolickie kraje Europy. Co będzie następne? Zamykanie kościołów z powodu braku wiernych? Być może musimy przez to przejść. Chyba że pożar krzyża papieskiego pomoże wybudzić katolików z letargu.

Procesy sekularyzacyjne postępowały od dawna. Jednak nagły skok tych postaw jest skutkiem obłąkanej wojny politycznej, do której Tusk postanowił włączyć kwestie religijne

eprasa.pl 38568eaf2b

List Konferencji Episkopatu Polski z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze miał być kurtuazyjną refleksją nad pewnym wydarzeniem historycznym i teologicznym, a stał się przyczyną zażartych dyskusji i sporów w środowisku duchownych i świeckich

GORAN ANDRIJANIĆ

Jan Paweł II witany przez rabina Elio Toaffa w rzymskiej synagodze, 13 kwietnia 1986 r.

Burza wokół

Od dłuższego czasu nie było w polskim Kościele katolickim wydarzenia, które wywołało aż tak mocne wewnętrzne dyskusje między wiernymi, jak to wiążące się z opublikowaniem wydawałoby się na pierwszy rzut oka „niegroźnego" listu biskupów.

13 kwietnia br. mija 40 lat od dnia, w którym św. Jan Paweł II złożył wizytę w rzymskiej Synagodze Większej. Był to pierwszy następca św. Piotra, który od czasów apostolskich przekroczył próg żydowskiego domu modlitwy. Można nawet powiedzieć, że był pierwszy po św. Piotrze, rybaku z Galilei i Żydzie, którego Jezus Chrystus nazwał skałą, na której zbuduje swój Kościół.

Wizytę polskiego papieża w synagodze już wtedy zinterpretowano jako wydarzenie historyczne i mające na celu skierowanie stosunków żydowsko-chrześcijańskich, które przechodziły różne fazy, w stronę silniejszego dialogu.

Teraz część polskich biskupów zdecydowała się na opublikowanie listu upamiętniającego to ważne wydarzenie. Co prawda może jego bezpośredni autorzy (którzy w tym momencie wciąż są anonimowi) nawet byli świadomi, że treść tego dokumentu sprowokuje dyskusję. A może nawet na to liczyli.

„IZRAEL NARODEM WYBRANYM"

List, będący swoistą analizą relacji Kościoła katolickiego z Żydami, miał być czytany w polskich kościołach w piątą niedzielę Wielkiego Postu, kiedy katolicy kontemplują Ewangelię o wskrzeszeniu Łazarza przez Jezusa. Dlatego tekst rozpoczynał się od opisu tego wydarzenia, prowadząc je do zakończenia analogicznego do tematu dokumentu.

„Śmierć Jezusa jest ceną życia, które wrócone jest Łazarzowi" – czytamy w liście.

„Taka jest dyscyplina Bożego działania i odkupienia: nasz Pan nie chroni nas magicznie od duchowej śmierci (jaką jest grzech); ile razy jednak ją wybieramy, tyle razy jest gotów nas z niej wyprowadzić. Nie godzi się na nasze trwanie w śmierci! A kto trwa w śmierci? Jasnej odpowiedzi udziela nam św. Jan w swoim Pierwszym Liście: »KTO NIE MIŁUJE, TRWA W ŚMIERCI« (1 J 3, 14). Jednym z takich śmiertelnych deficytów miłości był (i niestety ciągle jeszcze pozostaje) ANTYSEMITYZM. Ale i z tej »śmierci« wyprowadził (i wyprowadza) nas Pan – szczególnie w ciągu ostatnich 60 lat – dzięki wydarzeniom, które czujemy się zobowiązani wszystkim nam przypomnieć".

Dlaczego w ciągu ostatnich „60 lat"? Ponieważ 60 lat temu opublikowano „Nostra aetate", deklarację Soboru Watykańskiego II o stosunku chrześcijaństwa do innych religii, w tym do judaizmu. Dokument ten interpretowano

Fot. Alamy Stock Photo

eprasa.pl 38568eaf2b

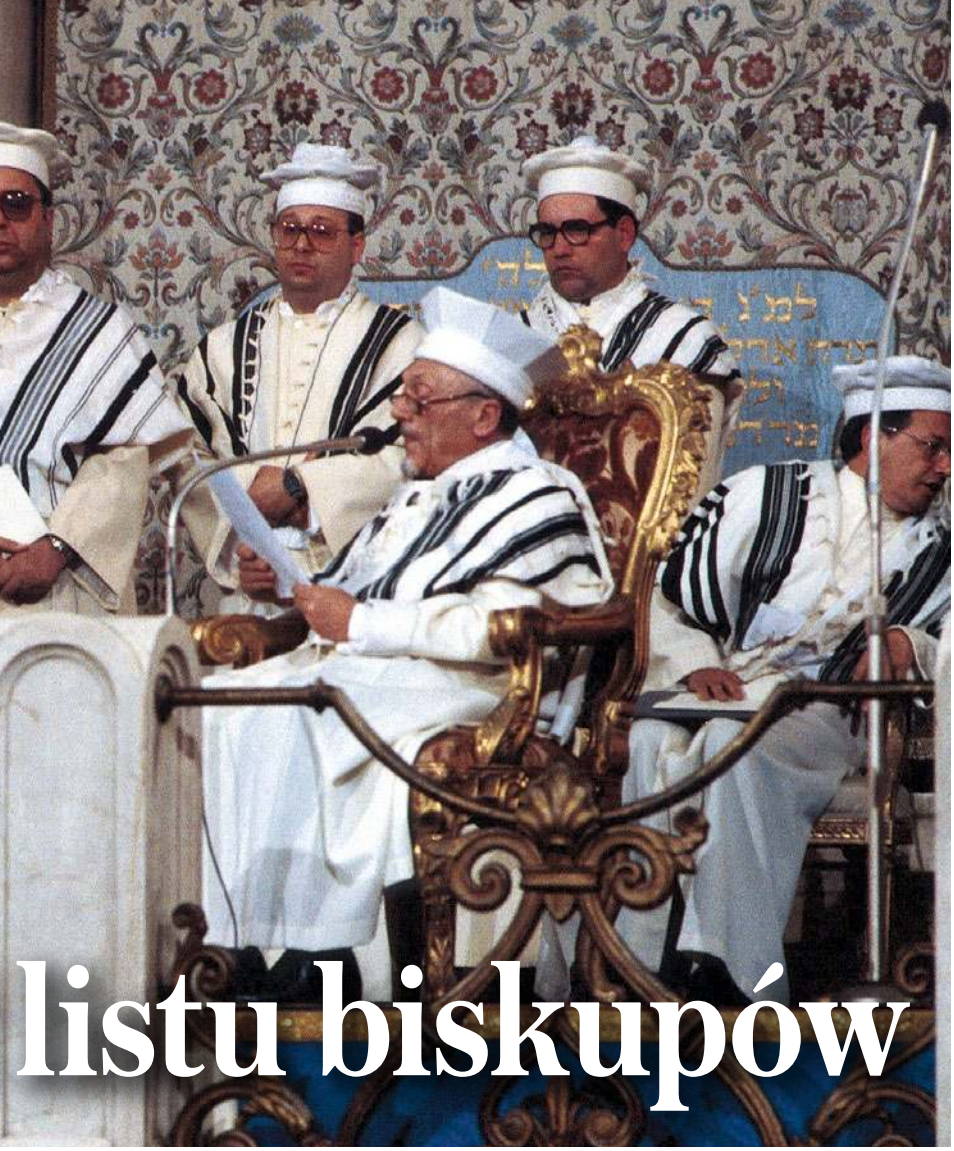

listu biskupów

również jako pewną zmianę nie tyle w doktrynie, ile w praktyce Kościoła katolickiego w relacjach z wyznawcami innych religii.

List, będący swoistym streszczeniem nauki katolickiej w relacji do judaizmu, w niektórych fragmentach nawiązuje właśnie do tej deklaracji. Natomiast jego duch jest jednak bliższy innemu dokumentowi, który w sensie doktrynalnym i kościelnym ma znacznie mniejsze znaczenie. Chodzi o dokument „Bo dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne", który Komisja Stolicy Apostolskiej ds. Relacji Religijnych z Judaizmem wydała w grudniu 2015 r.

Właśnie na niego powołują się biskupi (albo część z nich) w swoim liście, i to we fragmentach, które są najbardziej kontrowersyjne, głównie w sensie teologicznym. Chodzi o część, która np. mówi o tym, że Żydzi wciąż zajmują szczególne miejsce w Bożym planie zbawienia.

„Bóg bowiem, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym" – czytamy w liście.

Oraz: „Nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa – jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą".

W pewnym momencie dokument zdaje się przyjmować argument, który można było usłyszeć w kręgach wrogów Kościoła, mianowicie, że katolicyzm z samej swojej definicji sprzyja umacnianiu i rozwojowi antysemityzmu. Przy tym powołuje się na autorytet świętego papieża Jana Pawła II.

„W swoim wystąpieniu [w synagodze – przyp. red.] papież radykalnie sprzeciwił się przedstawianiu Żydów jako »odrzuconych albo przeklętych«. Przez ponad półtora tysiąca lat treści te, obecne w katolickim nauczaniu i błędnej interpretacji Pisma Świętego, kształtowały postawy chrześcijan, przyczyniając się do nienawiści, prześladowań i manifestacji antysemityzmu".

KONTROWERSJE TEOLOGICZNE

Po opublikowaniu listu nastąpiły gwałtowne reakcje.

Po pierwsze, krytycy twierdzili, że dokument zawierający wyraźne elementy filosemickie pojawia się w bardzo złym momencie – w czasie, kiedy w Strefie Gazy i Libanie trwają operacje wojenne Izraela, które wielu określa mianem ludobójczych. Pisanie listów apologetycznych o Żydach w czasie, kiedy ich państwo prowadzi agresywną politykę, również wobec chrześcijan Bliskiego Wschodu, jest niesmaczne i cyniczne – uważają.

Po drugie – i to jest ważniejsze – krytycy listu zwracają uwagę na to, że jest on co najmniej kontrowersyjny teologicznie. Znany biblista i ekspert w dziedzinie teologii dialogu religijnego ks. Waldemar Chrostowski zwrócił uwagę na wątpliwą treść teologiczną tekstu biskupów.

„W tym liście teologia relacji Kościoła z Żydami i judaizmem została w moim przekonaniu podporządkowana, stała się narzędziem do zwalczania antysemityzmu. Wobec tego mamy do czynienia z przyjęciem przez autora czy autorów tego listu żydowskiej agendy relacji z Kościołem" – zauważył ks. prof. Chrostowski, nawiązując do fragmentów dokumentu, w którym jest mowa o zbawieniu Żydów bez Chrystusa.

I dodaje: „Komentarze krytyczne wobec listu pochodzą przede wszystkim z woli zrozumienia wiary chrześcijańskiej, z woli głębszej przynależności do Kościoła. Bo jeżeli judaizm jest tak atrakcyjny i jeżeli droga bez Chrystusa jest tak samo skuteczna, jak droga z Chrystusem, to dlaczego właściwie jesteśmy chrześcijanami? Tu jest kluczowy punkt właśnie wyjścia, co przemawia za tym, że droga z Jezusem Chrystusem i z Bogiem, który objawił siebie w Jezusie Chrystusie, jest nie tylko inna, ale jest zasadna i że warto i trzeba nią pójść".

Następną ważną i merytoryczną reakcję na list Konferencji Episkopatu Polski zaprezentował ks. prof. Waldemar Rakocy CM, profesor KUL. Zareagował na zdanie z tekstu, w którym

eprasa.pl 38568eaf2b

twierdzi się, że „Izrael pozostaje nadal narodem wybranym".

„Nie ma takiego okresu w historii zbawienia, w którym wybrany przez Boga lud był wyłącznie etnicznym Izraelem i mogłoby mu przysługiwać określenie »naród wybrany« (gdyby pojęcie »naród« wówczas istniało)" – napisał teolog.

Jak tłumaczył ks. prof. Rakocy, „od samego początku, tj. od dwunastu synów Jakuba, których możemy uznać za początek ludu izraelskiego, są wśród nich poganie. Żony Judy i Symeona były Kananejkami, a żona Józefa – Egipcjanką. Wybranie Izraela było zawsze związane z innymi grupami etnicznymi, dlatego nigdy nie miało charakteru narodowego... W historii zbawienia nie jest znane pojęcie »naród wybrany«, bo jest błędne historycznie i teologicznie. Pojęcie zaś »lud wybrany« jako kategoria zbawcza odnosi się do każdego, kto realizuje zbawczy zamysł Boga. To, co Bóg przygotowywał w historii Izraela Starego Testamentu, znajduje realizację w Kościele Bożym: jest to lud Boży, a nie naród Boży".

– Głównym problemem w tym wszystkim jest to, że list powołuje się na dokumenty, które nie mają wielkiego znaczenia teologicznego – powiedział nam jeden z naszych rozmówców z Kościoła, który dobrze zna okoliczności powstania tego tekstu. – Dokument promuje popularną w liberalnych kręgach Kościoła teologię „dwóch przymierzy", zgodnie z którą Żydzi mają szczególny status w historii zbawienia, a przymierze mojżeszowe nadal ma wartość. Jednakże deklaracja „Nostra atetate", do której w pewnym stopniu odnosi się list, jest w tym sensie bardzo jasna. Zadaniem Kościoła jest głoszenie Krzyża Chrystusa jako znaku miłości i źródła łaski wszystkim, także Żydom. Natomiast dokument komisji watykańskiej z 2015 r., który forsuje tezę o Żydach jako „narodzie wybranym", nie jest częścią Magisterium. Chodzi o dokument, który był owocem pewnego kompromisu i który tworzyli również rabini biorący udział w pracy komisji. On nie może być źródłem autorytatywnego nauczania prawd wiary.

SENSUS FIDEI POLSKICH KATOLIKÓW

Okoliczności powstania tego listu również są interesujące. Chociaż został on podpisany przez „Pasterzy Kościoła katolickiego w Polsce obecnych na 404. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski", nasze źródła bliskie episkopatowi twierdzą, że na tym posiedzeniu nie odbyła się żadna dyskusja nad treścią dokumentu, a nawet że nie głosowali nad nim wszyscy biskupi. Nie jest jasne, kto dokładnie jest autorem, ale na pewno głównym inicjatorem napisania tego listu do wiernych jest kard. Grzegorz Ryś, metropolita krakowski. Jak twierdzą nasi rozmówcy, jego treść w pełni odpowiada jego poglądom na temat relacji między katolicyzmem a judaizmem, które wyrażał już w czasie, gdy był arcybiskupem łódzkim, organizując fora i spotkania z rabinami.

> Dokument promuje popularną w liberalnych kręgach Kościoła teologię „dwóch przymierzy", zgodnie z którą Żydzi mają szczególny status w historii – powiedział nam jeden z naszych rozmówców z Kościoła, który zna okoliczności powstania listu biskupów

Pierwotnym pomysłem było odczytanie listu we wszystkich kościołach podczas mszy w piątą niedzielę wielkanocną, ale ostatecznie biskupi postanowili, że każdy z nich sam oceni, czy jest to konieczne w ich diecezji. Doprowadziło to do sytuacji, że w niektórych diecezjach, m.in. warszawskiej, wierni nie poznali na mszy treści tego dokumentu.

„W moim odczuciu niezrozumienie tego listu wynika z faktu, że to czego Kościół systematycznie uczy przez ostatnie 60 lat, najwyraźniej wciąż nie dotarło do naszych wiernych. Potrzebujemy w tej kwestii – i może nie tylko w tej – poważnej i konsekwentnej edukacji religijnej w polskim Kościele" – powiedział kard. Ryś w rozmowie z PAP, odpowiadając na krytykę dokumentu, którego napisanie zainicjował prawdopodobnie on sam.

Inni zwolennicy listu posługiwali się podobnymi argumentami: ci, którzy krytykują dokument, są albo ignorantami, albo antysemitami, albo „prawicowymi fanatykami". Tym razem głos wiernych wydaje się jednak zbyt silny, by go zignorować.

– Są dwa powody, dla których ten list wywołał tak silne reakcje – mówi nasz rozmówca, który doskonale zna sytuację w polskim Kościele. – Po pierwsze, Polacy mają już dość lekcji o antysemityzmie. Żaden z biskupów nie mówi o antypolonizmie, który też istnieje i jest grzechem, mówią tylko o antysemityzmie, który, jak się twierdzi, jest powszechnym zjawiskiem w Polsce. Po drugie – i to jest o wiele ważniejsze – wierzący czują, że to walka o autentyczną teologię zbawienia. Mówi im się, że Żydzi mają rację i nie trzeba ich nawracać. Wkrótce będziemy też słyszeć, że muzułmanie mają rację i nie trzeba ich nawracać. Albo że feministki czy aktywiści LGBT+ mają rację. Powinniśmy ich wszystkich tolerować i akceptować, oddając cześć bogu dialogu. Katolicy mają już tego dość i nie są głupi.

Nasz rozmówca – podobnie jak inni, z którymi wymienialiśmy opinie w tej sprawie – zgadzają się co do jednego: reakcja na list Konferencji Episkopatu Polski pokazuje, że *sensus fidei* (zmysł wiary) katolików w Polsce wciąż jest żywy, dynamiczny i potrafi okazać swoją siłę, gdy zajdzie taka potrzeba. Niektórzy interpretowali tę sytuację niemal jako „atak na biskupów". Chodzi jednak o coś innego: Kościół w Polsce ma obecnie o wiele ważniejsze problemy niż upieranie się przy „właściwym podejściu" do judaizmu. To, że ktoś w episkopacie ma obsesję na tym punkcie, nie oznacza, że wszyscy powinniśmy zajmować się czyjąś teologiczną idée fixe.

eprasa.pl 38568eaf2b

Dzieciństwo na sprzedaż

W rzeczywistości, w której prywatność staje się walutą, a życie rodzinne zamienia się w produkt do konsumpcji, film „Babystar" w reżyserii Joschy Bongarda prowokuje do refleksji nad granicami obecności w sieci. To ironiczne spojrzenie na świat, w którym dzieci od pierwszych chwil życia funkcjonują przed kamerą, a uczucia i bliskość są przeliczane na wyświetlenia i zyski

DOROTA ŁOSIEWICZ

To nie jest film o internecie. To jest film o dzieciach, które nigdy nie miały szansy być tylko dziećmi. „Babystar" uderza tam, gdzie boli najbardziej – w pozorną niewinność codziennych gestów.

GRA POZORÓW

Zdjęcie. Relacja. Filmik. Uśmiech na pokaz. To wszystko, co miało być pamiątką, staje się walutą. A dziecko? Staje się treścią. Produktem. Narracją, którą można edytować, filtrować i sprzedawać. Sharenting (nadmierne publikowanie przez rodziców w internecie zdjęć, filmów i informacji o dzieciach) nie jest już błędem. Jest systemem. Mechanizmem, który działa cicho, skutecznie i powszechnie, często pod przykrywką miłości. To opowieść o świecie, w którym narodziny są początkiem marki, a nie życia. O rzeczywistości, w której prywatność dziecka nie znika nagle, ona nigdy nie istnieje. Od pierwszego obrazu USG przez pierwszy krok, pierwszy płacz aż po pierwszy bunt – wszystko zostaje zarchiwizowane, opisane i ocenione. Publicznie. Bez zgody. Bez możliwości wycofania. Internet nie zapomina. Dzieci nie mają wyboru.

„Babystar" nie krzyczy. On pokazuje. A to jest jeszcze bardziej niewygodne. Bo nie daje widzowi komfortu dystansu. Nie pozwala powiedzieć: „To nie o mnie". Pokazuje rodziców, którzy nie widzą granicy, bo granica przestała być opłacalna. Pokazuje dorosłych, którzy nauczyli się mierzyć bliskość zasięgami, a uwagę liczbą reakcji. Pokazuje dom, który wygląda jak schronienie, ale funkcjonuje jak plan zdjęciowy. Każdy gest ma znaczenie. Każda emocja – potencjał. Każda chwila – wartość rynkową. A pośrodku tego wszystkiego jest dziecko. Dziewczyna, która ma miliony obserwujących, ale żadnych przyjaciół, ani jednej bezpiecznej przestrzeni, w której mogłaby być sobą. Która uczy się, że na miłość trzeba zasłużyć – najlepiej wtedy, gdy kamera jest włączona. Że autentyczność jest mile widziana, o ile dobrze się klika. Że słabość może zostać wykorzystana, a nie zrozumiana.

LUCA

Luca ma 16 lat i wydaje się idealną, szczęśliwą nastolatką w sieci. Razem z rodzicami, Stellą i Chrisem, wiedzie cudowne życie. Są @our_bright_life, rodzinnym imperium influencerów, które powstało w momencie opublikowania pierwszego zdjęcia USG Luki. Dla prawie 4 mln obserwujących stworzyli nieskazitelny obraz i zarobili przy tym fortunę. Kiedy Luca dowiaduje się, że jej rodzice chcą mieć kolejne dziecko, stara się bardziej niż kiedykolwiek sprostać ich oczekiwaniom, aby zapewnić sobie miejsce w rodzinie. Jednak Stella i Chris przekraczają granice w pogoni za większą liczbą kliknięć, pokazując obawy dziewczyny przed nowym rodzeństwem. Sfrustrowana Luca zaczyna się buntować, a starannie wykreowany wizerunek rodziny zaczyna pękać.

Luca z pozoru ma wszystko: piękny dom z basenem, kochających rodziców, ale nie ma przyjaciół, a wszystko jest na pokaz

Fot. Fundacja „Filmowa Warszawa"

eprasa.pl 38568eaf2b

i na sprzedaż. Rodziców bardziej niż emocje córki interesują zasięgi w sieci. Gdy ta zaczyna się buntować i na oczach rodziców próbuje się utopić, ci patrzą w komputer i telefony, ciesząc się z przybywających followersów. Reakcja pojawia się dopiero, gdy dziewczyna wrzuca do basenu laptop ojca. To może zwrócić jego uwagę, córka – nie. Gdy Luca prosi rodziców, by byli normalni, ci pytają: „Chcesz nie mieć domu, samochodu, chcesz rodziców pracujących od świtu do nocy i obiadu z mikrofali?". Tam nawet pies musi pasować do koloru mokasynów, ale Luca stawia na swoim i wybiera najmniej idealnego.

Luca ma swojego awatara. To deal z przedstawicielami firmy AI, którzy przekonują rodziców, że miliony nastolatków chcą być jak Luca i chcą z nią rozmawiać. Dziewczyna, która nie zna prawdziwych emocji, nie ma przyjaciół, a próby nawiązania więzi społecznych kończą się katastrofą, bo nawet gdy spotyka ludzi, którzy nie patrzą na nią jak na towar, nie potrafi nawiązać z nimi prawdziwej relacji, zabija samotność, rozmawiając ze swoim awatarem.

Całe życie Luki jest w sieci. Pierwsze skorzystanie z nocnika, rozmowa o pierwszej miesiączce przed kamerami. Gdy dziewczyna uświadamia sobie, że jej życie zostało sprzedane, próbuje pokazać rodzicom, co zrobili. Jednak skorzystanie z nocnika w eleganckiej restauracji na oczach wszystkich kończy się opowieścią o włamie na konto i oskarżeniem sztucznej inteligencji o spreparowanie nagrania. I są łzy na pokaz. Nawet restauracja jest na pokaz i na potrzeby sieci, bo rodzina „dojada" później fast fooda w samochodzie. To już się nie nagrywa.

Wiedząc, że jest bohaterką milionów, Luca postanawia poszukać innej rodziny. Okazuje się, że nie ma tam idealnego jedzenia, idealnych scenerii, ale są prawdziwe emocje. Dziewczyna słyszy tam pytanie: „Zawsze byłaś taka? Bez duszy?".

> Co się stanie, kiedy te dzieci dorosną? Kiedy zobaczą, że ich życie było spektaklem na sprzedaż? Że ich emocje były treścią? Że ich dzieciństwo było projektem internetowym? To nie jest odległa wizja przyszłości. To się dzieje teraz

BOLESNA AKTUALNOŚĆ

Film bardzo wyraźnie wpisuje się w debatę, która w ostatnim czasie coraz mocniej wybrzmiewa w Polsce i na świecie, określaną mianem sharentingu. „Babystar" pokazuje najmroczniejszy wariant tego mechanizmu: sytuację, w której rodzice „sprzątają" cyfrową tożsamość dziecka, selekcjonują emocje, konflikty i wizerunki, tak by nie zaburzyć monetyzowalnej narracji. Jednym z najbardziej przejmujących momentów filmu jest pozornie niewinna scena, w której dziecko – gość w domu bohaterki – pyta ją: „Ilu masz przyjaciół?", a ona odpowiada: „Mam 4 mln followersów na TikToku".

Film portretuje życie na pokaz jako formę emocjonalnej próżni. Dom, kamera, „rodzinne" kadry – wszystko jest wystarczająco ciepłe wizualnie, by przykryć fakt, że realnej rozmowy, czułości czy uważności tam po prostu nie ma. Dlatego warstwa wizualna filmu jest celowo przesadzona i sztuczna, nawiązując do wykreowanych wizerunków znanych z mediów społecznościowych. Luca przebywa głównie w chłodnych, pustych wnętrzach, które podkreślają jej osamotnienie.

Produkcja, której dystrybutorem w Polsce jest Fundacja Filmowa Warszawa, została już zauważona i zyskała uznanie na festiwalach, m.in. na TIFF (Toronto International Film Festival), oraz stała się częścią programu 41. Warszawskiego Festiwalu Filmowego (film znalazł się w oficjalnym programie, co stanowi istotne wyróżnienie w świecie kina niezależnego i międzynarodowego). Tydzień Filmu Niemieckiego (2026): „Babystar" został wyselekcjonowany do prestiżowego przeglądu najlepszego współczesnego kina niemieckiego, prezentowanego m.in. we Wrocławiu, Krakowie i Opolu.

Podczas spotkania z widzami na Warszawskim Festiwalu Filmowym współautorka scenariusza Nicole Rüthers podkreśliła, że początkowo twórcy chcieli jedynie pokazać realia życia dzieci, których rodzice uzależniają dochody od aktywności w sieci. Z czasem projekt ewoluował w stronę satyry. Inspiracją były rozmowy z influencerami, zwłaszcza blogerkami parentingowymi z USA i Niemiec. Jedna z nich przyznała, że kupiła nowy dom tylko po to, by mieć więcej materiału do publikacji, co dobrze obrazuje presję nieustannego tworzenia atrakcyjnych treści.

Podobne zjawiska można zauważyć również w Polsce, gdzie twórcy internetowi coraz śmielej odsłaniają swoją codzienność, często angażując w to dzieci. Treści z ich udziałem cieszą się szczególną popularnością, co dodatkowo napędza ten trend.

„Babystar" nie próbuje wyznaczać granic tego, co wolno pokazywać w sieci, bo sugeruje, że te już dawno zostały przesunięte. Zamiast tego skupia się na konsekwencjach takiego życia – zwłaszcza dla najmłodszych, których całe istnienie staje się publiczne.

SPROSTOWANIE

artykułu Marzeny Nykiel pt. „Paszkwilem w arcybiskupa", opublikowanego w numerze 40/2022 tygodnika „Sieci": Krakowska kuria wynajmowała redakcji TP lokal w kamienicy przy ul. Wiślnej 12 o pow. 302 m² za czynsz wynoszący w ostatnich 5 latach ponad 150 tys. zł brutto/rok. Autorzy artykułu „Kościół jest zamknięty" w nr. TP 40/2022 nie opisywali historii księdza molestującego niepełnosprawną pacjentkę domu opieki.

Jacek Ślusarczyk, Piotr Mucharski – członkowie Zarządu
Tygodnik Powszechny sp. z o.o. w Krakowie

01/0126/FZAL

eprasa.pl 38568eaf2b

W filmie główną siłą napędową tworzenia treści są rodzice Luki, podczas gdy ona nie zna innego sposobu funkcjonowania ani komunikacji. Reżyser podkreśla jednak, że nie jest to opowieść o złych rodzicach, lecz o systemie, który skłania ludzi do określonych działań. To rzeczywistość późnego kapitalizmu, w której presja ekonomiczna wpływa na decyzje jednostek. Bongard zwraca uwagę, że zamiast idealizować przeszłość, warto próbować ulepszać teraźniejszość i dbać o relacje międzyludzkie, bo izolacja sprzyja podziałom społecznym.

Sharenting nie zawsze ma twarz skrajności. Często ma twarz czułości. Dumy. Bliskości. „Chcę się pochwalić". „To tylko zdjęcie". „Przecież wszyscy tak robią". „To dla rodziny". „To nic wielkiego". A jednak to właśnie z takich „niewinnych" decyzji buduje się cyfrowa tożsamość, która zostaje z dzieckiem na lata. To właśnie z tych momentów powstaje historia, której nie można cofnąć. Historia pisana bez udziału głównego bohatera. Dzieci dorastają w świecie, w którym ich życie było publikowane, zanim zdążyły je zrozumieć. W którym ich wizerunek był zarządzany, zanim zdążyły go stworzyć. W którym ich emocje, nawet te najtrudniejsze, stawały się częścią publicznej narracji.

Samotność w takim świecie ma zupełnie inny wymiar. To samotność wśród milionów spojrzeń. To cisza za kulisami idealnych kadrów. To brak miejsca, w którym można przestać grać. „Babystar" pokazuje też coś jeszcze – coś, co boli najbardziej: przemoc, która nie zostawia siniaków. Presję, która nie ma jednego źródła. Lęk, który rośnie w ciszy. I potrzebę miłości, która zostaje uzależniona od tego, jak dobrze wypadasz w oczach innych. To film o dzieciach, które uczą się, że bycie sobą może być ryzykowne. Że lepiej być wersją siebie, którą zaakceptują inni. A przecież dzieci nie powinny musieć na nic zasługiwać.

„Babystar" nie daje prostych odpowiedzi. Nie moralizuje. Nie wskazuje palcem. Zamiast tego zadaje pytania, które zostają z widzem na długo: czy dziecko ma prawo do własnej historii? Czy możemy publikować coś, czego ono nigdy nie będzie mogło usunąć? Czy miłość wymaga publiczności? Czy naprawdę wiemy, gdzie kończy się dzielenie, a zaczyna wykorzystywanie? I najważniejsze: co się stanie, kiedy te dzieci dorosną? Kiedy zobaczą, że ich życie było spektaklem? Że ich emocje były treścią? Że ich dzieciństwo było projektem? To nie jest odległa wizja przyszłości. To dzieje się teraz. Dlatego polska premiera 17 kwietnia 2026 r. nie jest tylko kolejną datą. To moment konfrontacji. Z kulturą, którą współtworzymy. Z wyborami, które wydają się małe, ale mają ogromne konsekwencje. Bo czasem wystarczy jedno kliknięcie, żeby coś zostało w sieci na zawsze. Ale też jedno „nie", żeby tego uniknąć.

To manifest w imieniu tych, którzy jeszcze nie mogą mówić wystarczająco głośno. Warto ich usłyszeć. Zanim ich cisza stanie się krzykiem.

REKLAMA

Gruba kreska w kwestii NATO

Kryzys w relacjach atlantyckich wchodzi w nową, groźną fazę. Tym bardziej że pojawiły się już pomysły o potrzebie odwołania lipcowego szczytu NATO w Ankarze, bo może się on przekształcić w publiczną kłótnię starego atlantyckiego małżeństwa, które prócz wspomnień niewiele zdaje się już łączyć

MAREK BUDZISZ

„NATO nie było z nami, kiedy go potrzebowaliśmy i nie będzie, kiedy znów będziemy go potrzebować" – napisał w mediach społecznościowych prezydent Donald Trump, potwierdzając, że jest rozczarowany postawą sojuszników, których określał wcześniej mianem „tchórzy", a sam Pakt nazywał „papierowym tygrysem". W tym samym wpisie amerykański prezydent napisał też: „Pamiętajcie o Grenlandii, tym wielkim, źle rządzonym kawałku lodu". To ostatnie określenie jest czytelną aluzją do Alaski, która w amerykańskich mediach też była określana podobnym mianem, kiedy w 1867 r. Amerykanie kupili ją od Imperium Rosyjskiego.

Powrót do kwestii statusu tej wyspy zapowiada kolejną fazę tarć między Waszyngtonem a sojusznikami z Paktu Północnoatlantyckiego, podobnie jak dobiegające z Białego Domu groźne pomruki, iż administracja chce „ukarania" tych aliantów, którzy nie okazali się godnymi zaufania w czasie wojny z Iranem.

GROŹBY AMERYKANÓW

Zdaniem niemieckiego „Die Welt" wpis Donalda Trumpa – umieszczony już po nadzwyczajnym spotkaniu z Markiem Ruttem, sekretarzem generalnym NATO, który specjalnie przyleciał do Waszyngtonu, aby uspokoić nastroje – ma raczej świadczyć o zaostrzeniu antynatowskiej retoryki amerykańskiego prezydenta, a nie sukcesie misji byłego premiera Holandii.

Dziennik „The Wall Street Journal" donosi, że jedną z rozważanych opcji jest wycofanie amerykańskich żołnierzy z takich krajów jak Hiszpania i być może Niemcy oraz przesunięcie ich do „wiarygodnych sojuszników", czyli na wschód – do Polski, Rumunii, Grecji, na Litwę i być może państw skandynawskich. Niemiecka prasa spekuluje, że Trump może zdecydować o zamknięciu jednej z baz w ich kraju, nie tylko dlatego, że jest ich najwięcej w Europie. Amerykańskiego prezydenta miały rozgniewać słowa wywodzącego się z SPD ministra obrony, który po amerykańskim uderzeniu na Iran powiedział, że „to nie nasza wojna".

Fot. White House

eprasa.pl 38568eaf2b

Wymowę deklaracji Borisa Pistoriusa miał tonować kanclerz Friedrich Merz, który w przeciwieństwie do rządów Włoch czy Hiszpanii nie tylko nie podjął żadnych decyzji, które miałyby skutkować ograniczeniami nałożonymi na Amerykanów w tym, jak będą korzystać ze swoich baz, lecz także po ogłoszeniu zawieszenia broni w wojnie amerykańsko-irańskiej zadeklarował, iż Berlin jest gotów wysłać swe okręty do patrolowania cieśniny Ormuz.

W Waszyngtonie żadne decyzje nie zostały jeszcze podjęte, ale stan nastrojów dobrze oddają słowa Marco Rubio, uznawanego za zwolennika utrzymania relacji atlantyckich. Stwierdził on, że Amerykanie powinni „natychmiast zamknąć" te bazy wojskowe, korzystanie z których będzie utrudnione w związku z ograniczeniami narzuconymi przez państwa, w których się znajdują. W podobnym duchu wypowiedziała się też Karoline Leavitt, rzeczniczka Białego Domu, mówiąc na konferencji prasowej, iż „to bardzo smutne, że NATO odwróciło się od narodu amerykańskiego w ciągu ostatnich sześciu tygodni, skoro to właśnie Amerykanie finansowali ich obronę".

Elita ruchu MAGA jest nie tylko rozczarowana postawą sojuszników, lecz także szuka alternatyw dla NATO, nowych umów dwustronnych czy sojuszy regionalnych, uzupełniających, a nawet zastępujących politycznie sparaliżowany Pakt. Keith Kellogg, do niedawna specjalny wysłannik Białego Domu ds. Ukrainy, ale pozostający w rodzinnym kręgu Trumpa (jak donoszą amerykańskie media, jest zaangażowany w zarządzanie spółką Poverus, w którą zainwestowali synowie amerykańskiego prezydenta), zaproponował w telewizji Fox, aby Waszyngton zbudował na wschodniej flance nowy sojusz wojskowo-polityczny. Miałby on obejmować państwa wschodniej flanki z Polską, a także z Niemcami i Ukrainą, której znaczenie w regionalnym układzie sił – zdaniem tego emerytowanego generała – będzie rosło.

Kryzys w relacjach atlantyckich pogłębia się też w związku z narastającym poczuciem dystansu polityków europejskich wobec działań Donalda Trumpa, którego polityka jest postrzegana jako nieobliczalna, a czasem wręcz wroga.

Marie-Agnes Strack-Zimmermann, przewodnicząca komisji obrony Parlamentu Europejskiego, polityk niemieckiego FPD, mówi bez ogródek, że „nie można miesiącami wywierać presji na europejskich partnerów cłami, jednocześnie deprecjonując wsparcie NATO w Afganistanie, a potem oczekiwać, że Europejczycy będą reagować na każdy rozkaz Trumpa. Poza tym prezydent USA jest całkowicie nieprzewidywalny. To, co mówi dzisiaj, jutro może nie być aktualne". Jeszcze bardziej dosadnie politykę Trumpa ocenia Ben Wallace, brytyjski konserwatysta, były minister obrony, który na łamach „The Telegraph" napisał o amerykańskim prezydencie, iż ten „oszukał sojuszników" i „nie osiągnął żadnego ze stawianych sobie celów strategicznych w wojnie z Iranem". Jego zdaniem Waszyngton szuka teraz „kozłów ofiarnych", na których „chce zrzucić winę za swe niepowodzenia". A są one wymierne, bo nie tylko nie złamano determinacji Teheranu, lecz także ośmielono rywali strategicznych w postaci Rosji czy Chin.

Europejczycy w dużej mierze zgadzają się w ocenie amerykańskiej wojny z Iranem. Na podstawie rozmów z wysoko postawionymi przedstawicielami europejskich rządów niemiecki dziennik „Handelsblatt" sformułował ocenę, że „jest ona nie tylko nielegalna w świetle prawa międzynarodowego, lecz także chaotyczna i nieprzemyślana". Nadmiernie ugodowa postawa Marka Ruttego wobec Trumpa budzi na naszym kontynencie irytację, a wielu polityków zdaje się podzielać pogląd publicysty „The New York Times", który napisał, że wojna z Iranem jest dla Stanów Zjednoczonych „momentem sueskim", czyli przypomina nieudaną interwencję Francji i Wielkiej Brytanii w Egipcie po tym, jak Naser upaństwowił Kanał Sueski. Jest zarazem potwierdzeniem trendu polegającego na słabnięciu Ameryki, która w związku z tym staje się mniej wiarygodnym sojusznikiem nie tylko z politycznego, lecz także wojskowego punktu widzenia.

KONSEKWENCJE OSŁABIENIA PAKTU

Kryzys w relacjach atlantyckich – niezależnie od przebiegu i rezultatów wizyty Ruttego w Waszyngtonie – wchodzi w nową, groźną fazę. Tym bardziej że pojawiły się już pomysły o potrzebie odwołania lipcowego szczytu NATO w Ankarze, bo może przekształcić się on w publiczną kłótnię starego atlantyckiego małżeństwa, które prócz wspomnień niewiele zdaje się już łączyć.

Już obecnie należy się liczyć z negatywnymi skutkami związanymi ze słabnięciem odstraszania Paktu Północnoatlantyckiego. Natura tego mechanizmu jest bowiem przede wszystkim psychologiczna. Rywal strategiczny, którego pragniemy odstraszyć, musi uwierzyć w to, że sojusznicy mają siłę i są gotowi jej użyć. Wojna w Iranie z pewnością pokazała sprawność amerykańskich wojskowych, ale też ich ograniczenia, a publiczne spory na temat jakości Paktu – zwłaszcza iż Donald Trump mówi, że nie można brać za pewnik amerykańskiej pomocy wojskowej dla zaatakowanego sojusznika – nie wzmacniają potencjału odstraszania.

Raczej nie należy wątpić w to, że jeśli na Kremlu ocenią, iż determinacja Amerykanów w kwestii gwarancji bezpieczeństwa dla państw europejskich słabnie, będą starali się wykorzystać tego rodzaju okazję. Już zwiększają presję na państwa członkowskie, choćby grożąc Bałtom i Finom w związku z ukraińskimi atakami na rosyjskie porty bałtyckie, kluczowe dla zdolności eksportowych Federacji. Moskwa jest zdania, że siły ukraińskie wykorzystują przestrzeń powietrzną tych państw NATO za ich milczącą zgodą, a to może nawet stanowić *casus belli*. „Te kraje otrzymały stosowne ostrzeżenie. Jeśli reżimy tych krajów mają choć trochę rozsądku, wezmą je pod uwagę. Jeśli nie, będą musiały zmierzyć się z odpowiedzią" – powiedziała niedawno Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ. W podobnym duchu wypowiadał się też ostatni Dmitrij Pieskow, rzecznik Kremla, który zaznaczył, że rosyjscy wojskowi „analizują" ukraińskie ataki i jeśli zostanie uznane to za konieczne, „zaproponują kroki" w reakcji na te działania.

Ostatnio Rosjanie „zakpili sobie" – jak określa ich posunięcie brytyjska prasa – także z polityki Londynu. Mowa o konwoju tankowców rosyjskiej floty cieni, który przepłynął „w towarzystwie"

eprasa.pl 38568eaf2b

rosyjskiego okrętu wojennego przez kanał La Manche. Demonstracyjny rejs Admirała Grigorowicza, rosyjskiej fregaty, jest tym boleśniejszy dla Londynu, że Keir Starmer zapowiedział zajmowanie jednostek objętych sankcjami. Jak skwapliwie obliczyli dziennikarze, groźby brytyjskiego premiera nie zrobiły większego wrażenia na Rosjanach, bo – jak oceniają analitycy – od stycznia przez kanał przepłynęło już 300 statków wchodzących w skład floty cieni. Szacuje się, że Londyn objął sankcjami 500 jednostek na ogólną liczbę 744, co zdaniem prasy oznacza, że widząc bezradność i nieprzygotowanie Royal Navy, Rosjanie niewiele sobie robią z ostrzeżeń brytyjskiego szefa rządu. Andriej Kielin, rosyjski ambasador w Londynie, w odpowiedzi na „upoważnienie" Starmera brytyjskich sił specjalnych do zajmowania pływających, a objętych sankcjami tankowców ostrzegł nawet publicznie tamtejszy gabinet, że Moskwa przygotowuje odpowiedź. „Opracowywane są odpowiednie środki – zauważył. „Niech będą one zaskoczeniem dla Brytyjczyków".

Finlandia, państwa bałtyckie czy Morze Północne to niejedyne miejsca, gdzie Rosjanie mogą zwiększać napięcie. Od dawna mówi się o ryzyku eskalacji na dalekiej Północy, a Erkki Koort, estoński ekspert wojskowy, jest zdania, że na Kremlu mogą podjąć decyzję o uderzeniu w najmniej spodziewanym miejscu i celem mogą się stać – jego zdaniem – Niemcy.

Odmiennie niż w przypadku Bałtów, Finów czy Polaków, gdzie wszyscy wiedzą, kto jest wrogiem i z kim trzeba będzie się mierzyć, nastawienie niemieckiej opinii publicznej – w opinii tego eksperta – nie jest już tak jednoznaczne. Można nawet mówić o podziale na dwa obozy, z których jeden nadal chce współpracy i „dogadania się" z Rosją. To uprawdopodabnia scenariusz, w świetle którego Rosjanie mogą uznać, że ewentualny atak – poniżej progu pełnoskalowej wojny – na cele w Niemczech z politycznego punktu widzenia może im się opłacić. Winą za rozwój wydarzeń część tamtejszej opinii publicznej może obciążyć „szalonego Trumpa", a do głosu dojdzie obóz hipotetycznego wzmacniania zdolności europejskich, postulujący też „dogadanie się z Rosjanami", aby zyskać na czasie, bo przecież europejskich zdolności nie zbuduje się w miesiąc.

BUDOWA ALTERNATYWNEGO SOJUSZU?

Nie chodzi o mnożenie groźnych scenariuszy, ale o dostrzeżenie oczywistego, choć wypieranego dziś przez wielu w Europie faktu. Państwa naszego kontynentu nie mają zdolności wojskowych, a ich budowa – jak szacował niedawno Rutte – zajmie co najmniej 10 lat. To oznacza, że „europejska armia", której budowę postulował ostatnio José Manuel Albares, minister spraw zagranicznych Hiszpanii, nawet jeśli jest realnym pomysłem – w co wielu wątpi – to z pewnością bardzo oddalonym w czasie.

> Jedną z rozważanych przez USA opcji jest wycofanie amerykańskich żołnierzy z takich krajów jak Hiszpania i być może Niemcy oraz przesunięcie ich do „wiarygodnych sojuszników", czyli na wschód – do Polski, Rumunii, Grecji, na Litwę i być może państw skandynawskich

Czy zatem słabnięcie odstraszania NATO i kryzys w relacjach atlantyckich skazuje Europejczyków na podporządkowanie się dyktatowi Moskwy albo godzenie z kaprysami Donalda Trumpa? Ukraińscy politycy uważają, że niekoniecznie musi tak być i proponują – jak ostatnio uczyniła Alona Hetmanczuk, ambasador Kijowa przy NATO – budowę alternatywnego, środkowoeuropejskiego sojuszu wojskowego, którego członkiem, a także znaczącym udziałowcem, miałaby być w przyszłości Ukraina. Niedawna podróż Zełenskiego do państw Zatoki Perskiej i Syrii, podpisanie tam 10-letnich porozumień wojskowo-strategicznych i decyzja o wysłaniu 300 operatorów systemów antydrogowych wskazują na to, że Kijów zamierza zostać aktywnym „eksporterem" bezpieczeństwa, a może nawet zechce stabilizować sytuację w wielu regionach. Z pewnością nie będzie robił tego sam, ale we współpracy z sojusznikami takimi jak Turcja. Niedawne doniesienia o utworzeniu przez ukraiński wywiad trzech baz wojskowych w zachodniej Libii, gdzie znaczące wpływy miała do tej pory Ankara, wskazują, że nie są to tylko projekty, ale Kijów przystępuje do realnego działania.

W marcu ukraińskie siły operacji specjalnych zaatakowały na wodach międzynarodowych – znacząco go uszkadzając – rosyjski statek Arctic Metagaz, płynący z ładunkiem skroplonego gazu do Egiptu i, jak zapowiadają, tego rodzaju operacje będą kontynuowane. W Kijowie mówi się też – a byłem świadkiem tego rodzaju rozważań, będąc dwa tygodnie temu w ukraińskiej stolicy – zarówno o „udzieleniu gwarancji bezpieczeństwa Bałtom" zagrożonym rosyjskim atakiem, jak i o potrzebie budowy regionalnego sojuszu wzmacniającego słabnące odstraszanie Paktu Północnoatlantyckiego.

Kryzys NATO może zostać – jak już bywało – załagodzony. Jednak nadwątlonego zaufania nie uda się szybko odbudować, a to oznacza, że już znaleźliśmy się w sytuacji poszukiwania alternatyw, lokalnych i regionalnych formatów bezpieczeństwa i dróg wyjścia z obecnej sytuacji. Budujemy zatem – często nawet tego nie dostrzegając – nowy system, a być może także nowe NATO, które zachowując starą nazwę, gruntownie zmieni swój charakter. Która droga okaże się obiecująca, dziś jeszcze nie wiemy, ale jedno jest pewne: powinniśmy oddzielić się od przeszłości, rysując grubą kreskę.

eprasa.pl 38568eaf2b

Powrót gwiezdnych wojen

Tym razem konfrontacja budżetowa w USA będzie sprawą daleko wykraczającą poza wymiar wewnątrzamerykański. Jej stawką jest w gruncie rzeczy pytanie o to, czy w ogóle i w jakim stopniu Ameryka chce i będzie w stanie gwarantować bezpieczeństwo sprzymierzonym z nią krajom i narodom. Czyli innymi słowy – ile warty jest w praktyce ścisły sojusz polityczny i wojskowy z Ameryką

Fot. Shuterstock

eprasa.pl 38568eaf2b

JAN ROKITA

Zakończona rozejmem 40-dniowa wojna perska pokazała, że na wypadek prawdziwej wojny potencjał militarny USA jest jedynym gwarantem bezpieczeństwa krajów sprzymierzonych z Zachodem. Przekonał się o tym dobitnie nie tylko Izrael, lecz także zaatakowane przez Iran prozachodnie monarchie sunnickie z Półwyspu Arabskiego. Gdyby nie amerykańska broń, a przede wszystkim amerykańska amunicja obrony powietrznej – sprzymierzone z Ameryką kraje arabskie ucierpiałyby w tej wojnie o wiele bardziej dotkliwie.

Spektakularna zdrada Francji i Hiszpanii, które nie tylko zablokowały swoje bazy wojskowe, lecz także par force zamknęły swoją przestrzeń powietrzną dla amerykańskiego lotnictwa, oznaczała *de facto*, że kluczowe europejskie państwa NATO stanęły po stronie śmiertelnego wroga Zachodu, jakim od lat jest szyicki reżim perski.

Teraz, gdy nastał rozejm, kluczową kwestią dla bezpieczeństwa sojuszników USA pozostaje to, czy Donaldowi Trumpowi uda się przeforsować w Kongresie ambitny i dalekosiężny plan zbrojeń, zwłaszcza szybkiego uzupełnienia zapasów amunicji zużytej w wojnach na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie.

OPÓR PARTII DEMOKRATYCZNEJ

Rząd Trumpa zaplanował wydanie na zbrojenia w roku fiskalnym 2027 1,5 bln dol., czyli 5,1 proc. amerykańskiego PKB. W każdym razie na taką kwotę opiewa wniosek budżetowy, który Biały Dom przedłożył na Kapitolu w pierwszych dniach kwietnia.

Jeśliby taki budżet obronny został uchwalony w Kongresie przed 1 października (czyli amerykańskim terminem rozpoczęcia nowego roku fiskalnego), oznaczałoby to, iż w przyszłym roku kwota wydatków militarnych USA będzie stanowić więcej niźli połowę sumy, jaką wydają na zbrojenia wszystkie państwa świata z Chinami i Rosją włącznie. Ale zarazem – jeśli brać pod uwagę powszechnie przyjmowany wskaźnik relacji wydatków wojskowych do dochodu narodowego poszczególnych krajów – byłoby to „tylko" ździebko ponad owe sławetne 5 proc., jakich od dłuższego czasu domaga się Donald Trump od wszystkich sojuszników w NATO. Czyli niewiele więcej ponad tegoroczny poziom wydatków zbrojeniowych krajów, takich jak Polska czy Izrael, oraz co najmniej o 2 pp. mniej od wydatków Rosji. Można powiedzieć, że w tym przypadku Trump stosuje wobec sojuszników Ameryki tę samą miarę co wobec własnego kraju.

Oczywiście rezultat tego, co wydarzy się w toku prac budżetowych obu izb Kongresu, jest na razie nieprzewidywalny. Pewne jest tylko jedno: demokraci, którzy jeszcze nie tak dawno byli rzecznikami dużego wysiłku obronnego Ameryki oraz militarnego wspierania Ukrainy, Izraela i Tajwanu, teraz z góry zapowiadają, iż zrobią wszystko, aby zablokować zbrojeniowy plan Trumpa. Senator Patricia Murray ze stanu Waszyngton, główny rzecznik demokratów w senackiej komisji budżetu, określa ten plan mianem „wizji ponurej i nie do zaakceptowania" i bez ceregieli zapowiada, iż jej partia zamierza „ponownie rozwalić budżet prezydenta Trumpa i dopilnować, aby Kongres uchwalił nowy".

Ponownie, gdyż konfrontacja budżetowa Białego Domu z demokratami w Kongresie trwa od jakiegoś czasu, a Trump już wcześniej przegrał głosowania nad postulowanymi przez rząd cięciami kosztów administracji na kwotę przeszło 1,5 bln dol. Lobby ochraniające biurokrację przed każdym rządem, który chciałby ją trochę „przyciąć", jest w Kongresie USA silne, czego doświadczył na swej skórze choćby Elon Musk, gdy na czele nowatorskiego Departamentu Efektywności Państwa (DOGE) wszczął bitwę z rozrośniętą i zasiedziałą biurokracją agencji federalnych, nazywaną przez konserwatystów „głębokim państwem".

Rzecz w tym, iż Biały Dom w swoim wniosku wiąże skokowy wzrost wydatków na armię z cięciami rozdętych kosztów najrozmaitszych agencji federalnych. Jedno stanowi warunek drugiego, bo – jak nie bez racji zwykł mówić spiker Izby Reprezentantów Michael Johnson – zadłużona Ameryka „musi zacząć w końcu spłacać swoją kartę kredytową". Wzrost wydatków na obronę ma być spory, aż o 42 proc. (czyli o 445 mld dol.) w stosunku do roku fiskalnego 2026. Po drugiej stronie projekt rządowy zakłada redukcję wszystkich wydatków niezwiązanych z obronnością o 10 proc., nadto szczególnie atakowane cięcie kosztów federalnej administracji na kwotę 73 mld dol.

W KOSMOSIE I NA MORZU

Plan Trumpa zakłada w pierwszej kolejności powrót – w zmodernizowanej technologicznie wersji – do sławnych gwiezdnych wojen Ronalda Reagana, czyli systemu obrony kosmicznej, zawieszonego niegdyś przez prezydenta Billa Clintona w efekcie końca zimnej wojny. Zwieńczeniem systemu o nazwie Golden Dome (czyli Złota kopuła) ma być konstelacja rozlokowanych w kosmosie przeszło tysiąca satelitów obserwacyjnych i bojowych, wyposażonych w antyrakiety i broń laserową, uniemożliwiających przeprowadzenie ataku na Amerykę również za pomocą dronów.

W planie Trumpa na 2027 r. jest także budowa nowych okrętów wojennych, zamówienie setki nowych samolotów F-35, modernizacja zmagazynowanych bomb atomowych, a przede wszystkim szybkie uzupełnienie zapasów amunicji, zużywanej w wojnach na Ukrainie i Bliskim Wschodzie, w tym ofensywnych pocisków Tomahawk i obronnych Patriotów. Do tego dochodzi zwiększenie liczby i lepsze opłacanie żołnierzy, zdolnych natychmiast interweniować w każdej części świata.

Trump wyraźnie dąży do tego, aby Ameryka miała zdolność prowadzenia wojny na kilku frontach jednocześnie i mogła realnie, a nie wyłącznie deklaracjami politycznymi, wspierać swoich sojuszników, o ile tylko okażą się tego warci.

Z perspektywy naszego regionu Europy – zwłaszcza Ukrainy, Polski i państw bałtyckich – taka rozbudowa potencjału wojennego Ameryki w krótkim czasie to niemal polityczne marzenie. Ale demokraci zamierzają obalić ten plan i wyglądają tu na zdesperowanych.

eprasa.pl 38568eaf2b

Od pierwszego dnia po przedłożeniu planu budżetowego Trumpa rozpoczęły się nań zmasowane ataki propagandowe, których celem jest wywołanie poczucia zagrożenia interesów zwykłych Amerykanów i zaszantażowanie republikańskich ustawodawców, aby bali się poprzeć budżet tuż przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Gubernator stanu Illinois Jay Pritzker (ten sam, który w reakcji na wojnę perską domaga się usunięcia z urzędu prezydenta jako wariata na mocy 25 poprawki do konstytucji) tak mówi o projekcie budżetu do robotników z tzw. pasa rdzy: „Donald Trump się wami nie przejmuje. Wykorzystuje wasze podatki, aby finansować kolejną wojnę na Bliskim Wschodzie, podczas gdy rodzin pracujących nie stać na opiekę zdrowotną. Tyle zostało z hasła »America First«".

W ubiegłym tygodniu tzw. PAC demokratów wyemitował za ćwierć miliona dolarów reklamę adresowaną *ad personam* do republikańskiego posła ze stanu Wisconsin Derricka Van Ordena, w której wynajęty weteran piechoty morskiej oskarża posła, iż ów najpierw poparł cięcia budżetowe wobec weteranów, a teraz „dąży do wydatkowania 200 mld dol. na wojnę w Iranie". To przykład „bogatych" środków służących zastraszeniu polityków wspierających prezydenta.

Trudno nie zwrócić uwagi na zaciekłość propagandowego języka tych ataków. Za typowy przykład może posłużyć omówienie projektu budżetu w popularnym serwisie informacyjnym Publice Notice, prowadzonym przez dziennikarza Aarona Rupara (na platformie Substack). Oto nieco dłuższy cytat: „Budżet Trumpa wytycza drogę ku wyraźnie republikańskiej przyszłości Ameryki – takiej, w której społeczeństwo przekształci się w zubożałą masę głodujących i chorych, od czasu do czasu wydających ochrypłe błagania o pomoc dla tych, których odrzucili oligarchowie". Dla Trumpa bowiem „bomby są cnotliwe i oligarchowie są cnotliwi, ale karmienie głodnych, troska o chorych, zapewnienie ludziom dachu nad głową – to bezsensowne oszustwa, niegodne męskiego narodu broni, śmierci i nienawiści". Dalej pada jeszcze retoryczne pytanie o to, czy republikanie w Kongresie są gotowi „przyjąć przesłanie Trumpa o nędzy, jaka zapanuje w kraju, aby sfinansować mordowanie dzieci w perskich szkołach". Jeśliby kto miał wyrzuty sumienia z powodu języka polskiej propagandy politycznej, to chyba może się – przynajmniej w jakimś stopniu – poczuć uspokojony.

WAGA SOJUSZY

Pomysł Białego Domu na przeforsowanie budżetu obronnego i przełamanie agresywnej kampanii demokratów bierze się z dość skomplikowanych procedur budżetowych, które zgodnie z amerykańską tradycją konstytucyjną obowiązują w Kongresie. W zwykłej procedurze budżetowej – o ile nie ma dwupartyjnego kompromisu – w Senacie potrzeba aż większości trzech piątych, aby przełamać obstrukcję demokratów (tzw. filibuster). Ale Biały Dom wnosi o wyłączenie kwoty 350 mld dol. wydatków budżetowych (to jest tych, które mają pochodzić z najostrzej zwalczanych cięć w innych działach budżetu) do tzw. procedury pojednania. A wtedy obie izby Kongresu mogą zwykłą większością uchwalić wspólną rezolucję budżetową, zaś obstrukcja w Senacie jest zakazana.

Są jednak dwa warunki skuteczności takiej procedury. Pierwszy to ten, aby długoterminowo budżet nie rodził wzrostu zadłużenia Ameryki. Stąd właśnie znaczenie dziesięcioprocentowych cięć zaplanowanych przez Trumpa we wszystkich wydatkach poza obroną. Drugi to lojalność wszystkich republikanów w Kongresie wobec rządowego planu budżetowego prezydenta. „Bardzo obawiam się o głosowanie za dodatkowymi wydatkami na obronę" – mówi tymczasem poseł Timothy Burchett ze stanu Tennessee, jeden z tych twardych republikanów, którzy w imię konserwatywnych zasad zwykli przeciwstawiać się wzrostowi wydatków rządowych.

> Po wojnie perskiej mamy jasność, iż liczenie na solidarność całego NATO jest iluzją, podobnie jak iluzją były polskie sojusze wojskowe zawarte przed II wojną światową

Prezydenta czeka zatem nie tylko frontalna konfrontacja z demokratami, którzy zarówno budżet obronny, jak i samą wojnę perską chcą wykorzystać do usunięcia Trumpa z urzędu jako szaleńca. Prezydent będzie mieć też kłopot we własnym obozie – z republikańskimi konserwatystami. Ci bowiem chętnie poprą redukcję wydatków na rząd, ale chcą, aby prowadziło to do „małego budżetu", a niekoniecznie do rozbudowy imperialnej potęgi militarnej Ameryki.

Tym razem konfrontacja budżetowa w USA będzie sprawą daleko wykraczającą poza wymiar wewnątrzamerykański. Jej stawką jest w gruncie rzeczy pytanie o to, czy w ogóle i w jakim stopniu Ameryka chce i będzie w stanie gwarantować bezpieczeństwo sprzymierzonym z nią krajom i narodom. Czyli innymi słowy – ile warty jest w praktyce ścisły sojusz polityczny i wojskowy z Ameryką.

Po wojnie perskiej mamy jasność, iż liczenie na solidarność całego NATO jest iluzją, podobnie jak iluzją były polskie sojusze wojskowe zawarte przed II wojną światową. Wiemy teraz przynajmniej tyle, że w razie wojny, którą w Paryżu czy Madrycie uznają za „nie swoją wojnę", możliwa jest nawet blokada baz wojskowych i przestrzeni powietrznej tych państw dla jakiejkolwiek pomocy. Nawet przykra wiedza jest dla polskiej polityki lepsza niźli tak często żywione przez nas iluzje. Widać też, że na trochę wyższy poziom sojuszniczej lojalności mimo wszystko można liczyć w Londynie i Berlinie.

Ale kluczem – także do naszego narodowego bezpieczeństwa – pozostaje oczywiście nadwerężona ostatnio wojnami Ameryka, której nie chcą dozbroić ani lewicowi amerykańscy demokraci, ani najbardziej zatwardziali konserwatyści. Trump jest na tym tle wyjątkiem. I dlatego tak ważne jest, aby nie przegrał tej budżetowej batalii.

eprasa.pl 38568eaf2b

Upadł mit „skradzionych dzieci frankizmu”

Przez kilkanaście lat Hiszpania żyła w przekonaniu, że za rządów generała Franco istniał kościelno-państwowy system kidnapingu noworodków

GRZEGORZ GÓRNY

W zeszłym miesiącu na łamach renomowanego czasopisma naukowego „Forensic Science International Genetics” ukazał się artykuł pt. „Skradzione dzieci w Hiszpanii: Długie i kręte poszukiwania nielegalnie adoptowanej córki”. Tekst był efektem wieloletniej pracy piątki hiszpańskich badaczy z Narodowego Instytutu Toksykologii i Nauk Sądowych w Madrycie i dotyczył zjawiska „skradzionych dzieci frankizmu” (los niños robados del franquismo). Wspomniani naukowcy gruntownie przebadali problem, który od kilkunastu lat elektryzuje opinię publiczną na Półwyspie Iberyjskim. Rezultat ich pracy okazał się dla wielu Hiszpanów prawdziwym zaskoczeniem.

Wielu Hiszpanów uwierzyło w bajki lewiowych mediów. Zwłaszcza matki chciały sprawdzić czy nie odebrano im dzieci. Protesty w Walencji z 2013 r.

ZBRODNIA PRZECIWKO LUDZKOŚCI?

Cała sprawa zaistniała w przestrzeni medialnej w listopadzie 2008 r., gdy znany ze swych niekonwencjonalnych działań sędzia śledczy Baltasar Garzón oskarżył reżim gen. Franco o stworzenie systemu wykradania matkom ich potomstwa. Według niego dzieci miały być odbierane wkrótce po urodzeniu kobietom, które były więźniarkami politycznymi, reprezentantkami środowisk lewicowych lub wdowami po rozstrzelanych wrogach frankizmu. Następnie niemowlęta przekazywano rodzinom lojalnym wobec prawicowych władz lub instytucjom kościelno-państwowym. Matki okłamywano, że ich dzieci zmarły po porodzie, podczas gdy w rzeczywistości noworodki miały trafiać do adopcji, często za pieniądze, poprzez sieć współpracujących ze sobą lekarzy, położnych, księży i zakonnic. Z czasem proceder rozszerzył się z przeciwników ustroju na samotne matki, nieletnie dziewczynki, kobiety z biednych rodzin lub rodzące w szpitalach prowadzonych przez zakony.

Stawiając publicznie owe zarzuty, oskarżyciel powołał się na książkę i film dokumentalny, za którymi stał sympatyzujący z socjalistami kataloński historyk Ricard Vinyes. Ten z kolei bazował na relacjach kobiet, które twierdziły, iż po porodzie oszukano je, wmawiając, że ich dzieci umarły, podczas gdy w rzeczywistości noworodki przekazano obcym rodzinom.

Rewelacje Vinyesa ujrzały światło dzienne w 2002 r., jednak nie wzbudziły wówczas większego zainteresowania. Dopiero nagłośnienie ich sześć lat później przez Garzóna wywołało prawdziwą burzę medialną. Wspomniany sędzia twierdził, iż tylko w latach 1944–1954 ukradziono biologicznym rodzicom aż 30 960 dzieci. Jego zdaniem w rzeczywistości ofiar musiało być znacznie więcej, ponieważ haniebny proceder miał trwać od lat 30. do lat 90. XX w., a więc przeżył upadek frankizmu.

Na mocy amnestii z 1977 r., która umożliwiła Hiszpanii przejście od autokratyzmu do demokracji, zwolniono od odpowiedzialności karnej za represje i przestępstwa polityczne wszystkich funkcjonariuszy państwowych z czasów gen. Franco. Garzón stwierdził jednak, że porywanie dzieci na masową skalę stanowi zbrodnię przeciwko ludzkości, która nie została objęta amnestią, dlatego nie powinna podlegać przedawnieniu. Z tego powodu domagał się wszczęcia śledztwa w tej sprawie.

300 TYS. OFIAR KIDNAPINGU

Temat podchwyciły najbardziej wpływowe hiszpańskie media z lewicowym dziennikiem „El País" na czele. W przestrzeni informacyjnej błyskawicznie pojawiła się liczba 300 tys. ukradzionych dzieci, która zaczęła być traktowana jak niewzruszony pewnik. Pisarka Clara Sánchez opublikowała szeroko reklamowaną powieść opartą na kanwie tej straszliwej historii. Nakręcono też dwa mrożące krew w żyłach filmy dokumentalne o zbrodni dokonanej przez zorganizowaną siatkę prawicowych kidnaperów.

W prasie zamieszczano ogłoszenia zachęcające do zgłaszania się matek, które uważały, iż zostały przez władze oszukane i okradzione z potomstwa, a także dorosłych, którzy podejrzewali, że zostali w dzieciństwie podstępnie odebrani swoim rodzicom. Alberto Ruiz-Gallardón, minister sprawiedliwości w centroprawicowym rządzie Mariana Rajoya, nakazał prokuraturze zbadanie wszelkich złożonych skarg.

W 2011 r. Platforma Skradzionych Dzieci, powiązana ze Stowarzyszeniem na rzecz Odzyskania Pamięci Historycznej oraz Narodowym Stowarzyszeniem Osób Dotkniętych Nielegalnymi Adopcjami, ogłosiła, że na skutek systemowej kradzieży noworodków aż milion Hiszpanów może mieć sfałszowaną tożsamość biologiczną.

Do kampanii przyłączyli się politycy. Jeden z liderów Republikańskiej Lewicy Katalonii, Gabriel Rufián, grzmiał z trybuny parlamentarnej: „Ksiądz i zakonnica proponowali wybór między chłopcem a dziewczynką. Przez 60 lat, aż do początku lat 90., było więcej kradzieży niż adopcji. To siatka złożona ze szpitali, Kościoła i instytucji frankistowskich".

Obiektem zmasowanej krytyki stał się zwłaszcza Kościół. Pisano o plugawej roli, jaką w tej odrażającej historii odegrały zakonnice, domy samotnej matki, katolickie sierocińce i szpitale prowadzone przez zgromadzenia zakonne. Doniesienia o systemowej kradzieży dzieci, w której uczestniczyły instytucje kościelne, podchwyciły zagraniczne media. Pisały o niej m.in. „Time", „Le Monde", „The Guardian" czy „Der Spiegel", a w Polsce choćby „Gazeta Wyborcza" i „Tygodnik Powszechny". Sprawa stała się głośna na całym świecie.

NAUKOWA DEKONSTRUKCJA MITU

Przez całe lata najbardziej opiniotwórcze środowiska w Hiszpanii nie chciały przyjmować do wiadomości faktów przeczących wspomnianej narracji. W lutym 2014 r., zeznając przed senacką komisją, dyrektorka Narodowego Instytutu Toksykologii i Nauk Sądowych dr Gloria Vallejo de Torres oświadczyła, że jej pracownicy na wniosek prokuratorów wykonali badania genetyczne 44 zwłok noworodków pochodzących z 48 ekshumacji i stwierdzili całkowitą zgodność DNA pochowanych dzieci z DNA ich rodziców.

Lekarz sądowy dr Francisco Etxeberria i genetyk sądowy dr Antonio Alonso, którzy uczestniczyli w licznych identyfikacjach szczątków dziecięcych, stwierdzili, że podczas swych prac nie natknęli się na najmniejszą nawet poszlakę wskazującą na zorganizowany proceder kradzieży potomstwa. Tego typu głosy były jednak ignorowane przez media, a ci, którzy ośmielili się kwestionować wersję mówiącą o 300 tys. porwanych dzieci, byli publicznie atakowani przez stowarzyszenia rzekomych ofiar.

Niedawny raport opublikowany na łamach „Forensic Science International Genetics" stanowi jednak punkt zwrotny w historii weryfikowania stawianych zarzutów. Autorzy tekstu zwracają uwagę na kluczową rolę nauk sądowych, a w szczególności analizy DNA ekshumowanych szczątków oraz próbek biopsyjnych pobranych w szpitalach. Badania przeprowadzone przez Narodowy Instytut Toksykologii i Nauk Sądowych potwierdziły w przytłaczającej większości przypadków fakt zgonu niemowląt, zaprzeczając wersji ich porwań.

Fot. Javier Lizon/PAP/EPA

eprasa.pl 38568eaf2b

Zajęto się zwłaszcza historiami, w których matki były niemal 100-procentowo pewne, że ich potomstwo zostało wykradzione. Okazało się, że we wszystkich przypadkach ciała zostały pochowane w miejscach wskazanych przez szpitale i figurujących w dokumentacji. Ekshumowano 120 szczątków, by poddać je analizie genetycznej. W 117 przypadkach DNA noworodków było zgodne z DNA rodziców. W pozostałych trzech przypadkach odnaleziono ślady biologiczne wskazujące na rozkład zwłok, ale nie można ich było zidentyfikować z powodu daleko posuniętej degradacji ciał.

NIE SYSTEM, LECZ EPIZODY

Od 2008 r. prokuratura przeanalizowała ponad 2 tys. skarg w tej sprawie, z których ponad 500 trafiło do sądów, jednak żaden wyrok nie potwierdził istnienia zorganizowanej siatki przestępczej. Jedyne, co dało się udowodnić, to kilka przypadków nielegalnej adopcji. Najgłośniejszy z nich dotyczył 57-letniej Inés Madrigal, która w 1969 r. jako noworodek została przekazana pewnej bezpłodnej kobiecie za pośrednictwem ginekologa Eduarda Veli. Skorumpowany lekarz nie był jednak członkiem żadnej grupy, lecz działał sam. W 2018 r. sąd w Madrycie orzekł jego winę, jednak nie zasądził kary 11 lat więzienia z powodu przedawnienia czynu. Sprawa Inés Madrigal została nagłośniona przez media jako sztandarowy przykład systemowego kidnapingu niemowląt. W rzeczywistości nie była ona „skradzionym dzieckiem frankizmu", lecz ofiarą nielegalnej adopcji.

Innym pojedynczym przypadkiem, który stał się głośny w przestrzeni publicznej, była sprawa zakonnicy ze zgromadzenia szarytek, s. Maríi Gómez Valbueny, która w 1982 r. miała odebrać noworodka samotnej matce w madryckiej klinice Santa Cristina, by oddać je bezdzietnej parze. W kwietniu 2012 r. 86-letnia siostra stanęła przed sądem, jednak w styczniu następnego roku zmarła i sprawę umorzono.

Także w tym przypadku – gdyby potwierdziła się wersja oskarżenia – nie sposób mówić o „ofierze frankizmu", ponieważ do nielegalnej adopcji doszło siedem lat po śmierci gen. Franco i pięć lat po demontażu jego systemu. Wspomniana zakonnica nie ukrywała zresztą przed matką dziecka, Marią Luisą Torres, swych zamiarów, mówiąc jej wprost, że nie zdoła ona wychować właściwie swojej córki, dlatego dziewczynka musi zostać zabrana do innej rodziny. Czyn siostry został jednak podciągnięty przez media pod zjawisko „los niños robados del franquismo" i przedstawiony jako jeden z dziesiątków tysięcy przypadków, których – jak się teraz okazuje – wcale nie było.

> Od 2008 r. prokuratura przeanalizowała ponad 2 tys. skarg w sprawie rzekomo „skradzionych dzieci", z których ponad 500 trafiło do sądów, jednak żaden wyrok nie potwierdził istnienia zorganizowanej siatki przestępczej

„ZARAŻENIE SPOŁECZNE"

Wyniki badań opublikowanych w „Forensic Science International Genetics" nie tylko obaliły dominującą do tej pory narrację, lecz także zostały przyjęte do wiadomości i zaakceptowane przez środowiska, które dotychczas rozpowszechniały wersję o winie frankistów i Kościoła. Przykładem takiej zmiany podejścia może być postawa lewicowego dziennika „El País", który 23 marca opublikował tekst Manuela Ansede pod znamiennym tytułem „Brak śladów kryminalistycznych po »skradzionych dzieciach«". Już w pierwszym akapicie autor napisał: „Pięciu badaczy z Narodowego Instytutu Toksykologii i Nauk Sądowych podkreśla, że ich dane podważają »powszechną narrację o systematycznych kradzieżach« w szpitalach oraz odrzucają »przypuszczenie, które okazało się oszustwem, dotyczące 300 tys. przypadków kradzieży dzieci w Hiszpanii«".

W dalszej części materiału Ansede skrytykował renomowane media, w tym zagraniczne, za powielanie wydumanej liczby 300 tys. porwanych noworodków. Zauważył, że przyjęcie za dobrą monetę takiej wielkości oznaczałoby, iż przez 30 lat w Hiszpanii kradziono 27 dzieci dziennie, co jest twierdzeniem nie do obrony.

Skąd się więc wzięło przekonanie o masowości owego zjawiska? Otóż po apelach w prasie zaczęły się zgłaszać liczne matki, których potomstwo umarło w trakcie porodu lub tuż po nim. Gdy kobiety usłyszały w mediach doniesienia o systemie wykradania dzieci, postanowiły sprawdzić, czy same nie padły ofiarą tego procederu. Kryła się za tym nadzieja, że może ich pociechy nie zmarły, lecz pozostały przy życiu.

Odezwało się też wielu dorosłych, którzy w dzieciństwie zostali adoptowani. Wiadomo, że nikt nie chce być dzieckiem niechcianym – lepiej być skradzionym swoim rodzicom niż porzuconym przez nich. Część osób rozpaczliwie uczepiła się więc takiej możliwości, mając nadzieję, że po latach odnajdą nadal kochającą ich i tęskniącą za nimi rodzinę.

Zjawisko przybrało zatem charakter „zarażenia społecznego". Idealnie wpisywało się też w strategię hiszpańskiej lewicy, dążącej do zdemonizowania rządów gen. Franco i zdyskredytowania Kościoła katolickiego. Mediom, które zaangażowały swą wiarygodność w szerzenie niesprawdzonej wersji wydarzeń, później trudno się było z tego wycofać. Musiały to w końcu zrobić pod naporem nieubłaganych faktów. Do dużej części Hiszpanów sprostowanie nieprawdziwych informacji zapewne jednak nie dotrze. Pozostaną więc nadal w przekonaniu o istnieniu klerofaszystowskiej siatki przestępczej, przez lata wykradającej dzieci rodzicom.

eprasa.pl 38568eaf2b

Ludzkie safari

Przyjeżdżali w weekend, strzelali do kobiet i dzieci, a następnie wracali jak gdyby nigdy nic do swoich rodzin. Prokuratura w Mediolanie prowadzi śledztwo w sprawie snajperów-turystów z Zachodu, którzy dla rozrywki mordowali cywilów podczas oblężenia Sarajewa. Nazwiska pierwszych podejrzanych już ustalono

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Elegancko ubrani. Z SUV-ami, Rolexami i drogą bronią. Miejscem ich spotkań miał być magazyn na obrzeżach Mediolanu przy Viale Mecenate. Oni – to uczestnicy „ludzkich safari" do Bośni, czyli Włosi pragnący strzelać do cywilów w Sarajewie podczas wojny na Bałkanach w latach 90. XX w. Tak w każdym razie twierdzi Ezio Gavazzeni w swojej książce „I Cecchini del weekend" („Weekendowi snajperzy"), dostępnej we włoskich księgarniach od 17 marca br.

W książce Gavazzeni przytacza słowa świadka – najemnika znanego jako „Francuz" – który twierdzi, że uczestników „ludzkiego safari" obsługiwała mediolańska agencja. Z Mediolanu grupy udawały się na lotnisko w Trieście, a stamtąd do Belgradu. Podróżowali głównie w weekendy, płacąc duże sumy pieniędzy: za zabicie dziecka 100 tys. euro, a ciężarnej kobiety nawet 150 tys. euro. Hasło polujących na ludzi: „Jeleń dla łuczników".

Gavazzeni, pisarz kryminałów, mający na koncie kilkanaście thrillerów, zręcznie posługuje się tym gatunkiem. Rzecz w tym, że to nie była fikcja.

Śledztwo w tej sprawie prowadzi od listopada ub.r. mediolańska prokuratura w postaci doświadczonych śledczych Alessandra Gobbisa i Marcella Violi. Przeszukano wiele domów i mieszkań. A w mediach już krążą nazwiska podejrzanych.

Według dziennika „La Repubblica" pierwszym jest Giuseppe Vegnaduzzo, 80-letni były kierowca ciężarówki z San Vito al Tagliamento w regionie Friuli, obecnie na emeryturze. Przesłuchano go 9 lutego. Mężczyzna wszystkiemu zaprzeczył. Jak stwierdził, „nigdy nie był w Bośni". Według mediów to fanatyk broni, wędkarstwa i polowań. W jego domu znaleziono siedem legalnie posiadanych sztuk broni: dwa pistolety, karabin i cztery strzelby. Drugi podejrzany, mieszkaniec środkowych Włoch, ma podobny profil. Trzeci to bogaty biznesmen z Lombardii, który regularnie jeździł na Bałkany. Śledczy trafili na jego trop po tym, jak jego znajomy przypomniał sobie, że chwalił się on swoimi „myśliwskimi" przygodami w Bośni. Wszyscy trzej zostali oficjalnie objęci śledztwem pod zarzutem „morderstwa z okolicznościami obciążającymi w postaci okrucieństwa i nikczemnych motywów". Grozi im nawet dożywocie.

INNY KOLOR ŁUSKI DLA KAŻDEJ Z OFIAR

Śledztwo jest trudne. To, o co są podejrzani mężczyźni, miało miejsce 30 lat temu, podczas trwającego cztery lata oblężenia Sarajewa (1992–1996). Siły bośniackich Serbów otoczyły obszar miejski ze wzgórz, odcinając dostawy, prąd i wodę. Na miasto codziennie spadały setki pocisków artyleryjskich. Panował niewyobrażalny chaos. Snajperzy byli rozmieszczeni na budynkach i wzniesieniach. Oblężenie kosztowało ponad 11 tys. ofiar śmiertelnych. Wśród nich było 1601 dzieci. „Francuz" utrzymuje, że towarzyszył grupom zamożnych ludzi z Zachodu, którzy włączyli się do snajperskich ataków aż dziewięć razy. Wspomina o zorganizowanych wycieczkach z Triestu w pojazdach udających karetki przewożące lekarstwa do Sarajewa. Jako trofea myśliwi zabierali do domu łuski nabojowe, głównie kalibru 7,62 × 51 mm, oznaczali je w zależności od typu ofiary innymi kolorami: niebieski dla chłopców, różowy dla dziewczynek, dorosłe kobiety na żółto, a w przypadku mężczyzn wybierano kolor zielony lub czerwony. Do starców mogli strzelać za darmo.

Według „Francuza" snajperzy-turyści polowali na ludzi nie tylko w Sarajewie, lecz także okazjonalnie w Mostarze, Tuzli i Srebrenicy. Jak utrzymuje, w zabójczych wycieczkach na Bałkany

eprasa.pl 38568eaf2b

Bośniacy pod ostrzałem, Sarajewo, 6 kwietnia 1992 r.

Fot. East News

uczestniczyły setki osób, ponad 200 z Włoch, a także Francuzi, Belgowie, Szwajcarzy czy Austriacy. Jak relacjonował śledczym, zadaniem takich ludzi jak on było liczenie osób zabitych przez każdego strzelca, aby pobrać odpowiednią opłatę, którą następnie płacono agencji – zawsze gotówką. Według hiszpańskiego dziennika „El País" uczestnicy tych makabrycznych wycieczek to prawnicy, lekarze, sędziowie, a nawet jeden „bardzo znany włoski biznesmen", który „nadal od czasu do czasu pojawia się w telewizji".

Były agent bośniackiego wywiadu Edin Subašić utrzymuje, że dowiedział się o tych polowaniach już w 1994 r. po przesłuchaniu więźnia, a następnie zgłosił to włoskim służbom specjalnym SISMI. W konsekwencji włoskie siły bezpieczeństwa miały odkryć trasę przejazdu turystów wojennych i przechwyciły ich w Trieście. Po tym wycieczki ustały. Później jego zeznania zostały potwierdzone przez Michaela Giffoniego, który był zastępcą dowódcy włoskiej misji dyplomatycznej w Sarajewie podczas wojny, a później pierwszym ambasadorem kraju w Kosowie. W wywiadzie udzielonym w listopadzie 2025 r. stwierdził, że „safari z udziałem ludzi" rzeczywiście istniały i potwierdził relację byłego agenta bośniackiego. „Subašić niczego nie zmyśla" – oświadczył.

ENTUZJASTYCZNI I LICZNI

Termin „Sarajewo safari" pojawił się po raz pierwszy w 2022 r. w filmie dokumentalnym o takim samym tytule w reżyserii Mirana Zupaniča, który powoływał się w nim m.in. na zeznania złożone w 2007 r. w Hadze przez byłego żołnierza piechoty morskiej USA Johna Jordana. Utrzymywał on, że widział osoby spoza miejscowej ludności odwiedzające pozycje strzeleckie, które miały przy sobie broń myśliwską.

Emerytowany włoski sędzia Guido Salvini od dziesięcioleci cieszy się reputacją nieustraszonego śledczego. To, że w Sarajewie działy się niewypowiedziane rzeczy, że myśliwi-amatorzy strzelali do ludzi dla sportu, jego zdaniem nie ulega wątpliwości. „Dzięki wielu różnym źródłom, którymi dysponujemy, jest to bardziej niż pewne" – zaznaczył podczas wystąpienia we włoskiej telewizji. Według sędziego jeśli nie setki, to co najmniej dziesiątki sprawców przybyło z samych Włoch. „Podróżowali w grupach po cztery lub pięć osób" – dodał. Z Belgradu na wzgórza nad Sarajewem docierali, korzystając z helikopterów i pojazdów terenowych. Przyjeżdżali w piątek, a w niedzielę byli z powrotem u swoich rodzin i żyli dalej jak gdyby nigdy nic. Jeden z Włochów, jak twierdzi „Francuz", w ciągu sześciu godzin zastrzelił dwoje dzieci, kobietę i troje starszych ludzi. To „safari", wliczając w to wszystkie usługi organizatorów, kosztowało go setki tysięcy euro.

Śledztwo wywołało ogromne poruszenie we Włoszech, ale włoski pisarz i aktywista Adriano Sofri, który przebywał w Sarajewie podczas wojny w Bośni i wysyłał raporty do włoskich gazet, twierdzi, że praktyka ta była „powszechnie znana". Co więcej, uczestnicy tej makabrycznej działalności byli „entuzjastyczni i liczni". Według Sofriego turysta-snajper z Japonii opowiadał otwarcie w telewizji bośniackich Serbów, że przyjechał strzelać do ludzi, bo „ma złamane serce i musi odreagować".

Ojciec rocznej dziewczynki zastrzelonej w Sarajewie, Samir Čišić, powiedział niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel", że sama myśl, iż ktoś mógł strzelać do ludzi dla zabawy, „napawa go grozą". „Zdarzało się, zwłaszcza w piątki, że otrzymywaliśmy ostrzeżenia z drugiej, serbskiej strony frontu: »Zabierzcie swoje żony i dzieci w bezpieczne miejsce«" –zaznaczył Naser Husić, były żołnierz 101. Brygady Zmotoryzowanej Armii Bośniackiej. „Wtedy wiedzieliśmy, że weekendowi snajperzy są już w drodze" – dodał. Husić stacjonował w miejscu, które nazywa „krawędzią piekła": naprzeciwko dzielnicy Grbavica, skąd ostrzał był najintensywniejszy. Zdaniem weterana, trudno

eprasa.pl 38568eaf2b

powiedzieć, czy ostatecznie strzelali Serbowie, czy obcokrajowcy. Pewne jest jednak, że częstotliwość ataków była wyższa między piątkiem a niedzielą niż przez resztę tygodnia.

SERBSKI ŚLAD

Wysoko na wzgórzu nad rzeką Miljacką, która niegdyś wyznaczała linię frontu, leży stary cmentarz żydowski w Sarajewie. Tutaj serbscy bojownicy stacjonowali przez 3,5 roku, a pod nimi znajdowały się ich ofiary, niczym na tacy. Chorwacki dziennikarz śledczy Domagoj Margetić również złożył skargę do prokuratury w Mediolanie, oskarżając obecnego prezydenta Serbii Aleksandara Vučicia o udział w strzelaninach do cywilów. Margetić twierdzi, że Vučić, który podczas wojny w Bośni pozostawał sekretarzem generalnym Serbskiej Partii Radykalnej (SRS), był ochotnikiem w latach 1992–1993 podczas oblężenia Sarajewa i był obecny na pozycjach milicji bośniackich Serbów na cmentarzu żydowskim. Według Margeticia było to właśnie jedno z miejsc, do których zabierano tzw. turystów wojennych, aby strzelali do cywilów w zamian za pieniądze.

Już w 2013 r. prawicowy serbski polityk Vojislav Šešelj wysunął podobne oskarżenia przed Trybunałem ONZ ds. zbrodni wojennych w Hadze: „Zanim dołączył do naszej partii [późniejszy – przyp. red.] sekretarz generalny Aleksandar Vučić walczył jako ochotnik na cmentarzu żydowskim ze Slavko Aleksiciem" – utrzymywał.

Premier Kosowa Albin Kurti domaga się powołania międzynarodowego sądu karnego, ponieważ według niego „jest coraz więcej informacji i faktów na temat sarajewskiego safari, w którym rzekomo brał udział prezydent Serbii". Vučić stanowczo zaprzeczył oskarżeniom: „Nigdy nikogo nie zabiłem ani nie zraniłem, ani nie zrobiłem niczego podobnego. Kłamali, że byłem snajperem w Sarajewie przez 10 lub 20 lat i kłamią dalej" – oświadczył. Jak dodał, w latach 90. XX w. pracował jako dziennikarz i tłumacz, „bez żadnego kontaktu ze strukturami wojskowymi" i „nie brał udziału w żadnych działaniach bojowych". W rozmowie ze „Der Spiegel" Margetić stwierdził jednak, że jest w posiadaniu dokumentów, które udowadniają, iż Vučić otrzymał jako ochotnik w sierpniu 1992 r. półautomatyczny karabin Zastava M59/66.

Strona serbska kwestionuje autentyczność dokumentów opublikowanych przez Margeticia. Trzech kluczowych świadków, byłych dowódców czetnickich, nie może już zostać przesłuchanych – zginęli w bardzo krótkim czasie, między wrześniem a grudniem 2025 r., w częściowo niejasnych okolicznościach.

Gotowy zeznawać przed sądem jest za to Aleksandar Licanin. Dziś mieszka w Prijedorze na północy Bośni i Hercegowiny i twierdzi, że kiedyś walczył w oddziale pancernym bośniackich Serbów na cmentarzu żydowskim, w zasięgu wzroku czetników. Tam również obserwował turystów-snajperów. „Strzelali do kobiet, dzieci i osób starszych; zachowywali się jak szaleńcy" – utrzymuje. Według niego za skomplikowaną logistykę związaną z makabrycznymi wycieczkami miał odpowiadać dowódca milicji Białe Orły Dragoslav Bokan. Dziś, ponad trzy dekady później, awansował na stanowisko przewodniczącego rady dyrektorów Serbskiego Teatru Narodowego.

> Uczestnicy „ludzkiego safari" docierali na wzgórza nad Sarajewem, korzystając z helikopterów i pojazdów terenowych. Za zabicie dziecka płacili 100 tys. euro, a ciężarnej kobiety nawet 150 tys. euro

DEHUMANIZACJA

Na razie niewiele wiadomo o zachodnich uczestnikach krwawych safari, do których oprócz trzech już zidentyfikowanych podejrzanych mieli należeć także bankier z Triestu, dyrektor fabryki z prowincji Brianza czy właściciel kliniki w Mediolanie. Lewicowo-liberalne media próbują usilnie przypisać turystom-snajperom motywacje polityczne. Zrobić z nich sympatyków skrajnej prawicy. Ezio Gavazzeni stanowczo temu zaprzecza. „Chodziło o dreszczyk emocji. Nic więcej" – podkreślił.

Martina Radice, włoska kryminolog i konsultantka techniczna sporządziła profil sprawców. Jak powiedziała w rozmowie z „Der Spiegel", niektórzy z nich to mężczyźni, „którym legalne polowanie już nie wystarczało, nawet polowanie na słonie". „Potrzebowali czegoś nowego, by poczuć przypływ adrenaliny. To rodzaj psychopatii elit. Mówimy o ludziach chorych, którzy postanowili zignorować wszystkie zasady" – dodała. Jej zdaniem opublikowanie ich nazwisk w toku śledztwa wywoła trzęsienie ziemi, bo niczego „nie boją się tak, jak zburzenia ich idealnej fasady".

Dehumanizacja cywilów jest cechą charakterystyczną współczesnej wojny. „Od czasów II wojny światowej – wyjaśnia włoski socjolog Christopher Cepernich z uniwersytetu w Turynie – ludność cywilna ponosiła niezwykle wysokie koszty; wystarczy pomyśleć o Holokauście czy masowych bombardowaniach europejskich miast". Jego zdaniem zjawisko weekendowych snajperów nie stanowi jednak ewolucji form wojny, a raczej dowód na to, jak postrzegamy „innego", czyli odległego nieznajomego. Wskazuje zatem na dehumanizację i hiperindywidualizm. Ludzie pozbawieni empatii, którzy nie chcą lub nie są w stanie „wczuć się w sytuację innych". „To hipertrofia ego, napędzana pieniędzmi do tego stopnia, że kupuje się moc zabijania lub ratowania, trochę jak kupowanie możliwości bycia Bogiem przez jeden dzień" – dodał.

Zabójcy strzelali do bezbronnych ludzi z całkowicie bezpiecznych pozycji. „Ludzkie safari" to więc forma konsumpcji przemocy. Niczym w grze komputerowej. Tyle że gracze nie mogą się już czuć bezpieczni, jak twierdzi Gavazzeni. Zostaną zdemaskowani.

eprasa.pl 38568eaf2b

Inne oblicze Persów

PIOTR GURSZTYN

Przez całe życie każdy korzystający z mediów Polak co rusz słyszy o tym kraju. Doniesienia o Iranie nieustannie pojawiają się na czołówkach telewizji, prasy i portali. Niewiele jednak wiemy o tym wielkim państwie i jego mieszkańcach, a nasza wiedza często bazuje na fałszywych i spłaszczonych stereotypach

Gdy ktoś pisze o jakimś państwie, że to kraj kontrastów, bo gdzieś tam umiera mała panda albo inne ginące zwierzę, popada w banał. Bo trudno o bardziej oklepane frazy. Również o Iranie często pisano, że to kraina kontrastów, że za każdym razem musiał umierać jeden lampart perski, rzadki drapieżnik będący symbolem tamtych ziem. Ale to fakt – Iran jest krajem wielu zaskakujących sprzeczności.

Niespodzianki są tym większe, że dla większości z nas kraina Persów rozmywa się w odległym dla nas świecie islamu, gdzie z naszej perspektywy wszystko wygląda prawie jednakowo. Zadbali o to także rządzący Iranem już prawie pół wieku ajatollahowie, więc przeciętny Polak nie widzi różnicy między Irańczykami, Arabami czy przedstawicielami innych ludów muzułmańskich. To mocno zafałszowany obraz.

TYSIĄCLETNIA PAŃSTWOWOŚĆ

Zacznijmy wyliczanie zaskoczeń od języka farsi, czyli perskiego. Pandż, szesz – czyli pięć, sześć. Inne słowa perskie też brzmią znajomo, gdy porównamy z różnymi językami europejskimi. Madar to matka, padar – ojciec, baradar – brat, tochtar – córka. A nam znaczy imię. To nie zapożyczenia, ale ślad odległej prehistorycznej wspólnoty ludów indoeuropejskich. Język perski należy do tej samej rodziny, co reszta języków europejskich.

„Iran należy do tych nielicznych centrów cywilizacji światowej, gdzie istnieje prawdziwa kontynuacja kulturowa od czasów starożytnych aż po współczesne" – piszą autorzy monumentalnej historii Iranu wydanej przez Ossolineum (praca zbiorowa pod red. Anny Krasnowolskiej). Dla Irańczyków ma to ogromne znaczenie, choć zdarza się – o czym dalej – że czasem podchodzą do tego nieco schizofrenicznie. Ale w kontaktach z innymi narodami lubią podkreślać, że ich państwowość liczy tysiące lat.

Witold Waszczykowski, zanim został ministrem spraw zagranicznych, był ambasadorem w Teheranie. Opowiadał, że jego irańscy partnerzy często nie potrafili ukryć lekceważenia wobec przedstawi-

Kom jest drugim po Meszhedzie najważniejszym świętym miastem szyitów

eprasa.pl 38568eaf2b

Płaskorzeźby z Persepolis, stolicy imperium Achemenidów założonej ok. 518 r. p.n.e.

cieli państw, które – zdaniem tamtejszych rozmówców – były zbyt młode w porównaniu z ich państwowością.

Tyle że dzieje Iranu to nie jedno i to samo państwo. Jego starożytne formy zmieniały się płynnie od krainy Medów po dynastię Sasanidów. Ale potem nastąpiła inwazja arabska, okrutna islamizacja i upadek państwowości na prawie tysiąc lat. W tym czasie najpierw rządzili arabscy kalifowie, a potem istniały efemeryczne chanaty pod władzą głównie tureckojęzycznych namiestników. Dopiero w XVI w. szyickie bractwo zbrojne, z którego wyszła dynastia Safawidów, odbudowało Persję nowożytną, zaczątek dzisiejszego Iranu.

PERSKIE BAŁWOCHWALSTWO

Współcześni Irańczycy mają niejednoznaczny stosunek do tej skomplikowanej przeszłości. Wynika to z ich przywiązania do islamu lub jego braku. Ostatni szach Mohammad Reza Pahlawi kładł mocny nacisk na historię przedislamską. Zresztą jego nazwisko, przyjęte przez jego ojca, zostało wymyślone w nawiązaniu do jednej z epok starożytnej Persji. Tenże ojciec – Reza Szach – w 1935 r. zmienił nazwę kraju z Persji na Iran, co znaczy „ziemia Ariów". Ostatni szach nakazał intensywnie oczyszczać język perski z zapożyczeń arabskich. Przyjął tytuł aryamehr, czyli „światło Ariów". W 1971 r. wydał ogromne pieniądze na huczne obchody 2500-lecia istnienia państwa perskiego (data wybrana całkowicie przypadkowo). Wówczas Irańczyków to irytowało. Uważali, że szach przesadza z nawiązywaniem do pogańskiej przeszłości i marginalizuje okres islamski. Ajatollah Chomeini grzmiał, że szach przywraca „perskie bałwochwalstwo".

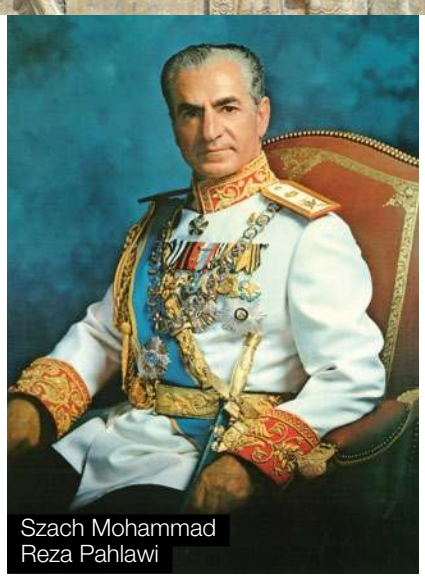

Szach Mohammad Reza Pahlawi

DUMNI ZE SWOJEJ HISTORII

Po rewolucji islamskiej Irańczycy uważają, że ajatollahowie przeginają w drugą stronę. Oficjalna propaganda przedstawia okres przedislamski jako czas ciemności i rządów tyranów. Ograniczono pieniądze na konserwację zabytków z tej epoki, np. dawnej stolicy Persepolis. Jednocześnie reżim bał się okazywać bardziej otwartą wrogość, np. przez niszczenie dziedzictwa przedislamskiego, co zdarza się w krajach muzułmańskich (np. Arabii Saudyjskiej i Afganistanie). Irańczycy podchodzą do tego z przekorą. Przywiązanie do starożytnego dziedzictwa jest formą wyrażania niechęci wobec obecnych władz. Poza tym wielu mieszkańców Iranu nie chce, by zmuszano ich do wyboru – chcą być dumni z całej swojej historii.

Na to wszystko nakłada się stosunek do Arabów. A trzeba przy tym pamiętać, że arabski to język liturgiczny islamu. Modlitwy są odmawiane tylko po arabsku. Wprawdzie Koran bywa tłumaczony na perski, ale recytacje muszą być prowadzone w języku oryginału. Stulecia islamizacji sprawiły, że ok. 40 proc. leksyki języka perskiego to arabizmy (w mowie potocznej dużo mniej). A jednocześnie Persowie i Arabowie nie przepadają za sobą. I nie chodzi tylko o różnice wyznaniowe, czyli wzajemną wrogość sunnitów i szyitów. To mocne różnice kulturowe i mentalne.

MIĘDZY IRAŃCZYKAMI A ARABAMI

Arabowie uważają Irańczyków za wyniosłych i nieszczerych. Irańczycy mają Arabów za prymitywnych fanatyków, podczas gdy oni sami – według własnego mniemania – są wyrafinowani i bardziej kulturalni. Arabowie są bardziej żywiołowi i łatwiej wyrażają emocje, a Irańczycy cenią powściągliwość. Nawet sam sposób mówienia – szybki u Arabów i powolny u Irańczyków – jest źródłem kolejnych stereotypów. Arabowie są bardziej bezpośredni, a w irańskiej tradycji ważna jest etykieta – taarof. To mocno skomplikowany styl relacji międzyludzkich, z wielokrotnie powtarzanymi zaproszeniami, podziękowaniami, wstępnymi odmowami. Zresztą taarof irytuje wielu Irańczyków, którzy uważają, że to utrudniające życie ceregiele.

Niewątpliwym powodem lekceważącego stosunku Irańczyków do arabskich sąsiadów jest kultura. Poza Koranem Arabowie niewiele czytają. A Irańczycy pożerają książki. Także kobiety, bo w Iranie – w odróżnieniu od większości krajów muzułmańskich – stopień dostępu do wiedzy obu płci jest podobny. Czytelnictwo w Iranie ucierpiało z powodu sankcji

Fot. MehmetO/Shutterstock.com; EremMotion/Shutterstock.com; Ghazarians/www.pahlavi.org

eprasa.pl 38568eaf2b

Dwór Gajomarsa, miniatura z Szahname szacha Tahmaspa, autorstwa malarza Soltana Mohammada, ok. 1530 r. Obraz uznawany za najwybitniejsze dzieło perskich ilustracji rękopiśmiennych

Bahram Gur, władca Persji z dynastii Sasanidów, zabijający wilka. Strona z rękopisu Wielkiej Mongolskiej Szahname, czyli najwspanialszego ilustrowanego manuskryptu perskiego eposu narodowego, który powstał w Tebrizie w XIV w.

międzynarodowych i zubożenia społeczeństwa. Ale nie aż tak bardzo, bo wojujący ze światem Zachodu Iran nie przestrzega konwencji dotyczących praw autorskich. Tamtejsze wydawnictwa bez skrępowania tłumaczą i wydają światowe bestsellery. W Iranie co roku wychodzi kilkadziesiąt tysięcy tytułów, a w całym świecie arabskim – kilka razy większym pod względem liczby ludności od Iranu – 6–7 tys. pozycji. W Iranie obowiązuje cenzura, ale *de facto* jest ona łagodniejsza niż w wielu krajach arabskich, zwłaszcza w Arabii Saudyjskiej.

I tu ciekawostka – jeszcze przed wojną na perski przetłumaczono „Quo Vadis" Henryka Sienkiewicza. A potem tamtejsi czytelnicy mogli zapoznać się z tłumaczeniami Mickiewicza, Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej, Miłosza, Reymonta, Szymborskiej oraz dziesiątków innych polskich literatów.

Podczas gdy u nas MEN ogranicza lekturę „Pana Tadeusza" jako utworu ponoć przestarzałego i trudnego, w Iranie panuje żywy kult „Szahname" („Księga królów"), czyli eposu napisanego w czasach, gdy w Polsce panował Bolesław Chrobry. Na dodatek perski epos narodowy jest ok. 10 razy dłuższy niż nasz. Ale Irańczycy nie uważają go za anachronizm. Wręcz przeciwnie. To podstawa ich tożsamości, a autor – poeta Ferdousi – jest uważany za tego, który uratował język perski przed grożącą mu wówczas całkowitą arabizacją. „Zginała Grecja kark przed królem Persji" – czytają i recytują takie frazy Irańczycy.

Dzięki Ferdousiemu – i w ogóle bogactwu kultury dawnego Iranu – język perski nie dość, że się uratował, to później stał się w świecie islamu językiem elit. Odpowiednikiem języka francuskiego w XVIII-wiecznej Europie. Zresztą dzisiaj farsi, język perski, również jest *de facto* językiem literackim Afganistanu (jako dari, co znaczy, *nomen omen*, „język dworski") i Tadżykistanu. W tym ostatnim kraju prezydent (w praktyce dyktator) poprawił swoje imię i nazwisko, aby podkreślić więzi łączące ludy irańskie. W ten sposób Emomali Szaripowicz Rahmonow nazywa się teraz Emomali Rahmon, bez narzuconego przez Rosjan otczestwa.

RÓŻNE KORZENIE WŁADZY

Jednocześnie farsi jest językiem ojczystym dla ok. 60 proc. mieszkańców Iranu. Cała reszta to mniejszości narodowe – Azerowie, Kurdowie, Beludżowie, Arabowie, mniejsze ludy irańsko- i turkojęzyczne (np. koczowniczy Kaszkajowie, których etnonim został użyty do nazwania crossovera pewnej znanej marki). Państwo irańskie bywa wobec nich opresyjne, ale tendencje separatystyczne wykazują tylko dwie grupy – Kurdowie i Beludżowie. Strach przed rozpadem państwa ma dzisiaj duże znaczenie, bo jest dość skutecznie wykorzystywane przez reżim do mobilizowania swoich zwolenników.

Jednocześnie przedstawiciele mniejszości łatwo docierają na szczyty władzy. Rodzina Chamenei pod względem etnicznym to czystej krwi Azerowie. Założyciel dynastii Pahlawich, Reza Szach, był kompletnym „mieszańcem". Po ojcu był Mazanderani, czyli przedstawicielem małego irańskojęzycznego narodu żyjącego nad Morzem Kaspijskim (takie samo pochodzenie miał ważny człowiek obecnego reżimu, Ali Laridżani). Matka Rezy Pahlawiego pochodziła z tureckiego plemienia Ajrum. Przed rodziną Pahlawich Iranem rządziła dynastia Kadżarów, wywodząca się z tureckojęzycznego plemienia o tej nazwie. A przed nią dynastia Zandów, tym razem kurdyjskiego pochodzenia.

HISTORIA PAHLAWICH

Tu dochodzimy do pytania, czy rodzina Pahlawich jest dobrą alternatywą dla reżimu ajatollahów. Niekoniecznie, bo Irańczycy nie mają specjalnych powodów do jej umiłowania. Rządy Pahlawich nie były tak okrutne jak obecne, lecz także nie stroniły od brutalności. Poza tym czar monarchistycznej tradycji jest tu bardzo słaby. Założyciel dynastii, Reza Szach, był zwykłym pułkownikiem armii perskiej, który przejął władzę w drodze zamachu stanu i sam się koronował. Kadżarowie, których obalił, doszli do władzy, bestialsko mordując szacha z dynastii Zandów. Ci zresztą zdobyli Pawi Tron – symbol władzy szachów – w podobny sposób. To ta druga, brzydsza twarz Iranu. Ładniejszą jest wyrafinowana kultura, poezja, piękne ogrody, tą drugą – wielka brutalność w zdobywaniu władzy i masakrowaniu przeciwników.

CIENIE HISTORII

W czasie ostatnich protestów śmierć poniosło kilkadziesiąt tysięcy osób. To niestety nic nowego w historii Iranu. W 1988 r. ajatollah Chomeini nakazał ukarać śmiercią przetrzymywanych w więzieniach „hipokrytów" walczących – według jego retoryki – z Bogiem. Chodziło o wszelkiego rodzaju opozycjonistów – łącznie z islamistami – niezgadzających się z oficjalną linią władzy. Podobne masakry więzienne miały miejsce na początku lat 80.

18/0326/F

eprasa.pl 38568eaf2b

Jeśli chodzi o hipokryzję, to trzeba ją wytknąć przede wszystkim reżimowi. Mamy obraz Iranu ciągle wojującego z Ameryką i zaprzyjaźnionego z Rosją. Tymczasem Iran nigdy nie pozostawał w otwartym konflikcie z USA. Jedyny drażliwy przypadek stanowi obalenie premiera Mossadegha przy udziale CIA. Ale był to polityk, który miał także licznych wrogów wewnętrznych, a Amerykanie byli jednymi z wielu autorów zamachu.

Za to z Rosją Persowie utrzymywali ciężkie relacje od kilku wieków. Pierwsza wojna rosyjsko-perska toczyła się w latach 1651–1653. W XVII w. był jeszcze jeden konflikt, w następnym stuleciu – dwie wojny. W XIX w. dwa kolejne konflikty zbrojne, które skończyły się utratą przez Persję dużych terenów na Zakaukaziu (głównie dzisiejszego Azerbejdżanu). Przed I wojną światową miała miejsce zbrojna interwencja wojsk carskich w Persji. Potem, w latach 1919–1920, bolszewicy próbowali zagarnąć północne tereny kraju i utworzyli tam republikę sowiecką. Wreszcie w czasie II wojny światowej północny Iran był okupowany przez wojska sowieckie.

W czasach cara Piotra I Rosja okupowała ziemie perskie prawie aż po Teheran, a car planował aneksję całej Persji, tak aby jego imperium graniczyło z „ciepłymi morzami". Rosja miała podobne plany tuż przed I wojną światową i wówczas cała północna Persja wraz ze stolicą w praktyce była rosyjską kolonią. W kraju osiedlali się Rosjanie. Tuż po II wojnie światowej Stalin starał się anektować wielkie obszary północnego Iranu pod pretekstem połączenia tamtejszych Azerów z tymi, którzy zamieszkiwali sowiecki Azerbejdżan. Na drodze stanęli mu Amerykanie, którzy uratowali integralność terytorialną i suwerenność Iranu.

To ajatollahowie rozbudzili w Iranie wrogość do Ameryki, a i tak tylko u części mieszkańców. Reszta miała do USA dość pozytywny stosunek, jednak nie wiadomo, czy przetrwa on obecny konflikt. W każdym razie USA to ulubiony kierunek emigracji irańskiej diaspory. Ma to pewien związek z kolejnym paradoksem, bo tam wielu irańskich emigrantów porzuca islam i manifestacyjnie przechodzi na chrześcijaństwo. Następnie za pomocą internetu i telewizji satelitarnych nowo nawróceni prowadzą ewangelizację na terenie Iranu.

CHRZEŚCIJAŃSKA WYSPA

Według danych urzędowych w Iranie żyje ok. 300 tys. chrześcijan. To wyznawcy tradycyjnych na Bliskim Wschodzie obrządków – ormiańskiego, asyryjskiego i innych. Ale faktycznie chrześcijan może być nawet 3 mln (dane minimalne mówią o 1 mln). To właśnie konwertyci, którzy porzucili islam. Prawie 3 proc. na 90-milionową populację. To tak jakby w ciągu kilkunastu lat milion Polaków przeszło np. na islam. Ci nowi chrześcijanie należą do prężnych Kościołów ewangelikalnych – zielonoświątkowców, baptystów i innych. Są ścigani i prześladowani, ale wciąż ich przybywa. A za ich sprawą Iran został zaliczony do krajów o najbardziej dynamicznym wzroście chrześcijaństwa.

Fot. Muzeum Agi Chana w Toronto, Harvard Art Museums

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ

WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja Instytut Mediów

WIĘCEJ O AKCJI POMOCY:

eprasa.pl 38568eaf2b

Depresja rodzaju męskiego

W gabinecie widzę, że młodsi mężczyźni są coraz bardziej otwarci na rozmowę o emocjach czy korzystanie z psychoterapii. Uważam to za bardzo dobrą zmianę

Z Magdaleną Fudałą-Janc, lekarzem psychiatrą i seksuologiem, rozmawia Goran Andrijanić

Jest pani autorką e-booka „Cisza mężczyzny często krzyczy" o męskiej depresji, prowadzi pani profil psychiatra_natiktoku, gdzie w przystępny sposób opowiada pani o zdrowiu psychicznym. Cały czas słyszymy, że depresja to choroba jak każda inna. Jeśli tak jest, dlaczego istnieje coś takiego jak męska depresja? I czym różni się ona od kobiecej?

Magdalena Fudała-Janc: Depresja jako choroba jest w swojej istocie taka sama u wszystkich. Jest chorobą demokratyczną. Może dotknąć każdego, niezależnie od wykształcenia, zawodu, statusu materialnego czy pozycji społecznej. W gabinecie psychiatry spotykają się ludzie z bardzo różnych środowisk, których łączy jedno doświadczenie: cierpienie psychiczne.

Kiedy mówimy o „męskiej depresji", nie chodzi o inną chorobę, lecz raczej o to, w jaki sposób mężczyźni przeżywają i pokazują swoje cierpienie. Objawy biologiczne mogą być podobne, natomiast sposób ich wyrażania często wygląda inaczej.

U mężczyzn zamiast smutku czy płaczliwości częściej pojawia się złość, napięcie, drażliwość albo wycofanie. Wiele osób obserwuje także ucieczkę w pracę, sport czy różnego rodzaju aktywności, które mają zagłuszyć trudne emocje. Czasem pojawiają się także nadużywanie alkoholu lub zachowania ryzykowne. Często mężczyzna trafia do psychiatry na prośbę innego specjalisty, np. kardiologa. Serce w porządku, a pacjent ma wrażenie, że przechodzi zawał – to dotyczy głównie mężczyzn w wieku 45+.

Duży wpływ ma tutaj wychowanie i wzorce kulturowe. Wielu mężczyzn

Fot. Magdalena Fudała-Janc/Facebook, Shutterstock

eprasa.pl 38568eaf2b

przez lata słyszało, że nie powinni okazywać słabości, że powinni radzić sobie sami. W efekcie emocje często są maskowane tak długo, aż sytuacja staje się kryzysowa i dopiero wtedy pojawia się decyzja o szukaniu pomocy.

Jakie sygnały mogą świadczyć o tym, że mężczyzna zmaga się z depresją?

Mężczyzna, który wcześniej był aktywny i zaangażowany w życie rodzinne, może zacząć się wycofywać. Traci zainteresowanie rzeczami, które wcześniej sprawiały mu przyjemność. Pojawia się rozdrażnienie, wybuchy złości albo poczucie ciągłego napięcia. Często obserwujemy również problemy ze snem, spadek energii, trudności z koncentracją czy poczucie bezsensu. Niektórzy zaczynają pracować jeszcze więcej, jakby chcieli zagłuszyć wewnętrzne napięcie obowiązkami. Inni izolują się od bliskich. W skrajnych przypadkach mogą się pojawić myśli rezygnacyjne lub poczucie, że dalsze życie nie ma sensu. W takiej sytuacji konieczna jest jak najszybsza pomoc specjalisty.

Mężczyźni nadal rzadziej trafiają po pomoc do specjalisty. Jednym z powodów jest przekonanie, że powinni radzić sobie sami. Wizyta u psychiatry bywa postrzegana jako ostateczność albo dowód słabości.

Niestety nadal obserwujemy stygmatyzację mojej specjalizacji. W gabinecie często słyszę od pacjentów: „Przyszedłem dopiero wtedy, kiedy już naprawdę nie dawałem rady". To pokazuje, że wielu mężczyzn zgłasza się po pomoc dopiero wtedy, gdy kryzys trwa bardzo długo. Tymczasem w psychiatrii – podobnie jak w innych dziedzinach medycyny – im wcześniej rozpocznie się leczenie, tym większa szansa na szybki powrót do równowagi.

Co mogą zrobić bliscy mężczyzny?

Jeśli ktoś staje się wycofany, drażliwy albo przestaje się interesować życiem rodzinnym, warto spróbować spokojnie o tym porozmawiać. Nie chodzi o ocenianie czy udzielanie rad, ale o obecność i uważność. Ważne jest także zachęcenie do skorzystania z profesjonalnej pomocy. Konsultacja psychiatryczna czy psychoterapeutyczna nie jest oznaką porażki, lecz formą troski o zdrowie.

Mówi pani, że problem mężczyzn polega na tym, że nie rozmawiają o swoich emocjach i nie są ich świadomi. I że dobrze, iż to się zmienia. Mamy już natomiast do czynienia z nowym pokoleniem mężczyzn, określanym jako pokolenie płatków śniegu, które jest za bardzo skoncentrowane na własnych emocjach. To chyba też niedobrze?

> Kiedy mówimy o męskiej depresji, nie chodzi o inną chorobę, lecz o to, w jaki sposób mężczyźni przeżywają i pokazują swoje cierpienie. U mężczyzn zamiast smutku czy płaczliwości częściej pojawia się złość, napięcie, drażliwość albo wycofanie

Świadomość emocji nie jest tym samym, co nadmierna koncentracja na sobie. Problemem nie jest to, że coś czujemy – emocje są naturalną częścią naszego życia. Trudność pojawia się wtedy, gdy nie potrafimy sobie z nimi poradzić. Dojrzałość emocjonalna polega na tym, żeby zauważyć i nazwać to, co się dzieje w naszym wnętrzu, a następnie w odpowiedzialny sposób to regulować i komunikować innym ludziom. To wymaga pewnych umiejętności, których wielu z nas po prostu nie miało okazji się nauczyć.

W gabinecie widzę, że młodsi mężczyźni są coraz bardziej otwarci na rozmowę o emocjach czy korzystanie z psychoterapii. Uważam to za bardzo dobrą zmianę. Jeśli ktoś kręci się wokół emocji, ale nie potrafi ich uporządkować, to zwykle nie dlatego, że jest ich za dużo, lecz z tego powodu, że brakuje mu narzędzi i wsparcia. Powrót do modelu „zaciskania zębów" na pewno nie jest rozwiązaniem. Potrzebujemy raczej uczyć się odporności psychicznej, stawiania granic, odpowiedzialności za siebie i zwyczajnej rozmowy.

Jaka jest sytuacja z depresją w Polsce? Czy mamy to zjawisko pod kontrolą jako społeczeństwo?

Depresja w Polsce jest bardzo częsta, a jednocześnie wciąż bywa niedoleczona. Wiele osób prosi o pomoc zbyt późno. Dostęp do psychiatry czy psychoterapii nadal w dużej mierze zależy od miejsca zamieszkania, czasu i możliwości finansowych.

Świadomość społeczna na temat zdrowia psychicznego na szczęście rośnie. Coraz częściej mówi się o depresji w mediach, coraz więcej osób decyduje się na terapię. To bardzo dobra zmiana. Trudno jednak powiedzieć, że sytuacja jest już opanowana. Nadal istnieje silna stygmatyzacja, szczególnie wśród mężczyzn. Wielu z nich wychowało się w przekonaniu, że powinni sobie radzić sami. Tymczasem depresja jest chorobą, której nie pokonuje się samą siłą woli.

Czy zmieniająca się rola kulturowa mężczyzny może powodować dezorientację i zwiększać ryzyko depresji?

Kultura ma ogromny wpływ na to, jak myślimy o sobie i czego od siebie oczekujemy. Tradycyjny model męskości – silny, milczący, skoncentrowany na pracy i utrzymaniu rodziny – w wielu miejscach przestaje być jedynym wzorcem. Jednocześnie nowy model męskości nie jest jeszcze do końca zdefiniowany. To może powodować poczucie dezorientacji. Z jednej strony bądź silny, z drugiej – mów o emocjach; zadbaj o dom i jednocześnie zarabiaj; bądź wrażliwy, ale nie „przesadnie".

Do tego dochodzi szybkie tempo życia, presja sukcesu, media społecznościowe oraz coraz większa samotność w relacjach. Dziś wiele osób funkcjonuje w świecie dużych wymagań i niewielkiego wsparcia. To wszystko

eprasa.pl 38568eaf2b

może zwiększać podatność na depresję, zwłaszcza u mężczyzn, którzy nie mają przestrzeni, by spokojnie porozmawiać o swoich trudnościach. Nie chodzi o cofanie zmian społecznych, lecz stworzenie takiej wizji męskości, w której siła i proszenie o pomoc nie wykluczają się nawzajem.

Słyszałem rozmowę, w której broniła pani leczenia z pomocą antydepresantów. Czy istnieją uprzedzenia wobec tych leków?

Tak, zdecydowanie. Do dziś spotykam się z wieloma mitami dotyczącymi leków przeciwdepresyjnych. Pacjenci często mówią, że boją się uzależnienia, zmiany osobowości albo tego, że farmaceutyki „otępią" ich emocjonalnie. Nowoczesne leki przeciwdepresyjne nie działają w ten sposób. Nie mają działania euforyzującego ani uzależniającego. Ich zadaniem jest przede wszystkim zmniejszenie objawów choroby – poprawa snu, energii, koncentracji, zmniejszenie lęku i ryzyka samobójczego.

Można powiedzieć, że pomagają przywrócić równowagę biochemiczną w mózgu. Dobrze dobrane leczenie nie zabiera emocji. Przeciwnie, często pozwala wrócić do ich normalnego przeżywania i dopiero wtedy umożliwia skuteczną psychoterapię. Oczywiście każdy lek może mieć działania niepożądane, dlatego farmakoterapia zawsze powinna być dobierana indywidualnie i prowadzona pod kontrolą lekarza.

Demonizowanie leków często wynika ze wstydu lub przekonania, że „powinienem poradzić sobie sam". Natomiast czasem dojrzałość polega właśnie na tym, żeby przyjąć pomoc, zanim choroba zabierze zdrowie, pracę czy relacje. Lubię przywoływać słowa znanego twórcy cyfrowego, aktora i wokalisty Filipa Cembali, który powiedział kiedyś: „Idź po moc – czyli idź po pomoc". W tym zdaniu jest bardzo dużo prawdy.

Niedawno ukazał się pani nowy e-book „Gdy hormony zmieniają zasady gry. O menopauzie, zmianie i życiu od nowa". Tym razem tematem są problemy kobiet w wieku menopauzalnym. Czy to kolejne zagadnienie, które wymaga pogłębionego omówienia z perspektywy psychiatry?

Zdecydowanie tak. Menopauza jest jednym z najważniejszych etapów w życiu kobiety, a jednocześnie wciąż bywa traktowana głównie jako temat ginekologiczny. Tymczasem zmiany hormonalne zachodzące w tym czasie mają ogromny wpływ także na psychikę. W okresie okołomenopauzalnym dochodzi do stopniowego spadku poziomu estrogenów i progesteronu. Hormony te oddziałują nie tylko na układ rozrodczy, lecz także na funkcjonowanie mózgu – regulują m.in. nastrój, sen, poziom energii, koncentrację czy odporność na stres. Dlatego wiele kobiet w tym czasie doświadcza wahań nastroju, zwiększonej drażliwości, problemów ze snem, spadku libido czy poczucia ciągłego napięcia. Część kobiet opisuje również coś, co można nazwać zmianą tożsamości. To moment, w którym trzeba na nowo odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jestem i czego chcę w kolejnym etapie życia.

Z jednej strony jest to okres biologicznych zmian w ciele, z drugiej – często moment ważnych przemian życiowych: dorastają dzieci, zmienia się dynamika relacji w związku, pojawiają się pytania o sens pracy, własne potrzeby czy dalszy kierunek życia.

Z perspektywy psychiatrycznej bardzo ważne jest to, aby odróżnić naturalne wahania nastroju związane z tym etapem życia od zaburzeń depresyjnych czy lękowych, które wymagają leczenia. Niestety wiele kobiet przez długi czas słyszy, że „tak już musi być", że to po prostu menopauza. Tymczasem jeśli pojawia się bezsenność, przewlekłe napięcie, spadek energii czy objawy depresyjne, warto poszukać profesjonalnej pomocy.

Mocno pani podkreśla, że menopauzy nie można traktować jako choroby.

Tak. Menopauza nie jest chorobą ani końcem kobiecości. W mojej książce „Kiedy hormony zmieniają zasady gry. O menopauzie, zmianie i życiu na nowo" staram się pokazać, że może być ona także momentem transformacji. To czas, w którym wiele kobiet zaczyna bardziej świadomie patrzeć na swoje potrzeby, granice i relacje. Jeśli kobieta ma dostęp do rzetelnej wiedzy i wsparcia, ten etap życia może stać się początkiem bardzo ważnego procesu – odzyskiwania kontaktu ze sobą i budowania nowej jakości życia. Wiele kobiet mówi mi w gabinecie, że w tym czasie pojawia się także coś zaskakującego – potrzeba zatrzymania się i zadania sobie kilku ważnych pytań. Czy żyję tak, jak naprawdę chcę? Czy dbam o swoje potrzeby tak samo, jak przez lata dbałam o innych? Okres menopauzy często odsłania to, co przez długi czas było spychane na dalszy plan: zmęczenie, niespełnione potrzeby, a także pragnienie większego spokoju i autentyczności.

Paradoksalnie więc ten etap życia może być momentem bardzo ważnego przewartościowania. Wiele kobiet zaczyna wtedy bardziej świadomie troszczyć się o swoje zdrowie, relacje i własne granice. Zaczynają mówić „nie" tam, gdzie wcześniej mówiły „tak", uczą się odpoczywać, a czasem po raz pierwszy od wielu lat naprawdę wsłuchują się w siebie.

Właśnie o tym piszę w moim e-booku. Podpowiadam, jak zrozumieć zmiany zachodzące w ciele i psychice, a także jak potraktować menopauzę – nie jako koniec pewnego etapu, lecz jako początek nowego rozdziału życia. A jeśli ten artykuł czyta kobieta 45+, dedykuję jej ten oto cytat z książki:

„Chcę, żebyś zapamiętała: menopauza nie wymaga heroizmu. Nikt nie oczekuje od Ciebie nadludzkiej siły. Wymaga troski o siebie, łagodności i uważności. Nie jesteś »kobietą po« – jesteś kobietą w trakcie życia. Ten etap, choć nieznany, może być czasem pełni świadomości, siły i spokoju – jeśli tylko pozwolisz sobie o siebie zadbać".

Autopromocja
Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 38568eaf2b

wPolsce 24 / WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów

Piotr Pawelec

Marta Kielczyk

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 38568eaf2b

Powstanie w getcie warszawskim.

Wspólna walka, wspólna historia, ten sam wróg

Wbrew temu, co twierdzi część historyków, powstanie w getcie warszawskim nie jest oderwane od polskiej tradycji narodowej. Powstańcy byli obywatelami Rzeczypospolitej, czerpali inspirację z innych polskich insurekcji. W 1943 r. chwycili za broń w imię godności, wolności i sprzeciwu wobec okupanta

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Warszawskie getto było największym tego typu obszarem zamkniętym na terenie Generalnego Gubernatorstwa i w całej okupowanej Europie. Niemcy utworzyli je w październiku 1940 r., a 16 listopada ostatecznie zamknęli i odizolowali od reszty miasta. Od początku jego istnienia okupant prowadził politykę stopniowego wyniszczania zgromadzonej tam ludności. Przeludnienie, głód, choroby oraz brak podstawowych środków do życia stały się codziennością. Szacuje się, że jeszcze przed rozpoczęciem masowych deportacji dziesiątki tysięcy osób zmarły z wycieńczenia i chorób. W szczytowym momencie, wiosną 1941 r., na obszarze getta przebywało ok. 450 tys. ludzi.

BEZ ZŁUDZEŃ

Punktem przełomowym była wielka akcja deportacyjna z lata 1942 r. W ramach operacji „Reinhardt" Niemcy rozpoczęli masowe wywózki do obozu zagłady w Treblince. W ich wyniku nawet trzy czwarte mieszkańców getta zostało zamordowanych. Ci, którzy pozostali, nie mieli już złudzeń: kolejne deportacje oznaczały śmierć. To właśnie ta świadomość stała się fundamentem decyzji o podjęciu walki.

W getcie zaczęły powstawać struktury konspiracyjne. 28 lipca 1942 r. utworzono Żydowską Organizację Bojową, na czele której stanął Mordechaj Anielewicz. Skupiała ona głównie członków lewicowych i syjonistycznych ugrupowań. Równolegle pod koniec 1942 r. powstał Żydowski Związek Wojskowy, utworzony z inicjatywy oficerów Wojska Polskiego żydowskiego pochodzenia, m.in. Pawła Frenkla i Leona Rodala. W jego skład weszli także działacze prawicowej organizacji Betar.

W miarę postępu deportacji Niemcy zmniejszali obszar getta. Po likwidacji tzw. małego getta latem 1942 r. w jego północnej części pozostało 50–60 tys. osób. Większość z nich pracowała w niemieckich zakładach produkcyjnych (tzw. szopach). Równocześnie trwały intensywne przygotowania do walki. Konspiratorzy budowali bunkry, tworzyli system łączności i gromadzili broń.

KONTAKT Z POLSKIM PODZIEMIEM

Organizacje żydowskie szybko nawiązały kontakt z polskim podziemiem działającym po „aryjskiej" stronie. Armia Krajowa podejmowała próby skoordynowania działań ŻOB i ŻZW, zachęcając do ich połączenia, jednak

Fot. NARA x4

eprasa.pl 38568eaf2b

ostatecznie do formalnej unifikacji nie doszło. Żydowskie organizacje bojowe otrzymywały pomoc zarówno od Armii Krajowej, jak i Gwardii Ludowej. Obejmowała ona dostawy broni, amunicji oraz szkolenia wojskowe. Początkowo wsparcie było mocno ograniczone, głównie z powodu skromnych zasobów samego podziemia. ŻOB otrzymała m.in. 10 pistoletów i niewielką ilość amunicji, a także instrukcje dotyczące produkcji broni konspiracyjnej, materiałów wybuchowych oraz budowy umocnień.

Z czasem pomoc uległa zwiększeniu, szczególnie po pierwszych aktach oporu w styczniu 1943 r. Podczas kolejnej akcji deportacyjnej w getcie bojowcy ŻOB, dowodzeni przez Anielewicza, zaatakowali Niemców eskortujących kolumnę Żydów na Umschlagplatz. Do walki doszło na skrzyżowaniu ulic Niskiej i Zamenhofa. To pokazało, że opór jest możliwy. Stało się także impulsem do przygotowań zorganizowanej walki. W tym czasie wysiłkiem polskiego podziemia coraz więcej broni trafiało do getta.

Według Władysława Bartoszewskiego warszawski okręg AK przekazał ŻOB ok. 90 pistoletów, 600 granatów, 165 kg materiałów wybuchowych oraz 400 zapalników. Należy przy tym podkreślić, że AK robiła to kosztem własnych możliwości bojowych. Równolegle bojownicy byli szkoleni przez polskie podziemie w zakresie sabotażu, konstrukcji ładunków wybuchowych, budowy umocnień oraz walki w warunkach miejskich.

Pod względem politycznym ŻOB była związana z utworzonym 15 października 1942 r. Żydowskim Komitetem Narodowym, który reprezentował niemal wszystkie żydowskie środowiska polityczne w getcie. Utrzymywał kontakt z Delegaturą Rządu na Kraj oraz rządem polskim na uchodźstwie. W ten sposób ŻOB w pewien sposób związała się ze strukturami Polskiego Państwa Podziemnego. Z kolei udział dawnych oficerów WP w tworzeniu ŻZW nie tylko wpływał na poziom organizacyjny i wojskowy tej organizacji, lecz także łączył wysiłki Żydów w getcie z trwającą od 1939 r. walką Polaków z Niemcami.

ATAKI NA MURY GETTA

Powstanie wybuchło 19 kwietnia 1943 r., w przeddzień święta Pesach, kiedy oddziały niemieckie wkroczyły do getta, aby przeprowadzić jego ostateczną likwidację. Zamiast spodziewanej szybkiej operacji natrafiły jednak na zorganizowany opór już w momencie przekraczania murów. Bojownicy zaatakowali wkraczające oddziały, wykorzystując broń palną, granaty, butelki zapalające oraz improwizowane ładunki wybuchowe. Zaskoczeni skalą i determinacją oporu Niemcy w pierwszym dniu walk zostali zmuszeni do wycofania się.

W planach Armii Krajowej jednym z wariantów pomocy było wykonanie wyłomów w murze getta, co mogłoby umożliwić ucieczkę jego mieszkańców w kierunku Dworca Gdańskiego i Żoliborza, a następnie Puszczy Kampinoskiej. Już pierwszego dnia powstania oddział dywersyjny AK pod dowództwem Józefa Pszennego „Chwackiego" podjął próbę wysadzenia muru przy ul. Bonifraterskiej. Akcja zakończyła się niepowodzeniem. Niemieckie siły, które szczelnie obstawiły teren wokół getta, uniemożliwiły zainstalowanie ładunków wybuchowych.

MIESIĄC ZAMIAST KILKU DNI

Oddziały Armii Krajowej ponawiały próby wysadzenia muru jeszcze kilkakrotnie, jednak każda z nich kończyła się niepowodzeniem i stratami w ludziach. Tymczasem w samym getcie przez pierwsze dni trwały intensywne walki. Z czasem sytuacja Żydów stawała się jednak coraz trudniejsza. Brak amunicji oraz systematyczne podpalanie zabudowy przez Niemców zmuszały powstańców do wycofywania się do bunkrów i piwnic. To właśnie tam, wraz z ludnością cywilną, organizowano dalszy opór. Powstańcy urządzali zasadzki i krótkie wypady przeciwko oddziałom niemieckim penetrującym teren getta. Walki miały coraz bardziej charakter rozproszony i nieregularny.

8 maja 1943 r. Niemcy odnaleźli bunkier dowództwa Żydowskiej Organizacji Bojowej przy ul. Miłej 18. Zginęło ok. 100 osób, w tym dowódca ŻOB Mordechaj Anielewicz. Część udusiła się dymem, część popełniła samobójstwo, nie chcąc dostać się w ręce Niemców. Mimo to w kolejnych dniach pojedyncze grupy bojowników kontynuowały walkę w poszczególnych częściach getta.

AKCJA „GETTO"

Przez cały czas powstania polskie podziemie wspierało walczących. Oprócz akcji wysadzania murów AK przeprowadziła wiele działań zbrojnych wymierzonych w niemieckie posterunki i oddziały otaczające getto. Ataki te miały na celu zarówno osłabienie kordonu, jak i stworzenie warunków do ucieczki dla jego mieszkańców. Podejmowano także próby dostarczania broni i amunicji do walczących oraz zapewnienia im łączności ze światem zewnętrznym. Istotnym elementem pomocy były również działania polegające na wyprowadzaniu ludzi z getta kanałami. Trwały one do momentu zasypania przez Niemców wszystkich podziemnych przejść i objęcia kontrolą całej sieci kanalizacyjnej.

Według części relacji niewielki oddział polski pod dowództwem Henryka Iwańskiego „Bystrego" i Władysława Zajdlera „Żarskiego" miał się przedostać do wnętrza getta i walczyć wspólnie z bojownikami Żydowskiego Związku

eprasa.pl 38568eaf2b

Wojskowego na Placu Muranowskim. Po całodziennych walkach oddział ten miał się wycofać kanałami wraz z rannymi i grupą żołnierzy ŻZW na „aryjską" stronę. Wydarzenie to jest jednak podważane przez część historyków, m.in. Barbarę Engelking i Dariusza Libionkę.

W działania pomocowe angażowały się również inne organizacje podziemne, w tym Gwardia Ludowa, Socjalistyczna Organizacja Bojowa oraz Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa. Dzięki ich wsparciu kilkudziesięciu bojowników ŻOB zdołało wydostać się z getta kanałami. Inni przedzierali się samodzielnie. Niektórzy z powstańców walczyli także po drugiej stronie murów getta.

Udział polskiego podziemia w walkach prowadzonych w getcie warszawskim znajduje potwierdzenie również w niemieckich źródłach. Raport generała SS Jürgena Stroopa wielokrotnie melduje o aktywności polskiego podziemia – zarówno atakach na kordon wokół getta, jak i działaniach prowadzonych w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Wspomina także o walkach z „polskimi bandytami" stoczonych w środku tzw. żydowskiej dzielnicy.

POMOC OCALAŁYM

Powstanie trwało niemal miesiąc. Niemcy, nie mogąc szybko złamać oporu, przystąpili do systematycznego niszczenia getta, paląc dom po domu i wysadzając całe kwartały zabudowy. 16 maja 1943 r. dowodzący operacją generał SS Jürgen Stroop uznał powstanie za stłumione. Tego dnia na znak zwycięstwa Niemcy wysadzili Wielką Synagogę przy Placu Tłomackie. W swoim raporcie Stroop zapisał: „Żydowska dzielnica mieszkaniowa w Warszawie już nie istnieje". Getto zostało zrównane z ziemią.

Mimo to część jego mieszkańców zdołała przetrwać, ukrywając się w ruinach, bunkrach lub przedostając się na „aryjską" stronę miasta. Ocaleli, pozbawieni środków do życia i ścigani przez Niemców, szukali pomocy wśród ludności cywilnej. Wielu Polaków mimo grożącej kary śmierci decydowało się na udzielanie im wsparcia. Ukrywano uciekinierów, dostarczano żywność, pomagano w zdobyciu fałszywych dokumentów oraz organizowano schronienie. Były to działania podejmowane zarówno przez pojedyncze osoby, jak i przez siatki konspiracyjne. Każdy taki gest wiązał się z ogromnym ryzykiem. Niemieckie władze okupacyjne karały śmiercią za wszelką pomoc udzielaną Żydom.

POWSTANIE, KTÓRE NIE POWINNO DZIELIĆ

Powstanie w getcie warszawskim nie powinno być postrzegane jako wydarzenie wyłącznie żydowskie i obce polskiej historii. Walka, którą podjęli jego uczestnicy, była aktem oporu obywateli państwa polskiego przeciwko niemieckiemu okupantowi. Podobnie jak uczestnicy wcześniejszych powstań narodowych, stanęli do walki na własnej ziemi, przeciwko narzuconej siłą władzy. Ich żydowskie pochodzenie nie wyklucza ich z historii Polski. Przeciwnie, przypomina o wielonarodowym charakterze Rzeczypospolitej i o wszystkich, którzy żyli, walczyli i ginęli na tej ziemi. Wymownym symbolem tego wspólnego wymiaru walki były dwie flagi wywieszone przez bojowników ŻZW na kamienicy przy Placu Muranowskim: syjonistyczna z gwiazdą Dawida oraz polska biało-czerwona.

Wyrazem takiego myślenia była także odezwa Żydowskiej Organizacji Bojowej z 23 kwietnia 1943 r., skierowana do mieszkańców Warszawy. Jej autorzy zwracali się do Polaków nie jako do zewnętrznych obserwatorów, lecz jako do współuczestników tej samej walki. W dramatycznych, a zarazem podniosłych słowach pisali: „Wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego ghetta Warszawy – my – więźniowie ghetta, ślemy Wam bratnie, serdeczne pozdrowienia. Wiemy, że w serdecznym bólu i łzach współczucia, że z podziwem i trwogą o wynik tej walki przyglądacie się wojnie, jaką od wielu dni toczymy z okrutnym okupantem. Lecz wiedzcie także, że każdy próg ghetta [...] będzie twierdzą, że może wszyscy zginiemy w walce, lecz nie poddamy się, że dyszymy jak i Wy żądzą odwetu i kary za wszystkie zbrodnie wspólnego wroga".

Poczucie wspólnoty losu jeszcze mocniej wybrzmiewa w zakończeniu odezwy, które stanowi swoisty manifest ideowy powstania: „Toczy się walka o Waszą i naszą wolność. Wasz i nasz – ludzki, społeczny, narodowy honor i godność. [...] Niech żyje braterstwo broni i krwi Walczącej Polski! Niech żyje Wolność!".

Powstańcy mieli świadomość, że cały kraj trwa w oporze przeciwko Niemcom i świadomie się do niego odwoływali. Postrzegali siebie jako część tej walki, co znajduje potwierdzenie nie tylko w dokumentach, lecz także w dalszych losach niektórych z nich. Przykładem jest grupa byłych bojowców ŻOB pod dowództwem Icchaka Cukiermana, która w czasie powstania warszawskiego wzięła udział w walkach na Starym Mieście.

Przez wiele lat losy Polaków i polskich Żydów były rozdzielane, traktowane jako dwie równoległe, lecz odrębne opowieści. To duży błąd. W końcu oba narody wspólnie od setek lat żyły na tych samych ziemiach, a w czasie wojny doświadczały niemieckiego terroru i często stawały wobec podobnych wyborów. Włączenie powstania w getcie warszawskim do kanonu polskich insurekcji narodowych nie oznacza zawłaszczenia historii Żydów, lecz daje jego pełniejsze zrozumienie. To także forma oddania hołdu naszym wspólnym bohaterom.

eprasa.pl 38568eaf2b

Janina Lewandowska w kombinezonie lotniczym, ze spadochronem. Lotnisko Ławica, Poznań 1939 r.

Lotniczka z Katynia

W Dzień Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej, obchodzony 13 kwietnia, przypominamy Janinę Lewandowską – lotniczkę i spadochroniarkę, której marzeniem była też kariera sceniczna. Jedyną kobietę zamordowaną w Katyniu. W filmie „Pojedynek" zagrała ją Julia Pietrucha

Fot. Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie

eprasa.pl 38568eaf2b

Kadr z filmu „Pojedynek"

Julia Pietrucha, grająca Janinę Lewandowską w filmie Łukasza Palkowskiego „Pojedynek", podkreśla, że musiała to być silna, nieuciekająca od trudów i wyzwań kobieta. Córka gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, gdy trafiła do obozu – najpierw w Ostaszkowie, potem w Kozielsku – była po trzydziestce. Miała za sobą młodzieńcze doświadczenia poważnej choroby, a także wykształcenie muzyczne i niespełnione marzenia o karierze artystycznej. Miała również umiejętność przyznania przed sobą, że nie będzie gwiazdą sceny. Jednocześnie zamykające się drzwi potrafiła zamienić na kolejne. Została radiotelegrafistką, lotniczką szybowcową i spadochroniarką. Gdyby nie gwałtowna śmierć, mogłaby wzbić się wyżej.

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

LOTNICZY MUNDUR

Dopiero w sowieckich obozach – do których trafiła, mimo iż nie brała udziału w działaniach wojennych – dostała lotniczy mundur, za duży na nią, ale pozwalający ukryć się wśród polskich oficerów przed strażnikami. By ją chronić, nadano jej też fikcyjny stopień podporucznika lotnictwa (na stopień porucznika awansowano ją pośmiertnie).

Dziś to trudne do wyobrażenia, ale potrafiła przetrwać przez wiele miesięcy w obozowych, dyktowanych przez Sowietów warunkach. Jedyna kobieta.

Janina Antonina Lewandowska z domu Dowbor-Muśnicka została rozstrzelana w lesie katyńskim między 20 a 22 kwietnia 1940 r. (ta druga data to dzień jej 32. urodzin).

POCIĄG DO KRESU

W filmie Łukasza Palkowskiego jest scena, w której główny bohater, dowiadując się o urodzinach Janiny, ofiarowuje jej butelkę dobrego alkoholu. Również w taki sposób filmowy Karol Grabowski był kuszony przez oficera NKWD i namawiany, by talent i przedwojenne dokonania oddać służbie Związkowi Sowieckiemu.

„Przedstawiciele polskiej inteligencji, oficerowie, ludzie z zawodowymi dokonaniami trafiali do obozów takich jak w Kozielsku i byli tam nieustannie indoktrynowani. Ale mieli zasady i nadzieję, że trwająca wojna potoczy się inaczej. Liczyli, że informacje przeciekające ze świata staną się zapowiedzią zmiany" – mówi Julia Pietrucha.

Swoją bohaterkę nazywa kobietą niepoddającą się przeciwnościom, potrafiącą odnaleźć się w kolejnych zadaniach i sytuacjach. Przypomina, że również prywatnie, rodzinnie, Janina miała przed sobą świeżo postawiony cel. Trafiła do obozu kilka miesięcy po ślubie.

Wspomniana wcześniej scena z urodzinowym prezentem rozgrywa się w pociągu. „To moment, kiedy więźniowie mają nadzieję, są wręcz przekonani, że właśnie zostali uwolnieni" – zauważa. „Nie wiedzą, że zbliżają się do kresu. Cieszą się, przeżywają ten moment radości, chociaż część z nich, może ma już przeczucie, że coś złego może się wydarzyć".

WYDOBYTA PRAWDA

Aktorka dodaje, że podobnie jak jej pierwszy film „Jutro idziemy do kina", również

Kobiety w zbrodni katyńskiej

Janina Lewandowska była jedyną kobietą, o której wiemy, że została zamordowana w Katyniu. Jednak nie oznacza to, że była jedyną kobietą ofiarą zbrodni katyńskiej. Oprócz Lewandowskiej znane są nazwiska jeszcze 54 kobiet i dziewcząt umieszczonych na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej. Są to policjantki, funkcjonariuszki służby więziennej, tajne współpracownice polskich służb śledczych, wywiadu wojskowego, konspiratorki ZWZ oraz działaczki społeczne i polityczne oskarżone o terroryzm przeciw władzy sowieckiej. Na śmierć „zasłużyły" także przedstawicielki ziemiaństwa, nauczycielki oraz kobiety wykładające na uczelniach wyższych. Kobiety uwzględnione w spisach, skazane na rozstrzelanie, zostały aresztowane przez NKWD między wrześniem 1939 r. kwietniem 1940 r. Najmłodszą była Aniela Krotochwilówna (17 lat), a najstarsze, prawie 60-letnie, to Helena Lewczanowska i Nadieżda Stiepanowa.

Fot. Jarosław Sosiński/Monolith Films, Shutterstock

eprasa.pl 38568eaf2b

„Pojedynek” uświadamia – szczególnie mocno w obecnej geopolitycznej sytuacji – że dobry, bezpieczny czas i miejsce, w którym żyjemy, nie są nam dane na zawsze. I bez żadnych warunków.

Prawda o zamordowaniu Janiny Lewandowskiej w Katyniu długo czekała na ujawnienie. Odkrycia szczątków kobiety w dołach śmierci (i to w sąsiedztwie ok. 10-letniego chłopca) w dokumencie ekshumacyjnym z 1943 r. nie sprecyzowano (znalazł się w nich jedynie zapisek o „niezidentyfikowanym oficerze lotnictwa”). Dopiero po upublicznieniu przez przywódców ZSRR dokumentów związanych ze zbrodnią ujawniono też nazwisko Lewandowskiej, ale również wtedy lotniczki nie udało się pochować. Trzeba było poczekać do początku XXI w., gdy w jednym z uniwersyteckich zakładów medycyny sądowej odnaleziono jej czaszkę (oraz czaszki jeszcze kilku oficerów), którą niemiecki prof. Gerhard Buhtz, uczestnik ekshumacji zwłok ofiar katyńskich w 1943 r., przeznaczył do prowadzenia badań. Została złożona w rodzinnym grobowcu w 2005 r.

ŻYCIOWE PRZEŁOMY

Postać Janiny Lewandowskiej przypomniał w tym roku kinowy film „Pojedynek”. Znacznie szerzej i dogłębniej – po przewertowaniu licznych dokumentów i zweryfikowaniu wcześniej podawanych, nie zawsze sprawdzanych informacji – losy bohaterki, która potrafiła wzbić się w niebo i nie bała się spadać (ze spadochronem) opowiedziała Agata Puścikowska. Autorka wydanej niedawno przez oficynę Znak książki „Lotniczka. Opowieść o Janinie Lewandowskiej, jedynej kobiecie zamordowanej w Katyniu”.

Z wciągającej narracji dowiemy się m.in., że jako nastolatka Janka długo walczyła z pląsawicą. Na szczęście ciężka choroba cofnęła się, a później całkowicie ustąpiła. Kobieta mogła wrócić do dawnych pasji – w tym jazdy konnej, a także do ćwiczeń przy fortepianie oraz szkolenia głosu.

Z czasem pozytywie przeszła egzaminy do konserwatorium. Wiosną 1933 r. uzyskała dyplom nauczyciela muzyki i śpiewu, ale widziała się na scenie. Podążając za marzeniami, gotowa była nawet spróbować rewiowej wersji Janiny Dowbor-Muśnickiej. Występowała pod pseudonimem Janina Doris, ale i w tej kreacji nie udało się jej osiągnąć sukcesu.

WZBIĆ SIĘ JAK NAJWYŻEJ

W poszukiwaniu stałego zajęcia i finansowego uniezależnienia, postanowiła podjąć nudną pracę na poznańskiej poczcie. Blisko 30-letnia, w połowie lat trzydziestych z radością przyjęła nadarzającą się możliwość służby jako juzistka (pomocnicza kobieca organizacja militarna utworzona w 1927 r. z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Szkolenie obejmowało łączność telegraficzną i telefoniczną oraz zadania w administracji państwowej, a w przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego służbę pomocniczą w zakresie łączności. Słowo „juzistka” zostało zaczerpnięte od spolszczonego brzmienia nazwy telegrafu drukującego „juz”, a pochodziło od nazwiska wynalazcy, Anglika Davida Edwarda Hughesa).

Po skończonych kursach telegraficznych oraz rozpoczęciu pracy we Lwowie skorzystała z kolejnej okazji – tym razem profesjonalnego szkolenia szybowcowego. Można powiedzieć, że dzięki rozwijaniu kolejnej pasji poznała przyszłego męża – instruktora i szybownika Mieczysława Lewandowskiego. Pobrali się już po śmierci ojca Janiny.

OJCOWSKIE WSKAZANIA

Najstarsza z czwórki rodzeństwa wzięła do serca zapisane w testamencie nie tylko rozporządzenia, lecz także ojcowskie wskazania: „Nie ulegajcie zawiści. Żyjcie zgodnie. Pamiętajcie, kim jesteście”.

Ojciec pisał też: „Moje dzieci winny pamiętać, że są Polakami, że pochodzą ze starej rodziny szlacheckiej o pięciowiekowej nieskazitelnej przeszłości i że ojciec ich dołożył wszelkich swych możliwości dla Polski w jej byłej chwale i potędze. Ma zatem prawo żądać od swojego potomstwa, by nazwiska naszego niczym nie splamiło”.

Nim Janina stała się panią Lewandowską, zdążyła jeszcze ukończyć kurs spadochronowy pierwszego stopnia (adepci uczyli się wykonywać skoki z poznańskiej wieży spadochronowej), a następnie drugiego stopnia. Intensywnie myślała o kursach pilota motorowego i lataniu (sportowym) na maszynach silnikowych. Była już członkinią Aeroklubu Poznańskiego. Przyjęła też oświadczyny Mieczysława. Datę ślubu wyznaczono na 17 czerwca 1939 r. Uroczystość odbyła się z zachowaniem ceremoniału lotniczego, a wesele wyprawiono na lotnisku w Tęgoborzu.

Agata Puścikowska podkreśla, że formalnie Janina nie była żołnierzem. Była lotniczką sportową, łącznościowcem szkolonym na wypadek wojny, niegdyś śpiewaczką, siostrą, dawniej córką, potem żoną. Miała marzenia i plany. Niestety zakończyły się one w katyńskim lesie.

„Pamiętam. Katyń 1940”

Trwa kolejna edycja ogólnopolskiej kampanii społeczno-edukacyjnej „Pamiętam. Katyń 1940”. Jej symbolem jest przypinka – replika guzika z munduru wojskowego nawiązująca do wiersza Zbigniewa Herberta pt. „Guziki”.

„Od kilku lat nie mamy dostępu do lasów w Katyniu, Miednoje i Kuropatach, utrudnione jest dotarcie do Cmentarzy w Bykowni i Charkowie” – przypominają organizatorzy obchodów (z Narodowego Centrum Kultury, Muzeum Katyńskiego, Instytutu Pileckiego oraz Instytutu Pamięci Narodowej), podkreślając, jak ważne jest zachowanie pamięci o ofiarach sowieckiego mordu sprzed 86 lat. Pełne kalendarium wydarzeń – warsztatów, spotkań, pokazów filmów, a także akcji „Przypnij guzik pamięci” (na terenie Polski, ale też w Nowym Jorku i Berlinie), a także poszerzone informacje (w tym biogramy 20 ofiar zbrodni katyńskiej, które w tym roku zostały przywołane na plakietkach dołączonych do przypinek, będących replikami guzików katyńskich) – można znaleźć na stronie pamietamkatyn1940.pl.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 38568eaf2b

Wiesław Myśliwski 1932–2026

Requiem dla chłopskiej kultury

Cywilizacja i nowoczesny świat „zawstydziły surową kulturę chłopów", prowadząc do jej ostatecznego końca. Książki Wiesława Myśliwskiego są prozatorskim requiem dla polskiej wsi, z której wyrasta wszak współczesna Polska

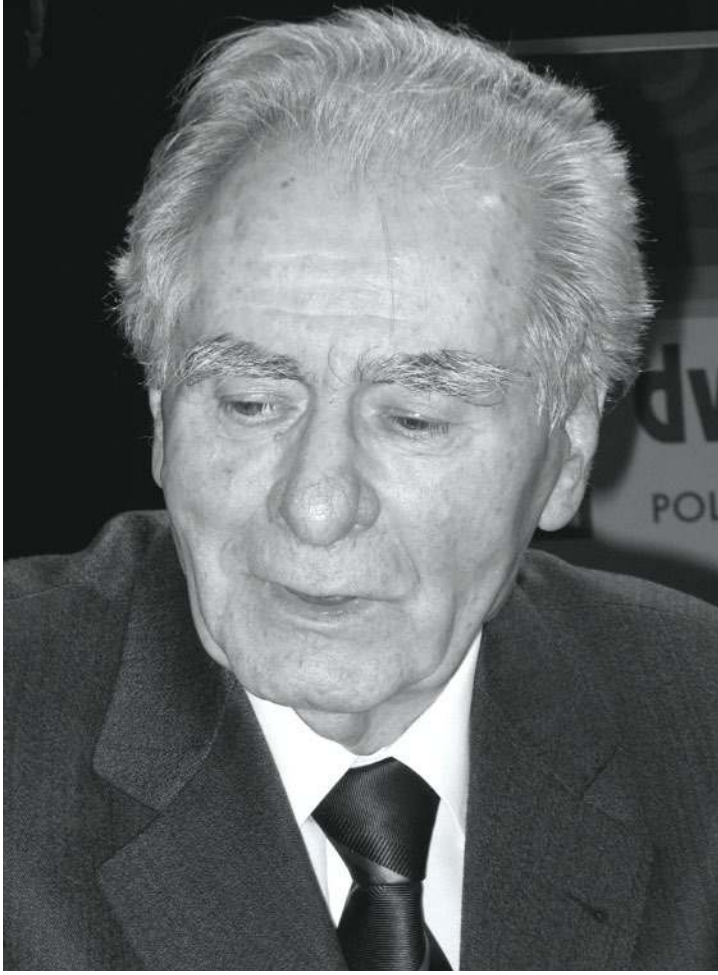

MACIEJ WALASZCZYK

To, co najciekawsze w polskiej powojennej epice, zrodziło się na emigracji. Przez to jednak docierało z ograniczeniami i opóźnieniem. Istniała też wybitna literatura, która zrodziła się w warunkach politycznej cenzury i właściwie w symbiozie w peerelowską rzeczywistością. Do niej z pewnością należy twórczość Wiesława Myśliwskiego. Jego śmierć 29 marca br. w wieku 94 lat odnotowały wszystkie media, komentatorzy, a także politycy wszelkich stron politycznego sporu. Był twórcą rzadko publikującym i odosobnionym, choć zarówno przed, jak i po 1989 r. honorowanym, nagradzanym i dostrzeganym, stając się najważniejszym polskim pisarzem ostatnich dekad.

KULTURA BYTU I MIEJSCA

Myśliwski był autorem przenikliwie medytującym nad ludzkimi losami w Polsce wyrosłej z chłopskich izb i nad tym, jak polską wieś pokonały przemiany cywilizacyjne. Także te, które obserwujemy na co dzień, związane globalnym wolnym rynkiem, ekspansją nowoczesnych technologii i zalewem informacji. „Kultura chłopska przegrała starcie z napierającą cywilizacją, nawet tak rachityczną jak w polskim wydaniu. Musiała je przegrać. Kulturze biedy i izolacji cywilizacja zaproponowała podniesienie poziomu życia i pracy oraz otwarcie na świat. To zbyt wielkie pokusy, aby można było im się oprzeć" – pisał w przejmującym eseju pt. „Kres kultury chłopskiej" (2003).

Pisarz protestował przeciw pojęciu wywiedzionej z Cepelii kultury ludowej, przeciwstawiając jej pojęcie kultury chłopskiej, przenoszącej na większość współczesnych Polaków matrycę człowieczeństwa. Jego proza pozwala lepiej zrozumieć, kim jesteśmy, bo trwanie polskości – jak przypominał – zostało zbudowane na przywiązaniu do ziemi, do języka, do wiary. Jak podkreślał: „kultura chłopska była kulturą bytu i miejsca", a motywacją istnienia „trwanie i przetrwanie". Dlatego Myśliwski jest tak bardzo polski. Jednak dla polskiej inteligencji, jak wyjaśniał, mimo Chopina, Mickiewicza, Norwida czy Leśmiana i swego nieprzebranego bogactwa, kultura ta była do końca swego istnienia, mimo mód na ludowość i chłopomanii, „nierozpoznana, deprecjonowana, częstokroć fałszowana lub ideologizowana", a w końcu egzotyczna i nieistniejąca. A ona sama, „zawstydzona" nowoczesnym światem i cywilizacją, została porzucona przez swych dziedziców.

UNIWERSALNY, CHOĆ BARDZO POLSKI

Wiesław Myśliwski urodził się w 1932 r. we wsi Dwikozy koło Sandomierza. I choć zdecydowaną większość życia spędził w Warszawie, cała jego twórczość toczy się z dala od miejskiego świata. W 1946 r. zaczął uczęszczać do gimnazjum w Sandomierzu. Po maturze próbował dostać się na Politechnikę Gdańską, na kierunek budowy okrętów. Nie został jednak przyjęty i ostatecznie skończył polonistykę na KUL. Od 1956 r. pracował w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, był redaktorem naczelnym kwartalnika społeczno-kulturalnego „Regiony" i dwutygodnika „Sycyna".

Zadebiutował dość późno, bo dopiero w 1967 r., gdy miał 35 lat, powieścią „Nagi sad". Trzy lata potem wydał opowiadanie „Pałac". Szczególnie pierwsza z nich, napisana po cichu, na boku, okazała się niezwykle ciekawą opowieścią o miłości i relacji ojca i syna. Historią umiejscowioną gdzieś na polskiej prowincji. Tak będzie potem we wszystkich jego utworach pisanych – a może

Fot. Mariusz Kubik/www.mariuszkubik.pl/CC BY 2.5

eprasa.pl 38568eaf2b

nawet malowanych – stylem nieco poetyckim, gawędziarskim, filozoficznym i anegdotycznym. Czytając Myśliwskiego, słyszymy głos opowiadającego, nadstawiamy ucha, a jego kunsztowna proza okazuje się też uniwersalna, bo przecież była przekładana na ponad 20 języków. Jako pisarz nie odtwarzał rzeczywistości, ale tworzył ze swoich przeżyć. Twierdził, że także perspektywa narodowej historii zawiera się w jednostce. Po 1990 r. okazało się to znakomitą odpowiedzią na zalew tandety i grafomanii, choć dorobek pisarza to, zdawałoby się, „tylko" kilka powieści.

Myśliwski dbał też o pewną dyscyplinę pracy. Unikał internetu, podobno nie używał komputera ani maszyny do pisania. Pisał odręcznie ołówkiem, siedząc przy dębowym stoliku. „Nie zniósłbym braku pośrednictwa między moją ręką a kartką papieru, która podczas pisania staje się częścią mnie" – relacjonował w czasie jednego ze spotkań z czytelnikami.

SIEDEM POWIEŚCI

Najwybitniejszym dziełem Myśliwskiego był „Widnokrąg" (1996). Tę wspaniałą epopeję pisał przez ponad 10 lat, w pełni rozwijając w niej charakterystyczny dla siebie styl realizmu poetyckiego. Jest to najbardziej autobiograficzna z jego książek, z akcją umieszczoną właśnie w Sandomierzu, w którym spędził młodość. Została utkana z codzienności intensywnego istnienia, w której pojawiają się postaci intrygujące, jak np. panny Ponckie, podobno wymyślone przez autora, oraz autentyczne wydarzenia historyczne związane z okresem II wojny światowej i nastaniem komunizmu.

Historia w książkach Myśliwskiego raczej przepływa przez jego bohaterów, a do czytelnika przemawiają realia. Podobnie jest we wcześniejszej i przejmującej powieści „Kamień na kamieniu" (1984), będącej dowodem na to, że coś bardzo wartościowego mogło się ukazać również w warunkach cenzury politycznej. To właściwie gawęda, opowiadana jakby przez dziadka i traktująca o przemianach zachodzących w życiu kilku pokoleń wiejskiej rodziny Pietruszków, która stopniowo przeradza się w wizję bolesnego upadku kultury chłopskiej. Nieuniknionego, bo m.in. spowodowanego masową ucieczką wielskiej młodzieży do miast, fabryk, kopalń i szkół. Ich osobisty awans oznaczał jednak stopniową deprecjację wsi jako przestrzeni ich istnienia.

Także w centrum „Traktatu o łuskaniu fasoli" (2006) znajdujemy bohatera toczącego swój monolog, który w półmroku stróżówki, łuskając fasolę, w nieco tajemniczy sposób, bo przypadkowemu nieznajomemu, zdaje sprawę o swoim życiu. To wielka przypowieść o życiu, kwestii tożsamości i niwelujących wszystko przemianach społecznych. Myśliwski potrafił dzięki temu uniknąć prostej, politycznej publicystyki, a opowieścią zdziwaczałego samotnika oświetlić prawdę o komunizmie, który zmiótł wszystko, co istniało wcześniej, z powierzchni ziemi. Książka jest pretekstem do raczej pesymistycznych rozważań metafizycznych i filozoficznych, które pisarz kontynuował także w „Ostatnim rozdaniu" (2013). W tym przypadku osnową powieści jest zwykły notes z numerami telefonów, adresami, notatkami, nieustannie porządkowany i wydobywający z pamięci osoby i zdarzenia. Do Sandomierza wracamy też w „Uchu igielnym" (2018) – tytuł nawiązuje do dobrze znanego tam zabytku, którym jest tamtejsza Furta Dominikańska. Jak przyznał kiedyś Myśliwski, pierwszą wersję utworu zniszczył, ale i przez to „ucho igielne" przecisnęła się jedna z najpiękniejszych powieści pisarza, zagubiona w czasoprzestrzeni, ciągle ta sama opowieść o życiu, utracie niewinności i starości.

Te same tematy Myśliwski przedstawił nie tylko w epickich narracjach, lecz także dramatach, takich jak „Złodziej" (1973), „Klucznik" (1978) czy „Drzewo" (1988). Pisarz był też autorem kilku scenariuszy filmowych, bazujących zresztą na jego własnych powieściach, choć nie zawsze szczęśliwie przyciętych do realiów filmowej adaptacji. Fragmenty „Nagiego sadu" stały się kanwą filmu „Przez dziewięć mostów" (1971), wyreżyserowanego przez Ryszarda Bera. W 1995 r. ten sam reżyser przeniósł na ekran „Kamień na kamieniu". W 1979 r. Wojciech Marczewski zekranizował „Klucznika", rok później Tadeusz Junak nakręcił „Pałac", a w 1988 r. Wiesław Helak zaadaptował „Złodzieja". Natomiast jeden z fragmentów „Widnokręgu" stał się kanwą spektaklu telewizyjnego „W poszukiwaniu zaginionego buta" (1997) Izabeli Cywińskiej.

> Pisarz protestował przeciw pojęciu wywiedzionej z Cepelii kultury ludowej, przeciwstawiając jej pojęcie kultury chłopskiej, przenoszącej na większość współczesnych Polaków matrycę człowieczeństwa

APOKALIPSA WEDŁUG MYŚLIWSKIEGO

Myśliwski jak nie stał w pierwszym szeregu walczących z komunizmem, tak nie ulegał artystycznym modom i ideologicznym nowinkom. „Nie dzielę ani rzeczywistości, ani literatury na pesymistyczną i optymistyczną. Nie ma świata optymistycznego i pesymistycznego. Świat jest integralny, jeden" – mówił kilka lat temu w wywiadzie dla miesięcznika „Znak". Historię wraz z jej dramatycznymi wydarzeniami i życie przedstawiał w nierozerwalnej ciągłości. „Nie fetyszyzujmy tak współczesnego świata" – oświadczył, odpowiadając na pytanie o kryzys klimatyczny i apokaliptyczne wizje ekologów. Przeciwnie – jak twierdził, w każdej epoce ludzie sądzili, iż żyją w wyjątkowym momencie. „Nie bądźmy tacy zarozumiali, że żyjemy akurat w wyjątkowej epoce" – podkreślał i radził, by raczej wczuć się w dawnych ludzi, by dziś wyciągnąć z tego jakąś lekcję dla siebie.

Do końca patrzył na świat w taki sposób i starał się widzieć go oczami polskiego chłopa. „Była to kultura zgody z losem, afirmująca życie takie, jakie przypadło człowiekowi w udziale" – wyjaśniał. Jego wspaniałe książki opowiadają właśnie o tym, że wraz z jej upadkiem zginą też szacunek dla pracy, sakralny stosunek do chleba i przyrody, więzi wspólnotowe i porządek oparty na patriarchalnej rodzinie.

eprasa.pl 38568eaf2b

HITY i KITY ZAREMBY

Niepozbierana młodzież z ulicy Dobrej

„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" – ten film debiutantki Emi Buchwald został obsypany nagrodami (za najlepszą reżyserię na festiwalu w Gdyni). Spodobał się też recenzentom. Nie szukajcie tu kina gatunkowego, to nie horror – to artystyczna wariacja na temat młodych ludzi. Mnie się spodobała, choć chwilami drażniła

Fabuły tu niewiele. Poznajemy czwórkę zbliżonego wiekiem rodzeństwa (ok. 20 lat?), któremu, jak rozumiem, przypadło wspomniane mieszkanie przy ul. Dobrej w Warszawie po wciąż żyjących – ale poza stolicą – rodzicach. Zaczyna się od wspólnej akcji dwóch sióstr: Nastki i Jany oraz młodszego z braci Benka, którzy usiłują sprowadzić ze złej drogi starszego brata Franka. Akcja jest nieudana, prowadzi tylko do wyprowadzki Benka, Franek popadł bowiem w zależność od niejakiej Zuzy. Benek osiedla się w mieszkaniu wynajmowanym przez Nastkę. Ale później także Franek wyprowadza się z Dobrej. Przez znaczną część filmu tytułowe mieszkanie pozostaje w rękach obcych. Młodzi ganiają za sobą nawzajem, nie znajdując celu ani sensu swojego życia.

Tempo jest niespieszne, akcja się rwie. Zarazem są w tym filmie momenty klimatyczne, nawet poetyckie, łącznie z takimi dziwnościami jak upiorek Dusiołek. Moja irytacja brała się z ogólnej diagnozy scenariusza. Czy na pewno młodzi ludzie są tak pasywni, niepozbierani, chwilami dziecinni w rozwiązywaniu swoich problemów? Kordian Kądziela pokazał niedawno w „LARP. Miłość trolle i inne questy" młodzież mającą jakąś pasję, pozwalającą uciec w świat fantazji, i to fantazji wybitnie niedzisiejszej.

Na tym tle młodzi z filmu Emi Buchwald są prozaiczni. Choć może nie do końca: Jana nagrywa dźwięki, szykuje niejasną tematycznie wystawę artystyczną. Ich życie pozostaje jednak tragicznym bałaganem. Bracia nie umieją się nawet porządnie pobić, a cała czwórka nie potrafi dbać o swoje. Czy takie są naprawdę cechy znacznej części ich pokolenia? Takie z nich duże dzieci? Ktoś napisał, że ten film „chwyta za serce". Ale czym? Nieudacznictwem bohaterów?

Elementem ocieplającym to niewesołe założenie jest wątek ich więzi bratersko-siostrzanych. Niby próbują je chwilami rwać, szukają w nich nawet przyczyn swoich niepowodzeń i swojej bezradności. Bo nie myśleli tylko o sobie, lecz o całej grupie (dwójka z nich to zresztą bliźniaki). A jednak wracają do tych więzi. Są sobie potrzebni. Tak to wygląda naprawdę? Pytam młodych z rodzeństwem, i to z więcej niż jedną sztuką.

Zabawne, ale na Filmwebie recenzenci amatorzy podnieśli inną kwestię. Skąd młodziaków stać na tyle mieszkań, w tym na to główne, na Dobrej, całkiem słusznych rozmiarów? Chłopcy niby pracują w jakiejś osiedlowej knajpie, chyba za grosze. O dochodach dziewczyn nie wiemy nic. Ich kłopoty muszą bardziej drażnić widzów, kiedy przypisuje im się zarazem swoisty materialny immunitet. Zwykli ludzie nie doznają takiej beztroski – czytam.

Jest to nieźle zagrane, zwłaszcza przez chwalonego tu dopiero co przeze mnie Bartłomieja Deklewę (Benek), także przez Karolinę Rzepę (Jana – nagroda w Gdyni) i Izabellę Dudziak (Nastka). Debiutant Tymoteusz Rożynek w roli Franka jest w specyficzny sposób drętwy. Ale może swoista „odrętwiałość" to cecha jego postaci? To się okaże dopiero przy jego następnej roli.

Mówią zachwaszczonym, też cokolwiek nieporadnym językiem, inaczej niż w „LARP..." sporo tu wulgaryzmów. Niedawno podobne dialogi słyszałem w horrorze „13 dni do wakacji" Bartosza Kowalskiego, więc chyba są autentyczne. Znam już zwroty „typie" i „typiaro". Ale słowo „przygnęba" (coś przygnębiającego) usłyszałem chyba po raz pierwszy...

Piotr Zaremba

Fot. Kino Świat

HOLOUBEK W MOIM DOMU

Zwykle nie wrzucam tu powtórek. Tym razem piszę jednak o „Czterech porach roku" Israela Horovitza, Teatrze Telewizji z 1998 r. – właśnie przypomniała go TVP Kultura. To okazja, aby skreślić kilka zdań na temat Gustawa Holoubka

Kiedyś takich sztuk pisało się dużo, teraz jakby mniej, choć ciągle się zdarzają. Israel Horovitz (1939–2020) to zawodowiec, aktor, reżyser, dramatopisarz i scenarzysta filmowy. Ogarniał swoją twórczością niejeden obszar świata, napisał 70 sztuk. Z kolei reżyser tego spektaklu, Janusz Morgenstern, to wybitny filmowiec, który tu zredukował swoją wyobraźnię do minimum. Mamy ograniczoną przestrzeń mieszkania, zbliżenia twarzy, nieśpieszne rozmowy i tło w postaci klasycznej muzyki. To ma nam wystarczać.

Do stojącego w obliczu śmierci głuchego nauczyciela angielskiego i muzyki nazwiskiem Brakish wprowadza się osoba mająca być pomocą domową. Kathleen jest młodą wdową, przyjętą nawet serdecznie. Atmosfera trochę się psuje, kiedy okazuje się, że kobieta była kiedyś jego uczennicą, co więcej – uczniami byli także jej nieżyjący już mąż i oboje rodzice. Brakish słynął z surowości, co odizolowało go od społeczności miasteczka w stanie Massachusetts. Kathleen przyszła tu, bo chce zobaczyć jak licealny tyran umiera.

Brakisha gra Gustaw Holoubek, Kathleen – Jadwiga Jankowska-Cieślak. Dostajemy koncert tonów i półtonów. Aktorzy mówią trochę do siebie, ale może nawet bardziej do nas, czemu sprzyjają wpisane w fabułę defekty ich komunikacji. Ich problemy i kolejne sposoby ich rozwiązywania nie są nawet szczególnie odkrywcze. Tyle że ja zawsze przestrzegałem recenzentów przed wyczekiwaniem na jakiś mityczny przełom, który ma przynieść jedno przedstawienie. Teatr jest od nieustannego zaplatania ludzkich losów, nawet z pewną dozą powtarzalności. Bo taka pozostaje natura świata.

Oboje grają świetnie. To może jednak ostatnia okazja, aby zająć się zmarłym w 2008 r. Gustawem Holoubkiem. Pamiętam, jak Jan Englert opowiadał mi – bardziej z rezygnacją niż gniewem – że na egzaminy aktorskie przychodzą młodzi ludzie, którzy nie znają tego nazwiska. Cóż, aktorstwo teatralne jest ulotne – zagrał kilka ważnych ról w filmach, ale nie takich, które dziś panują nad naszą wyobraźnią. A przecież za życia był uznany za wielkość.

Miałem do niego mieszany stosunek. Trudno było nie zostać poruszonym siłą słowa w jego ustach. Ale kreowane przez niego postaci były dla mnie zbyt podobne do siebie, sposób, w jaki je budował, mógł zakrawać na manierę. No i to przeklęte pytanie: czy Holoubek byłby w stanie zagrać chłopa?

Ale dziś, po latach, uznaję siłę jego osobowości, która pozwalała mu w jakiś magiczny sposób naginać kolejnych bohaterów do własnego temperamentu, sposobu mówienia, gestu, bycia. Nie stał się aktorem ukochanym, ale kimś, kto przychodzi do mnie z czasów, kiedy słowo było ważne.

Fot. I. Sobieszczuk/TVP

Król Dawid w rytmie popkultury

Byłem ciekaw animowanego „Davida". Film wyprodukowała amerykańska, chrześcijańska wytwórnia Angel Studios. Już z zajawek wynikało, że jest przeznaczony dla dzieci. A przecież ta biblijna historia jest krwawa, pełna zabójstw i okropieństw

Bywają filmy animowane dla dorosłych. Ale nie „David" Phila Cunnighama i Brenta Dawesa. Na początku opowieść o późniejszym królu Izraela rozwija się jak klasyczna bajka przerzucona do naszej popkultury, gdzie bohaterowie „miewają doła", a innych pocieszają rozgłośnym: „Spoko". Nasz Dawid nie tylko pasie owce, jak w biblijnej Pierwszej Księdze Samuela. On biega po Palestynie w poszukiwaniu przygód. A przy tym śpiewa.

Opowieść o małym Dawidzie zabijającym ogromnego Goliata to jeden z chrześcijańskich archetypów, wyjętych ze Starego Testamentu. Jest w kościelnych czytaniach, uczyłem się jej na religii, możliwe, że przedstawiają ją także współcześni katecheci. Angel Studios to zaś producent specjalizujący się w takich przebojach jak serial „The Chosen" („Wybrany"). Amerykańscy protestanci jeszcze bardziej niż my, katolicy, czują się spadkobiercami Starego Testamentu.

W efekcie zabicie strasznego Goliata przez Dawida jest pokazane w konwencji przygodowej, acz z powracającym motywem wypełniania woli Bożej i liczenia na jego pomoc. Wcześniej tłumaczy się nam, jak bardzo Filistyni gnębili Żydów. Potem sceny bitewne unikają pokazywania zabitych.

Tak naprawdę mamy tu nie tylko problem, co wybierać z ksiąg proroka Samuela dla dzieci. Stary Testament to obok proroctw i moralnych zaleceń także opowieść o kolejnych wojnach „wybranych", czyli Żydów, z niewybraną resztą. Przemoc jest tu permanentną formą rozwiązywania żydowskich problemów. A Nowy Testament radykalnie zrywa z wiarą w przemoc, Chrystus ją potępia. Dlatego starotestamentowe realia docierają do nas tylko w starannie przyciętych fragmentach. Moglibyśmy nie zrozumieć zawiłych relacji między starym i nowym objawieniem. Skądinąd film „David" się urywa, nie pokazując, jak jego bohater zdobył tron i jak królował. No właśnie.

Fot. Galapagos

Maciej Walaszczyk

Radykalne Węgry

„W naszym kraju nie ma miejsca dla bezbożnych pogan. Dziś modlimy się do Ciebie" – śpiewa János Petrás w żywiołowym i otwierającym kolejną płytę Kárpátii utworze „Szent László éneke". Jeżeli w kulturze naszych bratanków istnieje wzór średniowiecznego rycerza chrześcijańskiego, to jest nim wnuk Mieszka II, urodzony w Krakowie król Władysław I Święty – drugi najwybitniejszy władca w dziejach Węgier po św. Stefanie. Wspomniana piosenka od pierwszych taktów atakuje słuchacza klasyczną heavy-metalową galopadą, okraszoną pełnymi finezji i melodyki gitarowymi solówkami. Nie może być inaczej, bo ten wybitny władca odparł najazdy plemion Kumanów i Pieczyngów, zabezpieczając na niemal 150 lat południowo-wschodnie granice nie tylko Węgier, lecz także Europy.

Utwór jest coverem piosenki innej słynnej węgierskiej grupy – Romantikus Erőszak, a wydana płyta to tym razem muzyczny hołd, jaki Kárpátia składa kilkunastu zespołom, które od lat 90. XX w. tworzą nad Dunajem scenę narodowego rocka. Nagrała ją, by przypomnieć o wszystkich, z którymi zespół dzielił scenę w ciągu wielu lat swojej działalności. Mamy tu dużo typowego dla Kárpátii rockmetalowego grania, ożywianego folklorem i nieodłącznym narodowym przekazem, tonowanego bardziej lirycznymi akcentami, np. w przepięknej balladzie „Isten veled szülői ház" nieistniejącej już od kilku lat Millennium. János Petrás przywołuje więc Szeklerów, wspomina Siedmiogród, Transylwanię i Zakarpacie, a przy okazji utwory grane w ciągu ostatnich lat przez liczne w kraju bratanków grupy metalowe, folk-rockowe lub tworzące tam od lat 80. prężną scenę skinheads. Wiele z nich już nie istnieje, muzycy przegrupowali się lub odeszli na wieczną wartę. Wśród zagranych i nagranych z dużą finezją kawałków znajdujemy m.in. wersję jednej z piosenek popularnej także w Polsce Szkítii, a więc Scytii, której muzycy genialnie uzupełniali swe rockowe brzmienia węgierską muzyką ludową. W „Az Én szívem mikor dobban" wybrzmiewa nieukojona trauma wywołana rozbiorem w Trianon, ale to, co kiedyś się rozpadło, znów złoży się w jedną całość, a pomostem wielkiego zjednoczenia będzie język węgierski („A mi nyelvünk" grupy Cool Head Klán). Jest i inny polski akcent, wybrzmiewający w „1848" nieistniejącej już od 10 lat grupy Titkolt Ellenállás. Rockowa gawęda wspomina gen. Józefa Bema i innych bohaterów kampanii siedmiogrodzkiej, zaciekle walczących z austriacko-rosyjską interwencją.

Kárpátia, „Mementó", Exkluziv Music 2026

Portret upadku Europy

To wznowienie wydanej już kiedyś w Polsce pięcioczęściowej sagi powieściowej tego wielkiego węgierskiego prozaika. Duchowego emigranta, z rozmysłem zapomnianego w epoce komunistycznej, który po jej upadku i własnej śmierci w 1989 r. został przywrócony czytelnikom. Dziś w polskich przekładach Teresy Worowskiej oraz Ireny Makarewicz dostępnych jest ok. 30 książek z literackiej spuścizny Sándora Máraia.

„Dzieło Garrenów" to pięcioczęściowa saga pisana w latach 1930–1948. Opowiada historię mieszczańskiej rodziny z dawnej węgierskiej Kassy, a dzisiejszych słowackich Koszyc (rodzinnego miasta pisarza), które opuściła po utracie Górnych Węgier. Jego nazwa nie pada ani razu, a lokalizacja jest alegorycznie zamaskowana, podobnie jak wiele innych postaci i wydarzeń. To z pewnością powieść oryginalna, a jej forma zupełnie nie przypomina znanego nam klasycznego wzorca. Narracja realistyczna przeplata się tu z wątkami eseistycznymi, czas jest traktowany dość swobodnie, a skromna fabuła często ustępuje miejsca magii słów i nurtowi znakomitych monologów wewnętrznych.

Koncepcja wywodzącego się z XIX w. mieszczaństwa jest misternie skonstruowanym, filozoficznym i kulturowym punktem odniesienia do wydarzeń XX w., które właściwie zmiotły tę klasę z areny dziejów. To kryzys I wojny i problem utraconych przez Węgry ziem, a w końcu przemiany społeczne przyniesione przez totalitaryzmy. A także takich, które pojawiły się wraz z gwałtownym rozwojem kapitalizmu hołdującego kulturze nieograniczonej konsumpcji. Owo Miasto, alegoria Europy, jawi się więc jako struktura organiczna, a nawet jako prawdziwy organizm z duszą, który w wyniku zajęcia przez „obcych" po prostu umiera. Przeżywamy tę śmierć wraz ze szczegółowym i zarazem poetyckim opisem choroby i agonii patriarchy rodu, Gábora Garrena. Choć tłem są tu rewolucje, gwałtowne przemiany cywilizacyjne i polityczne, a w ich konsekwencji zmagania między dawnym smakiem i ładem a chamstwem parweniuszowskich elit, powieści te zostały zręcznie uwolnione od historii, zyskując ponadczasowe znaczenie. Sándor Márai jest tu stoicki, politycznie liberalny i konserwatywny, stoi na gruncie kultury wyrażonej stylem życia miejskiej burżuazji – owej sztuki będącej ikonicznym Dziełem. To pełen absolutnego napięcia opis zamierania kultury zastępowanej przez martwą cywilizację. Opis upadku Europy.

Maciej Walaszczyk

Sándor Márai, „Dzieło Garrenów", t. I–III, „Zbuntowani", „Zazdrośni", „Obcy", „Znieważeni", „Maruderzy", Czytelnik 2006

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
Autopromocja

eprasa.pl 38568eaf2b

wPolsce 24

Wierzbicki Biedroń

mówią jak jest

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 38568eaf2b

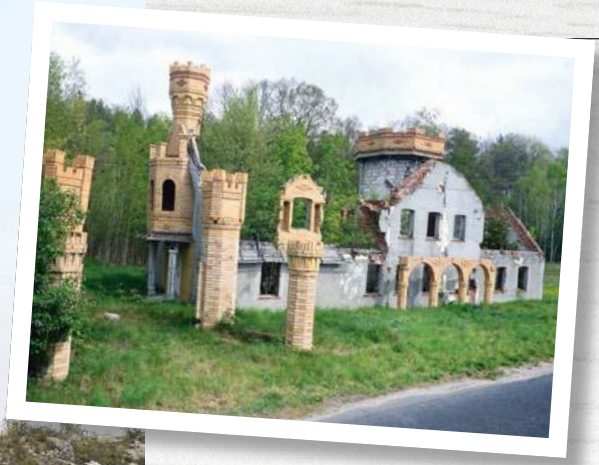

ICH ZAMKOWE SZLAKI: NICOLAS GROSPIERRE, MARTA EJSMONT, MATEUSZ PAWLUKIEWICZ, KUBA SNOPEK I INNI

Zamczystość polska

Jak porównać warownię ze wsi Bobolice, wzniesioną w połowie XIV w. na polecenie Kazimierza III Wielkiego (jako część systemu obronnego Orlich Gniazd), i królewski Wawel z postawioną współcześnie prywatną budowlą w Stobnicy, 60 km od Poznania?

– W Polsce buduje się niepokojąco dużo zamków. W całym kraju powstają ich dziesiątki. Rekonstrukcja goni rekonstrukcję. Pojawiają się również zamki, których wcześniej nie było. Te inwestycje mają się doskonale, mimo krytyki i ogromnych kosztów – konstatuje Kuba Snopek, urbanista i badacz architektury, kurator wystawy „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy" otwartej niedawno w warszawskim Pałacu Pod Blachą.

– Z moich badań wynika, że Polacy nie budują zamków, lecz wytwarzają wokół siebie zamczystość. Zamek należy do świata architektury i konserwacji zabytków, zamczystość – do dziedziny opowieści wizualnej. Zamczysty jest każdy obiekt kulturowo rozpoznawany jako zamek, niezależnie od prawdy historycznej, wieku, pierwotnej funkcji – dodaje.

Na ekspozycji można zobaczyć fotografie Nicolasa Grospierre'a zestawiające historyczne i nowe zamki, dokumentację fotograficzną Marty Ejsmont, koncentrującą się na ich materialności oraz wizualny leksykon rodzimej architektury warownej autorstwa Mateusza Pawlukiewicza. Prezentowane są także makiety, infografiki, fragmenty projektów architektonicznych, a nawet rysunki wykonane przez dzieci.

Centralnym elementem wystawy jest instalacja artystyczna „Ostatni zamek", a dopełnieniem ekspozycji – wielogłosowa publikacja. „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy" to złożona z wielu wypowiedzi refleksja nad fenomenem współczesnej polskiej zamczystości. Eseje, wywiady i fotoeseje analizują zarówno historyczne dziedzictwo zamków, jak i ich współczesne reinterpretacje.

Wystawę „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy" można zwiedzać w Pałacu Pod Blachą (Zamek Królewski w Warszawie, wejście od strony Trasy W-Z) do 28 czerwca 2026 r.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fragment wystawy „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy"

Fot. Tomasz Kaczor; Nicolas Grospierre; Bobolice; Mateusz Pawlukiewicz

eprasa.pl 38568eaf2b

SŁODKO-SŁONY

Zabawa z chrzanem

ANNA MONICKA

Jadłam kiedyś w restauracji przepysznego śledzia – delikatnego i tłuściutkiego matiasa oprószonego świeżo startym chrzanem. Zapamiętałam ten smak. Zrobił na mnie na tyle duże wrażenie, że w tym roku przed Wielkanocą kupiłam nie tylko tarty chrzan w słoiczku, lecz także kilka sporych świeżych korzeni, żeby młodsze pokolenie miało trochę zabawy przy stole. Wyszorowałam je, obrałam ze skórki i podałam na półmisku razem z tarką, która podbiła moje serce (dostałam pod choinkę specjalne narzędzie Microplane do dojrzewających serów, skórek z cytrusów, czosnku, gałki muszkatołowej, czekolady, które kształtem przypomina długi wąski pilnik. Jest nie tylko bardzo ładne, lecz także piekielnie ostre, dzięki specjalnej, opatentowanej technologii trawienia mininożyków, a twarde produkty ściera na delikatne wiórki).

Towarzystwo, które nigdy w życiu nie tarło własnoręcznie chrzanu, z zapałem zabrało się do pracy i posypywało białym puchem wszystko – no, może poza babą, mazurkiem i paschą. Hitem okazał się oprószony chrzanem żur, o śledziu i pasztecie nawet nie wspomnę. Tak podany chrzan kompletnie inaczej smakuje – oczywiście zachowuje całą swoją moc, ale manifestuje ją zdecydowanie subtelniej, nie odstraszając od spróbowania nawet dzieci.

A ile przy okazji było wspomnień, „jak to dawniej bywało". U nas w domu zawsze rządziły kobiety – mężowie wykruszyli się wcześnie, zostały więc prababcia, babcia i jej trzy córki, czyli moja mama z siostrami. Gdy do mamy zaczął chodzić w zaloty młodzieniec, czyli mój tata, to właśnie on zawsze był przedświątecznym jeleniem od czarnej roboty. Naprawiał stary telewizor, zdezelowane radio czy pralkę Franię. Jemu także przypadał zaszczyt tarcia chrzanu – otumaniony miłością nie śmiał odmówić. Robił to przy studni i w goglach, żeby opary nie wyżarły mu oczu, bo chrzan sprzed lat to był dopiero krzepki – nie to, co teraz. Oczywiście wszystkie kobiety miały ubaw, bo nawet najszczelniejsze gogle nie chroniły nosa, jakże wrażliwego na ostre zapachy. Zajęcie to gwarantowało więc także wiosenny detoks zatok, i to gruntowny.

Zachęcam wszystkich do kupienia porządnego korzenia chrzanu i ostrej tarki. Wyjdzie wam to na zdrowie, bo nawet małe wiórki skutecznie wybijają bakterie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Mruczenie trawnych żab

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy nasunął mi się ten temat, pomyślałem, że zanim napiszę tekst, stanie się nieaktualny, bo zjawiska przyrodnicze, których dotyczy, są ulotne i krótkotrwałe. Przemijają szybko i niezauważenie, mając w sobie typową wczesnowiosenność. A jednak bez nich nie byłoby kolejnych etapów. Bez ich pozornej wątłości wegetacja nie miałaby podstaw, na których mogłaby się rozwinąć i wybujać, przechodząc w wiosnę i lato. Tymczasem okres wczesnowiosenny przedłużył się. Chłód trochę zatrzymał czas.

Tydzień przed Wielkanocą miałem okazję do przemierzenia nocą dłuższej trasy pieszej wiodącej przez urozmaiconą okolicę: niewielkie miejscowości, las, zadrzewienia i pola. Zimna, niezbyt pogodna noc (jakiś czas mżyło, przechodząc w deszcz ze śniegiem) wydawała się porą niesprzyjającą obserwacjom przyrodniczym. Mało organizmów jest wówczas chętnych na aktywność. A może – i na to decydują się niektóre – wykorzystać okazję? Te stworzenia, które przełamią ograniczenia ciemności, chłodu i małej ilości pożywienia, które potrafią sobie poradzić, mają za to do dyspozycji niezajętą przez innych przestrzeń.

Bardziej oczywiste w roli stworzeń aktywnych w takich warunkach są organizmy stałocieplne, np. czajki. Czasem przylatują z zimowisk już pod koniec lutego, żeby wcześnie zająć tereny lęgowe: podmokłe łąki i pola. Ich nocne nawoływania rozlegające się w ciemnej pustce to sygnał, że wróciły (pustka jest więc poniekąd pozorna) i kiedy większość ptaków stara się jakoś dotrwać do rana lub w ogóle – jak jerzyki czy żołny – dopiero powoli zaczyna myśleć o powrocie z ciepłej Afryki, czajki już pilnują swoich skromnych dołków w ziemi, które niedługo staną się ich gniazdami.

Co znacznie mniej oczywiste, taką zimną noc na porę swojej aktywności wybierają również nieliczne stworzenia zmiennocieplne, dla których przełamanie odrętwienia jest trudnym wyzwaniem. Potrafią mu jednak sprostać żaby trawne. Skaczący, niewyraźny kształt na skraju wody niewielkiego stawku, który zwrócił moją uwagę, okazał się żabą trawną. Żab w stawku było zresztą znacznie więcej. Nie było ich widać, ale z dalszych zakamarków dochodziło ciche, lecz niewątpliwie właściwe temu gatunkowi mruczenie, a w zimnej wodzie przy brzegu majaczyły kłęby złożonego już skrzeku.

No i dżdżownice – woda wywabiła je na powierzchnię z ziemi, którą zazwyczaj tak pracowicie spulchniają i nawożą. A dzięki nim czajki i żaby nie były głodne w tę bardzo wczesnowiosenną noc.

eprasa.pl 38568eaf2b

3 MIŁOŚCI

Okultyzm kultyczny i energetyczny

ROBERT TEKIELI

Dzisiejszy konsument popkultury jest formowany duchowo w sposób niezauważalny. Oprócz dominujących ideologii postmarksistowskich oraz hedonistycznej kultury użycia kaleczą go ukryte w popkulturze toksyczne duchowości. Ukryte i jawne, bo współczesny nastolatek, znudzona pani domu czy mężczyzna w smudze cienia spotykają się z dwoma postaciami okultyzmu – kultycznym i energetycznym. Pierwszy z nich jest otaczany nimbem wiedzy tajemnej, drugi stwarza pozory naukowości. Obydwa zaś obiecują wszystko.

Okultyzm kultyczny snuje swą opowieść za pomocą starych pojęć: „Magia rytualna. Kompletny system rytuałów miłosnych. Odkryj swoją wewnętrzną siłę...". „Taniec z duchami. Warsztaty szamańskie... Tantra Radosnych Chwil...".

Okultyzm energetyczny unika mówienia o duchach, bóstwach, nawet aniołach: „10 niewidocznych metod ochrony pola energetycznego w przestrzeni publicznej", „5 nawyków układu nerwowego, które nie tylko przyciągają pieniądze, ale pozwalają je utrzymać i pomnażać", „5 oznak, że twoje trzecie oko jest zablokowane". „8 oznak, że niesiesz światło, którego jeszcze w pełni rozpoznałeś".

Czasami zdarzają się okultystyczne formy mieszane: „Tożsamość wcieleniowa... Szkoła wiedzy szamańskiej – połączenia astralne... Energia duszy – praca z wahadłem... Synchronizacja kwantowa – dwupunkt...".

Oczywiście łatwiej jest wystrzegać się duchowej odmiany „wiedzy" tajemnej. Wobec okultyzmu używającego języka udającego naukowy współczesny człowiek zdaje się bezradny.

Przyjrzyjmy się istocie okultyzmu energetycznego na przykładach.

Właścicielka kanału na YouTube posiadającego ponad 430 tys. subskrybentów: „Cześć Qmple. Witam was ponownie w serii dotyczącej centrów energetycznych. Dziś pracujemy nad splotem słonecznym, w którym kryje się wewnętrzna moc. Alice Walker napisała: »Najpowszechniejszym powodem, dla którego ludzie się poddają, jest myślenie, że nie mają żadnej mocy«. Pokażę wam dziś, jak aktywować tę wewnętrzną moc. Spotkanie potrwa około godziny i zostanie zakończone medytacją".

Wiara w możliwość wpływania na losy szczęścia człowieka przez odpowiednie posługiwanie się przedmiotami jest przesądem. Przesądem jest też przekonanie, że co pomyślę, to się stanie

„Z energetycznego punktu widzenia świadomość siebie zwiększa naszą osobistą moc. Im większa jest nasza moc, tym mniejszy mamy kontakt z negatywnymi ludźmi i doświadczeniami. Splot słoneczny to nasza osobista siła, wewnętrzna moc w odniesieniu do świata zewnętrznego".

„Słuchaj codziennie 107 afirmacji. Przyciągaj miłość, obfitość i zbuduj poczucie własnej wartości.

Każdego dnia, gdy zasypiasz lub gdy się budzisz, twój mózg pracuje w częstotliwościach fal theta. Theta to fale tak zwanego »programowania umysłu«. Metaforycznie – twój umysł w tym stanie jest jak magnetofon, który nagrywa to, co płynie do twojej podświadomości. W ten sposób budzisz w sobie to, co najlepsze. Słuchaj tego nagrania każdego dnia, aby wyzwolić swój potencjał miłości, obfitości, spokoju, kreatywności i poczucia własnej wartości. Pierwsza część medytacji to wprowadzenie twojego umysłu w głęboki stan relaksacji, następnie wysłuchasz afirmacji dotyczących spełnienia, odpuszczenia tego, co niepotrzebne, miłości, obfitości i poczucia własnej wartości". „Gdy nastawiasz się na nieznane, zaczynasz dostrzegać więcej okazji". Co znaczy słowo occultus? Ukryty, nieznany... Czy wiesz, czym programowany jest twój umysł w stanie głębokiego relaksu?

„Spowolnij swoje fale mózgowe do stanu theta i zacznij świadomie korzystać z mądrości wszechświata". To obiecują okultyści. Wszechwiedzę i wszechmoc. Tyle że nie będziesz miał dostępu do żadnej „biblioteki wiedzy wszechświata" czy Kroniki Akaszy, lecz gdy w stanie głębokiego relaksu otworzysz się na świat duchowy, przez krótki czas bezcielesna inteligencja może dawać ci pozory władzy oraz iluzję poznawania rzeczy niezwykłych.

„Prawo przyciągania polega na wizualizacji tego, czego chcesz w swoim życiu. Oczami wyobraźni wyobrażasz sobie, jakie materialne i niematerialne rzeczy chcesz mieć i stopniowo pojawiają się one w twoim życiu". „Prawo przyciągania to filozofia, wedle której pozytywne myśli przynoszą pozytywne rezultaty w życiu człowieka, podczas gdy negatywne myśli

eprasa.pl 38568eaf2b

przynoszą negatywne skutki. Bazuje ono na przekonaniu, że wszystko we wszechświecie jest energią, także to, co dzieje się w naszym umyśle". Jak przyciągnąć to, czego się chce? „Aby skutecznie manifestować: Rozpoznaj, czego chcesz! Przyglądaj się swoim myślom. Wizualizuj z przekonaniem, że już to masz. Afirmuj, by zmienić swoje przekonania. Praktykuj wdzięczność. Działaj!".

Zapytacie, co w tym groźnego. „Praktykuj wdzięczność". Komu? Energii? Jest bezosobowa. „Działaj!" Tak, działaj, nie myśl za dużo, skup się na emocjach. „Otwieraj się". Na kogo? „Wizualizuj z przekonaniem, że już to masz". Taka jest właśnie definicja magii: oczekiwanie pożądanych skutków od działań niemogących być ich przyczyną.

Nasz los nie zmieni się od spluwania przez ramię. Czarny kot nie może wpłynąć na konsekwencje twoich decyzji. Mogę sobie długo wyobrażać, że jestem młodym, przystojnym blondynem. Nic z tego nie wyniknie. Ale wizualizowanie czegoś, na czym nam zależy z wypowiadaną w próżnię intencją, by zaistniało, choć nie jest możliwe, nie musi być wypowiadaniem intencji w pustkę. Istnieją bowiem wspomniane wcześniej nienawidzące ludzi bezcielesne inteligencje, które mogą czekać na pretekst. Na otwarcie się człowieka. Na prośbę o coś, czego nie można dostać na drodze naturalnej. Kierowaną w nieznane. Lub na wejście w stan transu, w którym nie działa ludzka racjonalność i sumienie. Na wejście w stan otwarcia się na świat duchowy.

„Twoje myśli są jak nici energii – to, co tkasz w swoim umyśle, staje się twoją rzeczywistością. Dolores Cannon, hipnoterapeutka i badaczka świadomości, mówi, że wszystko wokół nas to czysta energia. Każda emocja, każda intencja ma moc – pytanie brzmi, czy potrafisz nią kierować. Życie to lekcja świadomego kształtowania rzeczywistości. Im szybciej to zrozumiesz, tym łatwiej zaczniesz przyciągać to, czego naprawdę pragniesz".

Nie da się myślą kształtować rzeczywistości w tym sensie, o którym mówi ideologia pozytywnego myślenia, mocy umysłu czy potęgi podświadomości. Jednak te systemy przekonań budują w człowieku światopogląd sprzeczny z nauką i wiarą. Co oznacza porzucenie realistycznego spojrzenia na rzeczywistość? „Jestem gotowa zostawić stare paradygmaty i wartości, zgodnie z którymi żyłam, a które nie służą już mojemu wzrastaniu. Robię to świadomie po to, aby przygotować się do życia w przebudzonej świadomości". Czym jest ta nowa świadomość, żaden z adeptów samorozwojowych praktyk okultystycznych zwyczajnie nie wie. Jednak porzuca obszar wiedzy i wchodzi w wierzenia.

Fot. Shutterstock

Podobnie jest w innej dziedzinie okultyzmu energetycznego – w niosącej obietnice szczęścia i powodzenia finansowego sztuce i filozofii feng shui. Jest ona połączeniem porad zdroworozsądkowych i absurdalnych. Feng shui sprawia wrażenie dziedziny bardzo skomplikowanej wiedzy. W tym zasadniczym wymiarze nie jest jednak systemem wiedzy, gdyż wymaga wiary. Trzeba porzucić racjonalizm, by uwierzyć, że „dzwonek wieczny o pięciu rurkach przynosi pecha", bo taki sam dzwonek o sześciu rurkach ma zapewnić szczęście. Otoczenie człowieka bez wątpienia ma wpływ na jego samopoczucie. Feng shui nie jest jednak metodą aranżacji wnętrz. Wiara w możliwość wpływania na losy szczęścia człowieka przez odpowiednie posługiwanie się przedmiotami jest przesądem. Przesądem jest też przekonanie, że co pomyślę, to się stanie.

Podobnie manipulacja ideologii stojącej za amuletami polega na zwiedzeniu. Właściciel przedmiotu magicznego myśli o zapewnieniu sobie szczęścia czy ochrony, a w rzeczywistości prosi o przynależność do wrogiego sobie świata duchowego za pomocą np. niezrozumiałych dla siebie znaczków umieszczonych na talizmanie. Bo symbolika amuletów to symbolika przynależności. Uzurpując sobie władzę, kierowanie siłami nadprzyrodzonymi, w rzeczywistości amulety i talizmany mają na celu otwarcie człowieka na działanie sił, nad którymi nie ma żadnej władzy, co może wywołać u niego poważne problemy duchowe oraz szkody psychiczne. Egzorcyzmy przedmiotów od wieków są elementem praktyki egzorcystycznej Kościoła katolickiego.

Od ponad siedmiu dekad w zachodniej kulturze – po raz kolejny – w miejsce po chrześcijaństwie lub pustkę wchodzą różne wierzenia i przesądy. I w wielu przypadkach prawdziwa potrzeba wiary może zostać zaspokojona w sposób anachroniczny.

Oczywiście dziś istnieją tysiące innych niż okultyzm form sprzedawania fałszywej nadziei. Jednak te, o których piszę, mogą mieć również konsekwencje duchowe. Są nimi niedające się leczyć farmakologicznie depresje, statystycznie nieprawdopodobna liczba negatywnych wydarzeń w życiu, obsesyjne myśli, trudności z modlitwą, utrata pewności zbawienia. Setki świadectw mówią o tym, że nie warto.

Bo pogaństwo/„wiedza" tajemna, czyli wiara w moc amuletów czy manifestowania pragnień, magia, psychotronika, kursy doskonalenia umysłu, okultyzm kultyczny czy energetyczny to anachronizm. Pogaństwo już było i nie wróci, bo nie dawało odpowiedzi na najistotniejsze potrzeby człowieka. Nie dawało nadziei.

Ale będzie nam towarzyszyć do ostatnich dni naszej cywilizacji. Czemu? Bo „Jim Carrey zamanifestował 10 mln dol.".

eprasa.pl 38568eaf2b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Braun, Tymiński i inni

Lider Konfederacji Korony Polskiej, Grzegorz Braun, zaprosił do polityki Stanisława Tymińskiego. Człowieka, który w 1990 r. omal nie został prezydentem Polski. Tymiński przyjechał z Kanady, wcześniej mieszkał w Peru – bogaty, polski biznesmen, który dorobił się milionów dolarów za granicą. W pierwszej turze wyborów prezydenckich pokonał Tadeusza Mazowieckiego, a w drugiej walczył z Lechem Wałęsą. Polska zapamiętała go dzięki tzw. czarnej teczce, którą zabierał na swoje spotkania wyborcze, ale której zawartości nigdy nie pokazał.

Teraz – już jako oficjalnie zaproszony do polityki – ujawnił w telewizji wPolsce24, że w teczce były dokumenty kompromitujące Wałęsę, przekazane mu przez tajne służby i że była to ta sama dokumentacja pracy agenta Lecha Wałęsy, którą trzymał w domu Czesław Kiszczak. Tym samym Tymiński potwierdził, że komunistyczne służby (polskie i sowieckie) pomagały mu w zdobyciu prezydentury i zapewne finansowały jego kampanię wyborczą, a wcześniej wytypowały go z odległego Peru czy Kanady. Kampania Tymińskiego była bardzo widowiskowa. Ludzie widzieli w nim wręcz mesjasza, który uratuje Polskę i zapewni dobrobyt, a gospodarce dopływ zachodniego kapitału. Jeden z jego zwolenników uniósł nawet swoje 3-letnie dziecko, krzycząc: „Ja panu powierzam przyszłość mojego dziecka, tylko pan może ocalić Polskę!". Pamiętam te słowa, gdyż byłem blisko tamtych wydarzeń i chciałbym wierzyć, że tamten sympatyk Tymińskiego to tylko kolejny biedny, naiwny człowiek.

Pod koniec drugiej tury wyborów w Telewizji Polskiej ukazał się reportaż nagrany przez polonijną telewizję, prowadzoną w Kanadzie przez Zygmunta Przetakiewicza juniora o tym, że Tymiński bił swoją żonę. Według badania opinii publicznej Tymiński stracił po tym na rzecz Wałęsy ponad 15 proc. poparcia i pewnie tym należy tłumaczyć wysokie (74 proc. do 25 proc.) zwycięstwo Wałęsy. Dziś można domniemywać, że tamten wybór był wyborem między polskim a sowieckim agentem. Bo polskie dowody agenturalnej działalności Wałęsy są nam znane, a sowieckiej agentury w świecie – nadal ukryte w Moskwie.

Innym, pośrednim, ale ważnym dowodem na tę tezę jest książka Zygmunta Przetakiewicza „Spowiedź grzesznika". Zygmunt Maria Przetakiewicz był synem Zygmunta Przetakiewicza, prawej ręki Bolesława Piaseckiego, szefa prokomunistycznego Stowarzyszenia PAX. Młody Zygmunt też działał w tej organizacji, ale na swój sposób kontestował system w Polsce, nawet wbrew swojemu ojcu. A kiedy powstała Solidarność, zaczął zakładać jej oddziały w PAX. W czasie karnawału Solidarności – tak nazywano okres od powstania NSZZ „Solidarność" do wybuchu stanu wojennego – Przetakiewicz założył Biuro Solidarności w Nowym Jorku, a potem w Kanadzie, ale w końcu został odsunięty, gdyż całą działalność Solidarności za granicą nadzorował Jerzy Milewski, dyrektor Biura Solidarności w Brukseli, jak się później okazało – tajny agent Służby Bezpieczeństwa. Wówczas Przetakiewicz zatrudnił się w międzynarodowej korporacji finansowo-doradczej Arthur Andersen, późniejszej agencji Ernst and Young, o działalności której pisze po latach: „Uczestniczyłem w rozgrabianiu Polski jako jej główny doradca i lobbysta" – stąd tytuł jego książki „Spowiedź grzesznika".

W 1991 r. Zygmunt Maria Przetakiewicz prowadził interesy w ambasadzie radzieckiej w Warszawie. Rozmawiał z ważnym generałem na temat zakupu złomu pozostawionego w Polsce przez Armię Radziecką. Podczas kolejnego spotkania generał zapytał go, czy nie chciałby spotkać się z Tymińskim, który jest w sąsiednim pomieszczeniu. Przetakiewicz odmówił – wszak skompromitował go w mediach – ale idąc korytarzem zobaczył w otwartych drzwiach siedzącego na krześle Tymińskiego.

Wracając do współczesności. Tymiński zapowiedział, że został zaproszony do polityki – jako przyszły senator lub poseł – przez Grzegorza Brauna. Lider Konfederacji Korony Polskiej witał go słowami: „No otwieramy oczy niedowiarkom. Staramy się nawiązać do tego, co jest w naszej najnowszej historii autentykiem. Szczerym, niepodstawionym, niewymyślonym, niezaprojektowanym przez mafię, służby i loże". Czy na pewno? Tymiński, zwolennik Putina i Łukaszenki, będzie obecny wśród wielu innych sympatyków Rosji Putina zgromadzonych u Brauna. Chodzi o Mateusza Piskorskiego, oskarżonego o szpiegostwo na rzec Rosji, Wojciecha Olszańskiego „Jaszczura", antyklerykała, zwolennika ZOMO, PRL i zbrodniczej działalności gen. Sierowa odpowiedzialnego za morderstwa w Katyniu. Chodzi też o Marcina Osadowskiego „Ludwiczka", drugiego z Braci Kamratów. Przy okazji warto wspomnieć, że Grzegorz Braun darzy uznaniem Monikę Jaruzelską, dopatrując się u niej „generalskich genów". Za sprawą Brauna tworzy się w Polsce stronnictwo ruskie. Braun składa kondolencyjne wpisy w ambasadzie Iranu, pisząc: „Warszawa – Teheran wspólna sprawa". Nie krytykuje Rosji za wojnę na Ukrainie, nie potępia też łamania prawa przez Donalda Tuska, który z kolei od lat tworzy – użyję tu historycznej nazwy – stronnictwo pruskie, zawsze jednak sympatyzujące z Moskwą.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Przechwycona rozmowa

Andrzej Rafał Potocki

Dziś głównie o sytuacji na froncie. Mimo triumfalnych komunikatów ukraińskiego dowództwa sytuacja nie jest różowa. Po przesunięciu na północ od Hulajpola szarej strefy w głąb pozycji moskiewskich potencjał ukraiński wyczerpał się, a Moskale zaczęli kontrakcję bezpośrednio na Hulajpole. Osłabienie ukraińskiej obrony na tym odcinku w celu wzmocnienia kierunku północnego w rejonie Dobropole–Ternowe dało efekt dziurawej balii. Po prostu ruski atak na Hulajpole wszedł jak w masło. Co nie znaczy, że oparcie obrony na rzece Hajczul i okolicznych przeszkodach terenowych straciło sens. Przeciwnie. Ukraińskie przeciwuderzenie odepchnęło Moskali od rzeki, którą już przekroczyli w północnej części koło Ternowatego (Ukraińcy mówią o odzyskaniu pasa szerokości 70 km, ale w praktyce to po prostu poszerzenie szarej strefy). Obecnie strefa śmierci znajduje się po moskiewskiej stronie rzeki, nie licząc małego odcinka koło Hulajpola, ale tu pozycje ukraińskie są osłonięte innymi akwenami i ciekami wodnymi oraz wzgórzami.

Znacznie poważniejsza sytuacja panuje w rejonie Pokrowska i Słowiańska. Moskale rozwijają działania zaczepne na północ od osi Pokrowsk–Myrnohrad, korzystając z tego, że Ukraińcy nie mają tu za wielu punktów, na których można oprzeć obronę. Szczególnie ciekawy jest kierunek ze wsi Hryszynne, idący korytem rzeki Hryszynka. Kontynuując działania na tym kierunku, Moskale mogą dojść do granicy obwodu donieckiego, gdzie Hryszynka wpada do rzeki Byk, następnie skręcić na północny wschód i korytem Byka zawrócić w stronę Dobropola i Nowego Szachowego. Taki rajd pozwoliłby Moskalom na osaczenie sporych sił ukraińskich i zmuszenie ich do odwrotu. Pytanie, czy mają oni na tyle liczne siły, żeby przeprowadzić taką akcję. Osobiście wątpimy. Znów skończy się na wielotygodniowych bitwach o gruszkę w sadzie tylko po to, żeby za pół roku SZU w tydzień odbiły to, co Moskale zdobywali miesiącami. Pod Konstantynówką Moskalom udało się podpełznąć pod miasto, ale do realnych walk o nie jeszcze daleko.

Utrata Siewierska przez Ukraińców otworzyła Moskalom drogę na Słowiańsk. Dowództwo sił Federacji Moskiewskiej postanowiło odpuścić Kramatorsk i iść od razu na Słowiańsk, co doprowadzi do logistycznego odcięcia garnizonu w Kramatorsku, przez który przechodzi tylko jedna licząca się droga Słowiańsk–Konstantynówka. Są jeszcze dwie inne od zachodniej strony miasta, ale to w istocie bezdroża, a nie drogi. Ukraińcy bronią się tu dzielnie, ale pytanie, na jak długo starczy im amunicji i ludzi. Paradoks sytuacji na tym odcinku polega na tym, że do niedawna obie strony traktowały go po macoszemu, zajmując się innymi rejonami. W efekcie szturmuje tu w znacznym stopniu zdezelowana dawna „armia" Donbabwe (DRL), a bronią się niekompletne jednostki ukraińskie. Podobno w Kupiańsku zlikwidowano ostatni punkt oporu Moskali. Za to z zewnątrz miasta zaczął się ponowny nacisk moskiewski i widać nieznaczne, ale jednak postępy. Na północnym odcinku brak jakichś poważniejszych zmian.

W grudniu ub.r., kiedy skupialiśmy się na Pokrowsku, Moskale zaczęli działania zaczepne w rejonie wsi Grabowskie i Starosiele na wschód od Sum. Pierwotnie była to tylko szara strefa, ale po kilku dniach jest już przyczółek w rejonie Grabowskiego, stopniowo poszerzany aż do nagłego, ponaddwukrotnego skoku do szerokiej na 20 km podstawy wyjściowej do ataku na Sumy. W dodatku to jeszcze nie koniec, bo Moskale wyraźnie poszerzają przyczółek. Już teraz ich natarcie może iść po czterech osiach, a jak przechwycą Stepok, to po pięciu. Celem w pierwszej fazie będzie opanowanie Krasnopola, następnie natarcie na Górną Syrowatkę i od wschodu na Sumy. Pytanie, czy Ukraińcy mają tu siły i umocnienia pozwalające nie dopuścić do szturmu na miasto.

Ukraińskiemu wywiadowi udało się przechwycić kolejną rozmowę odbytą w szeregach armii Kremla. Tym razem jeden z żołnierzy opowiada drugiemu o problemach z Dagestańczykami, którzy są oskarżani o alkoholizm i brak zaangażowania. „Jakieś 500 m od naszej pozycji przebywają Dagestańczycy. Są wiecznie pijani, nie pracują, moim zdaniem oni po prostu siedzą całą kompanią i nic nie robią" – mówi jeden z Moskali w podsłuchanej przez Ukraińców rozmowie. Ale trudno się dziwić postawie Dagestańczyków. W końcu nie ich cyrk i nie ich małpy.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 38568eaf2b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Werbalna Polska

Aleksander Nalaskowski

Gdy Donald Tusk wrócił do władzy po wyborach w 2023 r., wielu komentatorów mówiło o „powrocie normalności". Słowo „normalność" ma jednak w Polsce bardzo szczególną elastyczność – może oznaczać wszystko: od spokojnej administracji państwowej po starannie opakowany chaos, który przekonująco wygląda tylko w telewizji. Podejrzewam więc, że Tusk nie zastanawia się nad tym, co ma zrobić, a jedynie – co ma powiedzieć.

Rząd Tuska zdaje się rozumieć normalność w sposób bardzo specyficzny: jako stan, w którym wszyscy ministrowie zgodnie powtarzają, że wszystko jest pod kontrolą, nawet jeśli kontrola przypomina raczej próbę złapania mgły w słoik. Jeśli przypomnimy sobie słowa Tuska, że „polskość to nienormalność", to łącząc kropki, znajdziemy przyczynę tuskowych wywijasów. Bo aby Polska istniała, musi być nienormalna. I tą drogą ku nienormalności premier prowadzi nasz kraj. Tą drogą podążają Żurek, Kierwiński, Domański, Cienkowska.

Pierwsze miesiące rządów upłynęły pod znakiem wielkich zapowiedzi. Polska miała się stać europejskim prymusem, wzorem instytucjonalnej kultury, państwem sprawnym niczym zegarek Nowaka. Tymczasem zegarek, owszem, może by działał, ale ktoś zapomniał go nakręcić. W efekcie wskazówki kręcą się głównie w wystąpieniach prasowych.

Premier Tusk od lat uchodzi za polityka niezwykle sprawnego retorycznie. Potrafi jednym zdaniem stworzyć wrażenie, że państwo właśnie wkroczyło na wyższy poziom cywilizacyjny. Problem polega na tym, że w praktyce często się okazuje, iż podniósł się raczej poziom konferencji prasowych, a niekoniecznie poziom zarządzania. Konferencje sobie, a rzeczywistość sobie. To dwie linie równoległe, które, owszem, łączą się, ale dopiero w nieskończoności. Tak poucza matematyka.

Koalicja rządząca przypomina momentami orkiestrę symfoniczną, w której każdy muzyk gra ambitne solo, ale nikt nie sprawdził partytury. Jedni zapowiadają wielkie reformy, inni – ich natychmiastowe korekty, a jeszcze inni – komisje do spraw wyjaśnienia, dlaczego poprzednie komisje niczego nie wyjaśniły. Krytykom takiej orkiestry zamyka się usta, wprowadza cenzurę i pilnuje jedynie słusznego przekazu.

Koalicja rządząca przypomina momentami orkiestrę symfoniczną, w której każdy muzyk gra ambitne solo, ale nikt nie sprawdził partytury

W tym wszystkim premier zachowuje stoicki spokój dyrygenta. Patrzy na scenę, unosi batutę i z lekkim uśmiechem ogłasza, że właśnie rozpoczął się nowy rozdział polskiej polityki. Publiczność bije brawo, choć niektórzy zaczynają podejrzewać, że to raczej próba niż właściwy koncert.

Nie oznacza to oczywiście, iż rząd Tuska nie robi nic. Przeciwnie – robi bardzo wiele w sferze deklaracji. Deklaracje pojawiają się regularnie, niemal rytmicznie, jak przypływy i odpływy oceanu. Jednego dnia zapowiada się wielką reformę, drugiego dnia uspokaja, że będzie ona ostrożna, trzeciego, że właściwie trzeba ją jeszcze przemyśleć.

Polska polityka od dawna przypomina serial, w którym scenarzyści stale zmieniają wątki. Jednak obecny sezon wyróżnia się szczególnym zamiłowaniem do monologów. Bohaterowie dużo mówią o przyszłości, odpowiedzialności i europejskich standardach. Czasem tylko zapominają, że widzowie zaczynają się rozglądać za czymś bardziej konkretnym niż kolejne przemówienie.

Warto jednak przyznać, iż rząd Tuska osiągnął jedną rzecz z imponującą konsekwencją: potrafi sprawić, że każdy tydzień wygląda jak moment przełomowy. Gdyby politykę mierzyć liczbą „historycznych decyzji zapowiedzianych na przyszły miesiąc", Polska byłaby bezsprzecznym liderem kontynentu.

Felietonista ma jednak tę niewdzięczną rolę, że musi przypominać o drobnym szczególe: państwo nie działa na zapowiedziach. Państwo działa na decyzjach, procedurach i skutkach. A z tym jest klapa, nawet jeśli konferencje prasowe stoją na naprawdę europejskim poziomie.

Na razie obserwujemy więc ciekawy eksperyment polityczny. Rząd, który mówi o sprawności państwa, jednocześnie zdaje się testować, jak długo można rządzić głównie narracją. Być może to nowoczesny model zarządzania: polityka jako długie wystąpienie, w którym najważniejsze zdanie zawsze pada w kolejnym akapicie.

I kto wie – może właśnie na tym polega ta obiecywana normalność. Normalność, w której obywatele przyzwyczajają się, że najważniejsze decyzje zawsze są tuż za rogiem. Tak blisko, że aż trudno je zobaczyć.

eprasa.pl 38568eaf2b

Michał Korsun prezentuje: ***W Sejmie kipi***

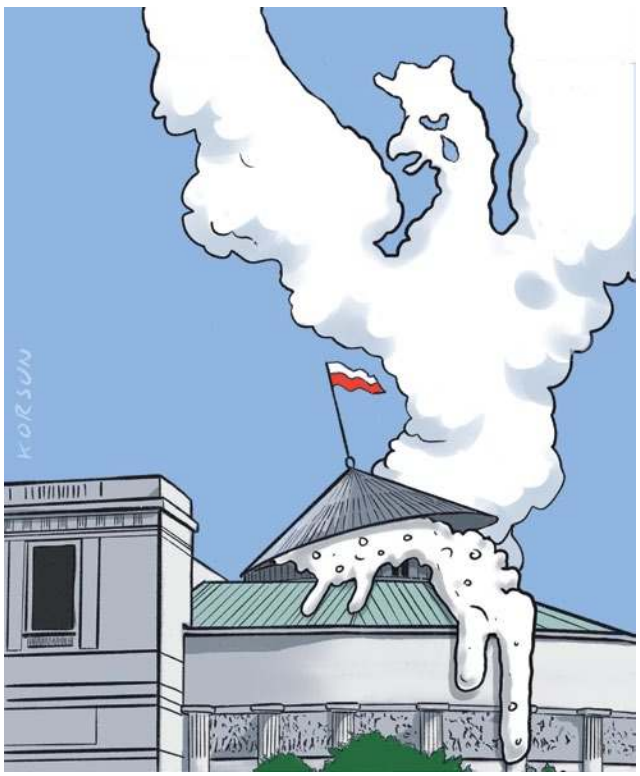

Wycinki z przeszłości

Miłość potrafi poważnie rozpalić emocje. W 1933 r. „Express Zagłębia" opisywał bitwę o rękę dziewczyny. „Dwóch rywali, Mikołaj Rutkowski i Walenty Siedź, bogaci włościjanie, zorganizowali przeciwko sobie bandy parobków" liczące 100 osób. „Walczono na koły, orczyki, łopaty i kamienie". W rezultacie jeden z adoratorów zginął, a drugi został ciężko ranny. Nie wiemy, czy ten, który przeżył, mógł się cieszyć ręką piękności.

(sp)

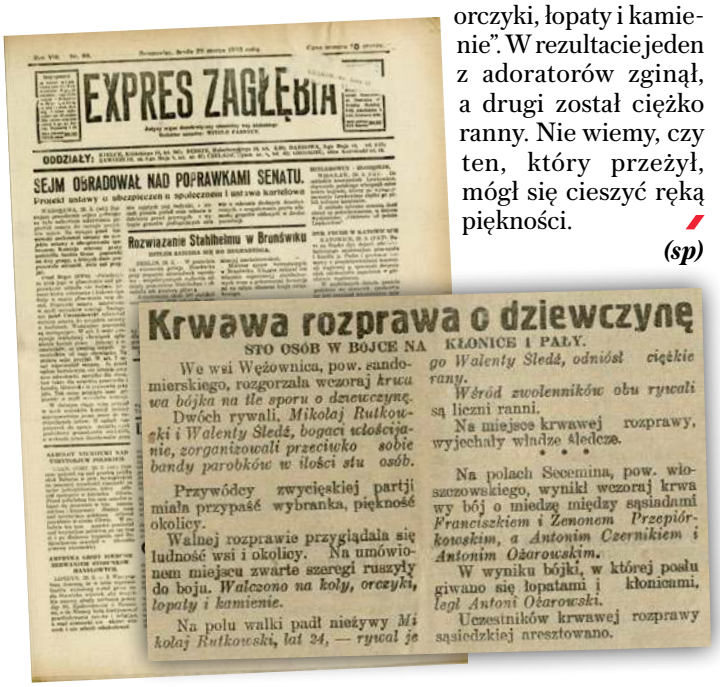

EXPRES ZAGŁĘBIA

SEJM OBRADOWAŁ NAD POPRAWKAMI SENATU.

Rozwiązanie Stahlhelmu w Brunświku

Krwawa rozprawa o dziewczynę

STO OSÓB W BÓJCE NA KŁONICE I PAŁY.

We wsi Wężownica, pow. sandomierskiego, rozgorzała wczoraj krwawa bójka na tle sporu o dziewczynę.

Dwóch rywali, *Mikołaj Rutkowski i Walenty Siedź, bogaci włościanie, zorganizowali przeciwko sobie bandy parobków w ilości stu osób.*

Przywódcy zwycięskiej partji miała przypaść wybranka, piękność okolicy.

Walnej rozprawie przyglądała się ludność wsi i okolicy. Na umówionem miejscu zwarte szeregi ruszyły do boju. *Walczono na koły, orczyki, łopaty i kamienie.*

Na polu walki padł nieżywy *Mikołaj Rutkowski, lat 24, — rywal jego Walenty Siedź, odniósł ciężkie rany.*

Wśród zwolenników obu rywali są liczni ranni.

Na miejsce krwawej rozprawy, wyjechały władze śledcze.

* * *

Na polach Secemina, pow. włoszczowskiego, wynikł wczoraj krwawy bój o miedzę między sąsiadami *Franciszkiem i Zenonem Przepiórkowskim, a Antonim Czernikiem i Antonim Ożarowskim.*

W wyniku bójki, w której posługiwano się łopatami i kłonicami, *legł Antoni Ożarowski.*

Uczestników krwawej rozprawy sąsiedzkiej aresztowano.

Z WOLEJA

Barbarzyńcy i dżentelmeni

Ryszard Czarnecki

W dawnych czasach świetności futbolowych mundiali, gdy nie były one jeszcze ogarnięte chorobą gigantomanii, grało na nich 16 reprezentacji i to rzeczywiście była prestiżowa Liga Narodów. Dzisiaj inflacja liczby uczestników, liczby krajów – organizatorów (aż trzy w tym roku!) i rozdęty do granic możliwości, a raczej niemożliwości, czas trwania turnieju powoduje, że zamiast futbolowego święta mamy wyciskanie szmalu za wszelką cenę. Smutne to, ale bardzo, bardzo współczesne. Piłkarskie mistrzostwa świata są dokładnie takie, jak czasy, w których są rozgrywane.

Kiedyś ponad połowa drużyn na mundialu pochodziła z Europy. Teraz – jedna trzecia. W tym roku to redukowanie Starego Kontynentu odbyło się akurat kosztem Polski. Jednak ta decyzja FIFA w jakimś sensie oddaje stan faktyczny: pozycja gospodarcza, polityczna i demograficzna Europy topnieje niczym wosk, z którego wróży się w andrzejki. W sporcie, jak widać, też.

Na sześciu ostatnich mundialach Polska grała cztery razy. Byliśmy na nich cztery i osiem lat temu, czyli wtedy, kiedy na MŚ zabrakło Italii. Piłkarska Rzeczpospolita płacze, bo nie będzie nas na północnoamerykańskich MŚ 2026. Ale co mają powiedzieć Włosi, trzykrotni mistrzowie świata, przedostatni mistrzowie naszego kontynentu, którzy trzeci raz z rzędu nie pojadą na mundial? To jest dopiero – mówiąc słowami Andrzeja Dudy, choć odnoszącymi się do prawdziwej, ludzkiej tragedii, a nie tylko „tragedii" sportowej: „Szok. Rozpacz. Niedowierzanie". Piłkarską Italię ładnie podsumował kiedyś Johan Cruijff, jeden z największych piłkarzy w historii Europy: „Włosi nie umieją z tobą wygrywać, ale ty umiesz z nimi przegrywać".

Na mundial nie jadą też nasi wschodni sąsiedzi, czyli Ukraina. To już – uwaga – piąte mistrzostwa świata, na których ich nie będzie. A przecież piłkę klubową – dzięki oligarchom – wciąż mają silniejszą niż my.

Na mundial oczywiście jedzie mistrz Europy – Anglia oraz wicemistrz świata – Francja. Obie nacje ciekawie podsumował ktoś, kto zna je najlepiej – Francuz, ale przez 22 lata trenujący Arsenal Londyn, Arsène Wenger: „Dla Anglików sport jest walką. Nie mogą pójść na bitwę bez generała. Dla Francuzów futbol jest formą zbiorowego wyrażania się". Zaś rodak Wengera, pisarz Albert Camus, tak pisał o piłce: „Wszystko, co wiem o moralności i powinnościach człowieka, zawdzięczam futbolowi". Jego kolega po piórze po drugiej stronie Kanału Angielskiego (kanału La Manche) Oskar Wilde był bardziej sceptyczny w sprawie piłki: „Rugby to gra barbarzyńców uprawiana przez dżentelmenów. Futbol to gra dżentelmenów uprawiana przez barbarzyńców". Ciekawe, co by powiedział o polityce?

eprasa.pl 38568eaf2b

OD A DO ZYBERTOWICZ

Dryf. Tyle z kultury

Obecnej minister kultury Marcie Cienkowskiej nie można odmówić jednego – nikt nie zrobił w resorcie tyle zamieszania

Jak to możliwe, że zarządzanie polską kulturą sięgnęło dna w zaledwie trzy lata...

Kontrowersyjny lewicowy pajac i szyderca Jaś Kapela otrzymał z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego stypendium w wysokości 60 tys. zł na projekt „Stworzenie libretta i piosenek do musicalu o sojuszu lewicy laickiej z Kościołem i zakazaniu aborcji". Powstał wulgarny utwór, który zaprezentował w programie „Nie mam talentu" na YouTube. Fajne, prawda?

Ale jeszcze fajniejsze jest zachowanie minister kultury Marty Cienkowskiej. Zapytana przez dziennikarza, czy na pewno dobrze wydała środki podatników, oznajmiła wymijająco, że tekst może się nie podobać, ale o gustach się nie dyskutuje. Pani minister rozumuje, że jeśli ktoś „tworzył songi" dla Teatru Powszechnego w Warszawie i publikował w „Krytyce Politycznej", to z definicji jest twórcą wysokich lotów.

O tym, że nie jest to po prostu wpadka pani minister, lecz jej styl, świadczą też inne doniesienia medialne. Onet przytoczył kiedyś próbkę jej języka: „Słuchajcie, na razie nie ma co pier...ić bez sensu, trzeba przesunąć wybory". Później, najwyraźniej w ramach autorefleksji, zadeklarowała, że ma „bogaty wokabulariusz".

GLIŃSKI, WRÓĆ!

Nie ma chyba większej ironii w polskiej polityce kulturalnej niż to, że po ośmiu latach narzekań na rzekomo ręczne sterowanie polską kulturą przez rząd Zjednoczonej Prawicy, na „uznaniowość" przy przyznawaniu środków finansowych, dziś wcale nie jest lepiej. Co najwyżej śmieszniej.

Rośnie rozczarowanie nawet tych środowisk, które jeszcze niedawno były naturalnym zapleczem obecnej koalicji.

Jakoś tak się złożyło, że „zreformowanie" sposobu oceniania projektów zgłaszanych w konkursach pomija te obszary aktywności społecznej, które nie należą do priorytetów obecnej władzy. Nawet „Gazeta Wyborcza" ponad rok temu pisała, że ze sposobem oceniania coś jest nie tak, bo ważne, choć niszowe festiwale nagle są na lodzie. I że za prof. Glińskiego było „przynajmniej przewidywalnie".

Podobna sytuacja panuje na polu dotacji do czasopism. Zamiast obiecanego demokratycznego pluralizmu – dominacja jednego nurtu. Zamiast ideowej równowagi – wzmacnianie lewej nogi. Jeśli państwo ma wspierać rzetelną debatę publiczną, to nie może jej zawężać do jednego światopoglądu.

Do tego dochodzi specjalny fundusz w wysokości 562 mln zł, dający ministrowi większą swobodę w decydowaniu, kto i na co dostanie. To tzw. rezerwa ministra – narzędzie tak potępiane, gdy obecna władza była w opozycji, ale jak już może je stosować, robi to ochoczo. Weźmy choćby dotację Cienkowskiej dla festiwalu „Boska komedia", bardzo źle ocenionego przez ekspertów.

JAKI PAN, TAKI KRAM

Zresztą co jak co, ale swoboda decyzyjna to wizytówka rządu Donalda Tuska. Przypomnę, że powierzył resort kultury Bartłomiejowi Sienkiewiczowi, którego operacja postawienia w stan likwidacji Telewizji Polskiej, Polskiego Radia oraz Polskiej Agencji Prasowej przejdzie do historii jako przykład barbarzyństwa, akceptowalnego w ramach „praworządności" Unii Europejskiej.

Gdy pałeczkę po Sienkiewiczu przejęła Hanna Wróblewska, mówiono o audytach w instytucjach kultury, które miały ujawnić skalę rzekomych nadużyć poprzedniej władzy, ale niczego poważnego nie ustalono. Część instytucji zawieszono lub „reorganizowano", pozostawiając pracowników z uczuciem niepewności.

W każdym razie zapamiętamy Wróblewską w brudnych trampkach w scenie odsłonięcia w Berlinie kamienia – zastępnika reparacji powojennych.

Obecnej minister kultury Marcie Cienkowskiej nie można odmówić jednego – nikt nie zrobił w resorcie tyle zamieszania.

GDZIE SIŁA KULTURY?

I wcale nie chodzi o to, by idealizować poprzednią władzę. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego powinno być jednym z najważniejszych narzędzi soft power państwa. Niestety stało się strefą przepychanek partyjnych, przetasowań personalnych, strefą wulgarnej komunikacji i wspierania pseudosztuki.

I nikogo już nie razi, że „telewizja w likwidacji" zatrudnia nowe kadry.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 38568eaf2b

O kulisach polityki
WIEMY WSZYSTKO

Subskrypcja SIECI

wPolityce.pl Premium +

już od

7,90 zł

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 38568eaf2b

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24

Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 385 [illegible]